



PALMER DIANA

NIEUDANA UCIECZKA

(BIAŁY ŚLUB)

PO ŚMIERCI BLISKICH NATALIE BLOCK ZOSTAŁA ZUPEŁNIE SAMA. WRAŻLIWA I SERDECZNA, ZNALAZŁA SCHRONIENIE I PRZYJAŹŃ NA RANCZU RODZINY KILLAINÓW. MACK KILLAIN, SZORSTKI I NIECIERPLIWY SAMOTNIK, Z CZASEM STAŁ SIĘ JEJ WYJĄTKOWO BLISKI...

MACK, UPOKARZANY PRZEZ OJCA I POZBAWIONY OPIEKI PRZEDWCZEŚNIE ZMARŁEJ MATKI, SAM MUSIAŁ ZAJMOWAĆ SIĘ MŁODSZYM RODZEŃSTWEM I DBAĆ O GOSPODARSTWO. CHOCIAŻ POKOCHAŁ NATALIE, NIE DOPUSZCZA DO SIEBIE MYŚLI O STAŁYM ZWIĄZKU.

NATALIE, NIESŁUSZNIE OSKARŻONA O ROMANS Z NARZECZONYM SIOSTRY MACKA, W GNIEWIE OPUSZCZA RANCZO KILLAINÓW I WYJEŹDŻA DO ODLEGŁEGO DALLAS. POSTANAWIA WYRZUCIĆ Z SERCA PRZYSTOJNEGO RANCZERA. JEDNAK JEDNO DRAMATYCZNE ZDARZENIE WSZYSTKO ZMIENI...

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- W życiu nie wyjdę za mąż! - zawodziła Vivian. - On nigdy mi nie pozwoli zaprosić tu Whita. Chciałam tylko, żeby przyszedł na kolację, a teraz muszę do niego zadzwonić i wszystko odwołać! Mack jest wstrętny!

- No, uspokój się, wszystko będzie dobrze... - Natalie Brock objęła młodszą przyjaciółkę. - On nie jest wstrętny. Po prostu nie rozumie, co czujesz do Whita. Poza tym musisz pamiętać, że od siedmiu lat Mack jest za ciebie całkowicie odpowiedzialny.

- Ale on jest moim bratem, a nie ojcem. - Vivian otarła z policzków łzy. - Mam dwadzieścia dwa lata - dodała. - Nie może mi mówić, co mam robić!

- Może, na ranczu Medicine Ridge Mack wszystko może - odpowiedziała lekko drwiącym tonem Natalie. - On jest tu wielkim wodzem.

- Tylko dlatego, że tata mu je zostawił!

- No niezupełnie. Twój ojciec zostawił mu ranczo zadłużone do tego stopnia, że bank starał się przejąć całą ziemię. - Powiodła wzrokiem po okazałym salonie, urządzonego w stylu wiktoriańskim. - To wszystko Mack zdobył swoją ciężką pracą.

- Więc McKinzey Donald Killain może robić, co mu się podoba, i wszystkimi rządzić, tak?

Dziwnie zabrzmiało jego pełne imię i nazwisko. Od lat wszyscy z okolic Medicine Ridge w Montanie nazywali go Mack. To było zdrobnienie pierwszego imienia, którego większość z jego szkolnych kolegów nie potrafiła wymówić.

- On tylko chce, żebyś była szczęśliwa - powiedziała łagodnie Natalie, całując Vivian w rozpalony policzek. - Pójdę z nim porozmawiać.

- Zrobisz to? Naprawdę? - W jasnoniebieskich oczach Vivian zapłonęła nadzieja.

- Naprawdę.

- Nat, jesteś moją jedyną prawdziwą przyjaciółką - powiedziała z zarem w głosie. - Nikt inny w tym domu nie ma odwagi powiedzieć mu cokolwiek.

- Bob i Charles czuliby się niezręcznie, mówiąc mu, co ma robić. - Natalie stanęła w obronie chłopców. - Mack miał niewiele ponad dwadzieścia lat, kiedy przyjął odpowiedzialność za całą waszą trójkę.

Teraz był dwudziestoosmioletnim mężczyzną, szorstkim i niecierpliwym, którego większość ludzi po prostu się bała. A Natalie, już jako kilkunastoletnia dziewczyna, potrafiła żartować z Macka i droczyć się z nim. Uwielbiała go, pomimo jego porywczosci i częstych

napadów złego humoru, które w dużej mierze brały się stąd, że widział tylko na jedno oko. Ona o tym wiedziała.

Wkrótce po wypadku, w którym łatwo mógł zginąć albo zupełnie stracić wzrok, powiedziała mu, że w opasce założonej na lewe oko wygląda jak zabójczo przystojny pirat. Kazał jej iść do domu i pilnować własnego nosa.

Nie przejęła się tym i nadal, również po powrocie Macka ze szpitala do domu, pomagała Vivian opiekować się nim. Nie było to łatwe. Natalie kończyła wtedy szkołę średnią. Rok wcześniej przeprowadziła się z sierocińca, w którym spędziła większość życia, do swojej niezamężnej ciotki. Pani Barnes nie przepadała za Mackiem Killainem, chociaż nie odmawiała mu szacunku. Natalie, chcąc opiekować się Mackiem, musiała codziennie błagać swoją ciotkę, żeby zawiozła ją do szpitala, a potem na ranczo Killainów. Starsza pani uważała, że to zadanie Vivian, a nie Natalie - ale Vivian nie miała na swojego brata żadnego wpływu. Pozostawiony samemu sobie, Mack zamiast leżeć w łóżku, zabrałby się ze swoimi ludźmi pod północną granicę, żeby pomóc im znakować cieleta.

Na początku lekarze obawiali się, że stracił całkowicie wzrok. Potem okazało się, że jego prawe oko wciąż funkcjonuje. W dniach niepewności Natalie, lekceważąc protesty Macka, nie odstępowała go na krok. Paplała jak najęta, kiedy wpadał w przygnębienie, rozweselała go, kiedy chciał uciekać. Robiła wszystko, żeby nie pozwolić mu się poddać, i wkrótce stan jego zdrowia zaczął się wyraźnie poprawiać.

Pozbył się jej towarzystwa, gdy tylko stanął na nogi, a ona nie protestowała. Znała go jak swoje pięć palców, z czego on zdawał sobie sprawę i czuł się z tym nieswojo. Nie chciał mieć w niej przyjaciółki i wyraził to dostatecznie jasno. Nie nalegała. Jako sierota miała wiele okazji, żeby się zahartować. Jej ciotka wzięła ją do siebie dopiero wtedy, gdy przeszła zawał serca i potrzebowała kogoś, kto by się nią zaopiekował. Natalie chętnie skorzystała z propozycji, nie tylko dlatego, że miała dosyć życia w sierocińcu, ale również i z tego powodu, że ciotka mieszkała w sąsiedztwie rancza Killainów. Odtąd Natalie odwiedzała niemal codziennie swoją nową przyjaciółkę, Vivian. Dopiero kiedy umarła niespodziewanie stara pani Barnes, zostawiając jej w spadku pokaźne oszczędności, mogła sobie pozwolić na studia w college'u i utrzymanie małego domu, który odziedziczyła po ciotce.

Żyła skromnie i radziła sobie zupełnie nieźle. Pieniądze już prawie wydała, ale kończyła studia z dobrymi ocenami i miała obiecaną posadę nauczycielki w miejscowej szkole podstawowej. Musiała tylko zdać końcowe egzaminy, żeby uzyskać dyplom. W wieku dwudziestu dwóch lat żyła jej się znacznie lepiej niż kiedy była sześciolatkiem,

zabranym do sierocińca, po tym, jak oboje rodzice zginęli w pożarze. Podobnie jak Mackowi, los nie oszczędził jej cierpień i zgryzot.

Ale uczenie dzieci było cudowne. Uwielbiała pierwszaków, takich otwartych, kochanych i ciekawych życia. To miała być jej przyszłość. Od kilku tygodni spotykała się z Dave'em Markhamem, wychowawcą szóstej klasy. Nikt nie wiedział, że byli bardziej przyjaciółmi niż romantyczną parą. Dave stracił głowę dla urzędniczki agencji ubezpieczeniowej, która, niestety, robiła słodkie oczy do jednego z kolegów z pracy. Natalie nie była zainteresowana małżeństwem, przynajmniej w najbliższym czasie. Raz tylko, w ostatniej klasie szkoły średniej, zadurzyła się w starszym od siebie nastolatku. Kiedy właśnie zaczął ją zauważać, zginął w kraksie samochodowej, w drodze powrotnej z wyprawy na ryby. Utrata rodziców, a potem jedyne bliskiego jej chłopaka nauczyła ją, że miłość jest niebezpieczna. A ona pragnęła czuć się bezpiecznie. Chciała być sama.

Poza tym, w przeciwieństwie do wielu nowoczesnych młodych kobiet, nie wyobrażała sobie związku, którego jedynym celem byłby seks. Nie miała zamiaru zakochiwać się i nie szukała partnera do łóżka, więc przed poznaniem Dave'a w ogóle nie chodziła na randki.

Raz tylko namówiła Macka, żeby zabrał ją na potańcówkę, ale on był o wiele starszy od chłopców z jej college'u. Mimo to czuła się w jego towarzystwie jak królowa balu. Mack był bardzo atrakcyjnym mężczyzną, chociaż nie grzeszył salonowymi manierami. W kilka godzin udało mu się wyprowadzić z równowagi mnóstwo ludzi. Sprawiał wtedy wrażenie, jakby złościł go cały świat, a szczególnie Natalie. Nigdy więcej nie zaproponowała mu wspólnego wyjścia.

Tak naprawdę, jego irytujący sposób bycia zupełnie Natalie nie przeszkadzał. Podziwiała go za nazywanie rzeczy po imieniu, za to, że mówił bez ogródek, co myśli, nawet gdy było to źle widziane. Ona też potrafiła otwarcie bronić swoich racji, a zawdzięczała to Mackowi. Uczył ją odwagi, odkąd zaprzyjaźniła się z jego siostrą. Zmuszał, żeby chodziła z podniesioną głową, żeby walczyła o swoje, zamiast użalać się nad sobą i płakać. Dzięki niemu stała się wystarczająco silna, żeby nie ugiąć się pod byle ciosem.

Pamiętała, że tamtego wieczoru, kiedy wracali z zabawy, okropnie się pokłócili. Mack zostawił ją przed domem, sztyletując wściekłym wzrokiem i raniąc jakąś zgryźliwą uwagą. O jedną za dużo. Miała ochotę go wtedy zabić, ale zbyt dużo ich łączyło, żeby z powodu jednej awantury obrazić się na dobre.

Mack miał dwadzieścia osiem lat, ale wyglądał na o wiele starszego. Brzemie odpowiedzialności, które dźwigał na swoich barkach, pozbawiło go prawdziwego dzieciństwa. Jego matka umarła młodo, a ojciec pogrążył się w pijaństwie i zaczął dręczyć

dzieci. Mack stawiał mu się hardo, często biorąc na siebie razy przeznaczone dla pozostałej trójki. W końcu ojciec dostał wylewu i został umieszczony w zakładzie opiekuńczym, a Mack zajął się młodszym rodzeństwem. Aby utrzymać dom, pracował jako mechanik w mieście. Miał dwadzieścia jeden lat, kiedy zmarł jego ojciec, zostawiając mu trójkę nastoletników do wychowania.

I zupełnie nieźle sobie radził. Inwestował rozsądnie w farmę, kupił stado dobrego bydła i zaczął hodować własną odmianę rasy czerwony angus. Udawało mu się wszystko, do czego się zabrał. Przyszłość jawiła się w coraz jaśniejszych kolorach, aż do pechowego dnia, kiedy koń zrzucił go na pastwisku z grzbietu - prosto pod kopyta potężnego byka, który go natychmiast zaatakował. Gdy Mack, próbując się ratować, chwycił zwierzę za rogi, został ugodzony rogiem w twarz. Stracił, niestety, jedno oko. Jego męska uroda nie poniosła innego uszczerbku. Nadal robił oszałamiające wrażenie na kobietach... dopóki nie otworzył ust. To przez swój brak towarzyskiej oglądy utrzymał się tak długo w kawalerskim stanie.

Natalie zostawiła płaczącą Vivian w salonie i poszła do stajni, gdzie spodziewała się znaleźć jej brata. Weszła cicho do środka, oparła się o drzwi i przez chwilę patrzyła z uśmiechem, jak Mack bawi się na kłęczkach ze szczeniakiem collie. Uwielbiał swoje psy, i była to miłość odwzajemniona.

- Pani pedagog podgląda farmerskie życie? - Podniósł głowę, jak gdyby wyczuł jej obecność.

Uśmiechnęła się pobłaźliwie, przyzwyczajona do jego uwag.

- Patrzę, jak żyją bogacze, panie wielki hodowco bydła - odparowała. - Vivian mówi, że nie pozwolisz jej ukochanemu przestąpić progu waszego domu.

- A ty co, robisz za dziewicę ofiarną, żeby mnie zmiękczyć? - spytał, zbliżając się do niej niebezpiecznie szybkim krokiem.

- Nie możesz mieć bladego pojęcia, czy jestem dziewicą - odpowiedziała z duszą na ramieniu, kiedy podszedł do niej na wyciągnięcie ręki.

Odburknął coś grubiańsko i z drwiącym uśmiechem czekał na jej reakcję.

Natalie, nie dając się sprowokować, odpowiedziała mu takim samym uśmiechem.

Wyraźnie zbity z tropu, przeczesał palcami kruczoczarne włosy i wcisnął na głowę kapelusz. Potem zmierzył ją wyzywającym wzrokiem. Była w luźnych dzinsach i bladożółtym swetrze z trójkątnym dekoltem. Miała krótkie ciemne włosy, lekko kręcone, i szmaragdowozielone oczy. Nie była bardzo ładna, ale jeśli mogła być za coś naprawdę wdzięczna naturze, to za te oczy, i delikatne, pięknie wykrojone usta. Czuli się skrepowana, bo uwagę Macka najbardziej przyciągała teraz jej figura.

- W zeszłym roku z tym jej ukochanym córka Henry'ego zaszła w ciążę - powiedział, patrząc jej w oczy.

Natalie zaniemówiła z wrażenia.

- Do głowy by ci nie, przyszło, prawda? Ty i Viv jesteście takie same.

- Słucham?

- Macie fatalny gust w wyborze mężczyzn.

- A już ci miałam powiedzieć, że jesteś taki pociągający!

- Przestań chrzanić - wycedził lodowatym tonem.

- O, strasznie jesteś dzisiaj przewrażliwiony.

- Czego chcesz? Jeśli chodzi o zaproszenie na kolację tego faceta, zgadzam się pod warunkiem, że ty też przyjdiesz.

Zaskoczył ją. Zwykle nie mógł się doczekać chwili, kiedy zniknie z jego domu.

- W trójkę będzie bezpieczniej? - mruknęła pod nosem.

- W czwórkę. Nie policzyłaś mnie. A właściwie w szóstkę. Jest jeszcze Bob i Charles.

- Rozumiem, że moja obecność jest ci potrzebna do tego, żeby liczba była parzysta.

- Przyjdź w sukience. - Jego głos, podobnie jak wyraz twarzy, nie zdradzał żadnych emocji.

- Słuchaj, czy ty planujesz jakiś pogański obrzęd ofiarny?

- Włóż coś z głębokim dekoltem.

- Przestań się gapić na mój biust! - krzyknęła, oburzona, krzyżując ręce na piersi.

- To noś biustonosz.

- Noszę biustonosz! - Czują, jak pąsowieje jej twarz.

- Noś grubszy biustonosz.

- Nie wiem, co w ciebie wstąpiło!

Uniósł brew i prześliznął taksującym wzrokiem po jej ciele.

- Chuć - odparł rzeczowo. - Nie pamiętam, kiedy ostatnio byłem z kobietą w łóżku.

Natalie zdrętwiała. Łączyło ich zbyt intymne wspomnienie, żeby mogła zachować spokój. Kiedy Mack zniżył głos o oktawę, słowa uwięzły jej w gardle. To było tak zmysłowe, że ugięły się pod nią nogi.

- I całą tę udawaną przemądrzałość diabli wzięli - westchnął teatralnie, patrząc z satysfakcją na jej zarumienione policzki.

- Nie powinienes mówić mi takich rzeczy.

- Może i nie powinienem. - Wyciągnął do niej rękę i wsunął za ucho kosmyk jej włosów. Kiedy wzdrygnęła się na jego dotknięcie, przysunął się jeszcze bliżej. - Nigdy bym cię nie skrzywdził, Natalie - powiedział cicho.

- Chciałabym to dostać na piśmie. - Uśmiechnęła się nerwowo, próbując wymknąć się, a jednocześnie nie okazać strachu.

Za plecami miała jednak zamknięte wrota stajni i ucieczka była niemożliwa. Mack o tym wiedział. Dostrzegła to na jego twarzy, kiedy wsunął rękę za jej głowę.

Serce podeszło jej do gardła. Patrzyła na niego szmaragdowymi oczami, które zdradzały wszystkie jej najgorsze obawy.

- Z Carlem nigdy nie byłabyś szczęśliwa - powiedział nagle. - Jego rodzice mieli forszę. Nie pozwoliliby mu ożenić się z sierotą bez grosza przy duszy.

- Skąd wiesz? - Oczy pociemniały jej z bólu.

- Wiem. Powiedzieli to na pogrzebie, kiedy ktoś wspomniał, jaka jesteś zrozpaczona. Nie mogłaś nawet pójść na pogrzeb.

Pamiętała. Również to, że Mack przyszedł do niej tamtej nocy, kiedy zginął Carl. Była całkiem sama, bo jej ciotka wyjechała na weekend na zakupy. Zastał ją rozslochaną, w nocnej koszuli i szlafroku. Bez słowa wziął ją na ręce, zaniósł na fotel przy łóżku i trzymał na kolanach dotąd, aż wypłakała wszystkie łzy. O włos uniknęli czegoś, co mogło dramatycznie skomplikować życie im obojgu - do dziś, na tamto wspomnienie, Natalie zapierało dech. A potem Mack siedział przy niej całą długą, niespokojną noc, patrząc, jak śpi. Dzięki szacunkowi, jakim darzyli go wszyscy w okolicy, nawet ciotka Natalie, dowiedziawszy się o jego wizycie, nie powiedziała złego słowa. Swoją drogą, Natalie miała dar budzenia w ludziach najlepszych instynktów. Jej delikatność sprawiała, że nawet ci o najtwardszych sercach dziwnie przy niej łagodnieli.

- Miałam wtedy ciebie - szepnęła miękko. - Pocieszałeś mnie.

- Tak. A kiedy ja straciłem wzrok, miałem ciebie.

- Nie tylko ja próbowałam podtrzymać cię na duchu.

- Przygryzła do bólu drżącą wargę.

- Vivian płakała, jak tylko na nią warknąłem, a chłopcy chowali się pod łóżko. Ty nie. Od razu się odszczekiwałaś. To dzięki tobie chciało mi się dalej żyć.

Opuściła wzrok na jego tors. Mack, barczysty i wąski w biodrach, miał budowę jeźdźca rodeo. Bez koszuli, a nie raz widziała go rozebranego do połowy, wyglądał jak grecki posąg. Wiedziała nawet, jaka była w dotyku jego muskularna pierś...

- Byłeś dla mnie bardzo dobry, kiedy zginął Carl. Zapadła cisza i Natalie dostrzegła w oczach Macka błysk gniewu.

- Wracając do twojego gustu w wyborze mężczyzn... Co ty widzisz w tym lalusiowatym Markhamie? - spytał obcesowo.

- Dave jest moim przyjacielem. - Uniosła dumnie głowę.

- I na pewno nie jest w niczym gorszy od twojej sympatii, która wygląda, jakby się urwała z sabatu czarownic!

- Glenna nie jest czarownicą.

- Ani świętą. Więc jeśli brakuje ci seksu, to zapewniam cię, że to nie jej wina! - palnęła bez zastanowienia, i natychmiast tego pożałowała.

- Nie możecie rozmawiać trochę ciszej? - burknął Bob Killain, uchyliwszy drzwi stajni. - Jeśli Sddie Marshall usłyszy was z kuchni, rozpowie w swojej niedzielnej szkółce, że żyjecie tu w grzechu!

Natalie wsparła obie ręce na biodrach i spojrzała na niego z oburzeniem.

- Na twoim miejscu martwiłabym się raczej o Glenne!

- zapewniła młodszego brata Macka, sympatycznego rudzielca. - Jej imię wypisane jest na tylu budkach telefonicznych, że może uchodzić za atrakcję turystyczną!

Mack nie był w stanie pohamować śmiechu. Nasunął na oczy kapelusz i wycofał się do stajni.

- Wracam do pracy. A ty nie masz nic do roboty?

- spytał brata.

Bob chrząknął kilka razy, podobnie jak Mack rozpaczliwie starając się nie roześmiać.

- Idę do Mary Burns pomóc jej w trygonometrii.

- Nie zapomnij o zabezpieczeniu.

Twarz Boba upodobniła się kolorem do jego włosów.

- Nie wszyscy cały dzień na okrągło gadają o seksie!

- mruknął wściekle.

- Nie wszyscy - zgodziła się drwiąco Natalie. - Niektórzy szukają imion swoich sympatii na budkach telefonicznych!

- Ucisz się, Nat - powiedział zimno Mack, wyprowadziwszy konia z boksu. Potem zaczął go siodłać, ignorując Natalie i Boba.

- Wrócę koło północy! - zawołał Bob, szykując się do odwrotu.

- Słyszałeś, co powiedziałem!

Bob mruknął coś pod nosem i wyszedł.

- Mack, on ma dopiero szesnaście lat. - Natalie, w miarę opanowana, podeszła do niego, kiedy dociągał popręg.

- Ty miałaś tylko siedemnaście, kiedy spotykałaś się ze swoim mistrzem futbolu.

- Tak, ale poza kilkoma niewinnymi pocałunkami nic się nie działo... Dlaczego masz taką rozbawioną minę?

- Przeprowadziłem z nim długą rozmowę, kiedy się dowiedziałem, że przyjęłaś jego zaproszenie na świąteczną zabawę.

- Co zrobisz...?

Mack włożył nogę w strzemień i jednym zręcznym ruchem wskoczył na siodło. Potem oparł dłonie na przednim łęku i spojrzał Natalie prosto w oczy.

- Powiedziałem, że jeśli cię uwiedzie, będzie miał do czynienia ze mną. To samo powtórzyłem jego rodzicom.

- Jak mogłeś... - Była tak zdumiona, że zabrakło jej tchu.

- W sierocińcu wychowywały cię stare panny, potem mieszkałaś z ciotką, która bladła na słowo „pocałunek” - powiedział bez cienia uśmiechu. - Nie wiedziałaś nic o mężczyznach, o seksie ani o hormonach. Ktoś musiał cię chronić, a nie było nikogo innego.

- Nie miałaś prawa!

- Miałem większe prawo, niż ci się wydaje - powiedział cicho. - I nie usłyszysz ode mnie na ten temat ani słowa więcej. - Ściągnął wodze i ruszył do wyjścia.

- Mack! - wrzasnęła Natalie.

- Powiedz Viv... - Zatrzymał się i odwrócił głowę.

- Powiedz jej, że może zaprosić swojego przyjaciela na sobotę wieczorem, pod warunkiem, że ty też przyjdiesz.

- Nie chcę!

Wahał się przez moment, ale zawrócił konia i podjechał do niej.

- W pewnych sprawach nigdy nie będziemy się zgadzali. Ale łączy nas więcej, niż myślisz. Ja znam cię - dodał tonem, który przyprawiał ją o drżenie kolan. - A ty znasz mnie.

Nigdy nie była bardziej poruszona jego słowami, i bardziej zmieszana. Jej oczy musiały zdradzać, jak bardzo go pragnęła.

Wziął długi, głęboki oddech, i nagle jego twarz straciła surowy wyraz.

- Będę na ciebie czekał.

- Nie należę do twojej rodziny, Mack - powiedziała szorstkim głosem. - Możesz rozkazywać Viv i swoim młodszym braciom, ale nie mnie!

- Kochanie, ja ci nie rozkazuję. - Uśmiechnął się łagodnie, w taki sposób, w jaki rzadko uśmiechał się do kogokolwiek innego.

- I nie mów do mnie „kochanie”!

- Tyle ognia i namiętności... Co za strata.

- Naprawdę nie rozumiem, co cię dzisiaj napadło!

- Nie. Nie rozumiesz. - Zgodził się, poważniejąc. - Ale masz w tym swój udział. - Zawrócił z powrotem konia i odjechał.

Miała ochotę cisnąć czymś o ścianę. Nie mogła uwierzyć, że powiedział jej takie rzeczy, i że kiedy podszedł do niej tak blisko, przez moment miała wrażenie, że chce ją pocałować. A on nawet nie musnął jej policzka, choćby niewinnie, tak jak na świątecznych zabawach pod jemiolą.

Usiłowała wyobrazić sobie twarde, piękne usta Macka na swoich wargach, i przeszył ją dreszcz. Nie powinna! Nie powinna wspominać tamtej deszczowej nocy, kiedy cienkie ramiączko jej nocnej koszuli ześliznęło się i...

Och, nie, powiedziała sobie stanowczo. Tylko nie to! Nie zacznie śnić o nim na jawie i znowu żyć jak w malignie. Już przez to przeszła, a konsekwencje były okropne.

Wróciła do domu, by podzielić się z Viv złą wiadomością.

- Ale to cudownie! - wykrzyknęła jej przyjaciółka. - Przyjdiesz, prawda?

- On próbuje mną manipulować. Nie pozwolę mu na to!

- Ale jeśli ty nie przyjdiesz, nie będę mogła zaprosić Whita! Musisz się zgodzić, Nat, chyba że nie jesteś już moją przyjaciółką.

Natalie certowała się jeszcze trochę, ale w końcu dała za wygraną.

- Wiedziałaś, że mi nie odmówisz! - Vivian uścisnęła ją mocno. - Chyba się nie doczekam tej soboty! Zobaczysz, Nat, od razu go polubisz. Mack też.

Natalie wahała się, ale gdyby nie powiedziała tego przyjaciółce, zrobiłby to Mack, i na pewno mniej delikatnie.

- Viv, wiesz, że on wpędził w tarapaty jakąś dziewczynę?

- Tak, wiem. Ale to jej wina. Uganiała się za nim, a kiedy go zaciągnęła do łóżka, nie pozwoliła mu się zabezpieczyć. Whit sam mi o tym powiedział.

Natalie zaczerwieniła się po raz drugi tego dnia. Nie mogła zrozumieć ludzi, którzy tak chętnie rozmawiali o swoich najintymniejszych sprawach.

- Przepraszam - powiedziała Viv z uprzejmym uśmiechem. - Jesteś okropnie nieżyczliwa.

- To samo usłyszałam od twojego brata - mruknęła pod nosem.

- Tak? - Vivian przyglądała się jej ciekawie przez dłuższą chwilę. - Wiesz, co ci powiem? On niechętnie zaakceptuje Whita, ale jeszcze mniej podoba mu się twoja przyjaźń z Dave'em Markhamem.

- Czemu akurat on krytykuje moje życie towarzyskie, kiedy sam włóczy się z tą puszczałką Glenną! Przestań się śmiać. To nie jest zabawne!

- Przepraszam. Ale ona jest naprawdę w porządku. Po prostu lubi mężczyzn.

- Zmienia ich jak rękawiczki. I z tego, co o niej mówią, nie zawsze zadowolą się jednym. Jeśli twój brat złapie jakąś paskudną chorobę, powinien mieć pretensję wyłącznie do siebie. To też wydaje ci się zabawne?

- Jesteś zazdrosna - powiedziała Vivian, tłumiąc śmiech.

- Chyba żartujesz! - prychnęła, odwracając oczy. - Idę do domu.

- On wyszedł z nią tylko dwa razy do kina i nawet nie miał śladów szminki na koszuli, kiedy wrócił do domu.

- Jestem pewna, że twój brat zdążył się już nauczyć usuwać plamy ze szminki.

- Chyba podoba się kobietom.

- Dopóki czegoś nie palnie. Jedyne argumenty, jakich potrafi używać w dyskusji, to uśmiech albo spluwa. Jeżeli podoba się Glennie, to tylko dlatego, że ona zamyka mu usta!

- Pewnie masz rację. Ale może właśnie o to chodzi, że Mack jest bardziej interesujący od tych wszystkich politycznie poprawnych facetów, którzy na wszelki wypadek w ogóle nie otwierają ust.

- Coś w tym jest.

- Natalie? - Vivian wstała z krzesła.

- Tak?

- Ty ciągle jesteś w nim zakochana, prawda? Odwróciła się do drzwi, nie mając zamiaru odpowiadać.

- Naprawdę muszę już iść. W przyszłym tygodniu mam egzaminy i powinnam wziąć się ostro do nauki.

Vivian chciała powiedzieć przyjaciółce, że się domyśla, co wydarzyło się między nią a Mackiem kilka lat temu, ale Natalie była taka zamknięta w sobie, że lepiej było nie wprawiać jej w zakłopotanie.

- Nie wiem, co się wtedy stało - skłamała - ale pamiętaj, że miałaś siedemnaście lat. A on dwadzieścia trzy.

- On... ci powiedział? - Natalie odwróciła się raptownie, blada jak ściana.

- Niczego mi nie powiedział. Ale wyglądałaś jak zbity pies i nigdy do mnie nie przychodziłaś, kiedy on był w domu. Mack też unikał cię jak ognia. Pomyślałam, że musiał powiedzieć ci coś naprawdę przykrego i pokłóciliście się na serio.

- Lepiej nie odgrzebywać przeszłości - odpowiedziała Natalie z nieprzeniknioną twarzą. - Przyjdę w sobotę, ale tylko dla ciebie.

- Nie wspomnę o tym nigdy więcej. Przepraszam, Nat, jeśli sprawiłam ci przykrość.

- Nic się nie stało. Już dawno wyrzuciłam to z pamięci. - Kłamstwo gładko przeszło jej przez gardło. Uśmiechnęła się po raz ostatni do Vivian i zniknęła za drzwiami.

ROZDZIAŁ DRUGI

Następnego ranka Natalie przyszła na lekcję ze swoimi pierwszakami zmęczona, z zaczerwienionymi od niewyspania oczami. Nie miała wyjścia - musiała każdego wieczoru powtórzyć porcję materiału egzaminacyjnego ze wszystkich przedmiotów. Nawet nie miała czasu myśleć, ale z tego akurat była zadowolona. Nie pragnęła myśleć o niczym innym poza nauką i pracą. Nie chciała nigdy więcej wspominać tamtej nocy, kiedy miała siedemnaście lat i Mack trzymał ją na kolanach w ciemnym pokoju.

Łagodny głos pani Ringgold, oznajmujący, że nadeszła pora na pisanie literek, przywołał ją do rzeczywistości. Uśmiechnęła się i podzieliła klasę na dwie grupy, które usiadły z zeszytami przy oddzielnych stołach. Jedną z nich zajęła się wychowawczyni, a drugą Natalie, znajdując czas dla każdego dziecka, rozdając pochwały i poprawiając błędy, kiedy to było konieczne.

W porze lunchu spotkała się w kolejce do bufetu z Dave'em Markhamem.

- Wyglądasz dzisiaj na zadowoloną z siebie - powiedział z uśmiechem.

Był wysoki i szczupły, ale w niczym innym nie przypominał Macka. Dave był typem myśliciela, interesowała go muzyka klasyczna i literatura. Nie potrafił jeździć konno i zupełnie nie znał się na rolnictwie. Był jednak sympatyczny, a co najważniejsze, Natalie mogła spotykać się z nim bez obaw, że po deserze będzie zmuszona opętać się od natrętnych zalotów.

- Pani Ringgold uważa, że świetnie sobie radzę. Jutro będzie przyglądał się mojej pracy profesor Bailey. A potem, za tydzień, mam końcowe egzaminy. - Wzdrygnęła się z udawanym przerażeniem.

- Nie przejmuj się, zdasz na pewno. Wszyscy boją się egzaminów, ale jeśli codziennie czytasz notatki z wykładów, poradzisz sobie bez problemu.

- Ba, żebym tak mogła odczytać te notatki - przyznała ściszym głosem. - Gdyby profesor Bailey zobaczył moje bazgrały, jak nic poszłabym na zieloną trawkę.

- I ty uczysz dzieci pisać? - spytał z żartobliwym błyskiem w oczach.

- Słuchaj, umiem tłumaczyć ludziom, jak się robi rzeczy, których sama robić nie potrafię. Cała sztuka polega na dostatecznie przekonującym sposobie mówienia.

- Muszę przyznać, że nieźle tę sztukę opanowałaś. Słyszałem, że miałaś dobrego mistrza.

- Co?

- McKinzeya Killaina.

- Macka. Nikt nie nazywa go McKinzey.

- Wszyscy, oprócz ciebie, mówią do niego po nazwisku. I z tego, co wiem, większość ludzi stara się w ogóle do niego nie zwracać.

- On nie jest taki zły. Ma tylko pewne problemy z obyciem towarzyskim.

- Tak. Chyba nie wie nawet, co to znaczy.

- W jego pracy to nie jest konieczne. - Natalie zaśmiała się cicho. - Naprawdę będziesz jadł wątróbkę z cebulą?

- Skrzywiła się, zerkając na jego talerz.

- Podroby są zdrowe. Dużo zdrowsze niż to. - Spojrzał z równym niesmakiem na jej taco - meksykańską tortillę z pikantnym farszem. - Żołądek ci wysiadzie od tych ostrych papryczek.

- Ja mam strusi żołądek. Nic mi nie będzie.

- Co byś powiedziała na wspólny wypad do kina, w sobotę wieczorem? Podobno wszedł już na ekrany ten nowy film science fiction.

- Chętnie... Och, nie, przepraszam, w sobotę nie mogę. Obiecałam Vivian, że przyjdę do niej na kolację.

- To jakaś szczególna okazja?

- W pewnym sensie - odparła z ponurym uśmiechem.

- Vivian chce zaprosić do domu swojego nowego chłopaka. A Mack jej powiedział, że jeśli ja nie przyjdę, to nici z kolacji.

- Dlaczego? - Dave spojrział na nią zdumiony. Zatrzymała się z tacą, szukając wolnego miejsca przy stole.

- Dlaczego? Nie wiem. Po prostu postawił taki warunek. Może pomyślał, że się nie zgodzę i będzie miał problem z głową. On bardzo nie lubi tego chłopaka.

- Aha, rozumiem.

- Skąd tu nagle tyle ludzi? - spytała zaciekawiona, nie widząc ani jednego wolnego miejsca przy stole dla nauczycieli.

- Przyjechała komisja wizytacyjna z rady szkolnictwa. Mają rozpatrzeć problem warunków lokalowych naszej szkoły - odpowiedział z rozbawieniem.

- No to powinni zauważyć, że trochę tu ciasno.

- Mamy nadzieję, że zgodzą się sfinansować dobudówkę i że w końcu pozbędziemy się przyczep, które służą za sale lekcyjne.

- Ciekawe, czy coś wyniknie z tej wizytacji.

- Diabli wiedzą. Za każdym razem, kiedy mówią o podniesieniu lokalnego podatku, kończy się na fali protestów właściciele nieruchomości, którzy nie mają dzieci.

- To prawda.

Znaleźli dwa miejsca na samym końcu stołu. Uśmiechnęli się do członków komisji i zjadłszy posiłek, resztę godziny przeznaczoną na lunch spędzili na rozmowie o nowym wyposażeniu boiska, które rada szkolnictwa już im obiecała. Natalie była wdzięczna losowi, że ma coś, o czym może myśleć - a co nie ma nic wspólnego z Mackiem Killainem.

Małeńki domek Natalie znajdował się tuż za ranczem Killainów, i jego właścicielka często narzekała, że jej frontowe podwórze wygląda jak część pastwiska. Ale z tyłu było ogrodzone patio, porośnięte ze wszystkich stron pnącymi różami. Uwielbiała na nim siedzieć i przyglądać się ptakom przyfruwającym do małych karmników, zawieszonych na wszystkich gałęziach jej jedyne drzewa - wysokiej topoli amerykańskiej. Czasami zerkała za płot, na pasące się w oddali stado rudego bydła Killainów. Na zewnątrz było naprawdę pięknie.

Wnętrze domu pozostawiało wiele do życzenia. Kuchnia była wyposażona w piecyk, lodówkę i zlewozmywak. Nic więcej. W pokoju, służącym za salon i jadalnię, znajdowała się stara kanapa, równie wysłużony fotel i postrzępiony, wyleniały dywan, a w sypialni - pojedyncze łóżko, komoda z lustrem, fotel i proste krzesło. Mała weranda wymagała generalnego remontu. Nie był to szczyt luksusu, obiektywnie rzecz biorąc, ale dla Natalie, która spędziła większość życia w sierocińcu, luksusem było posiadanie własnego kąta.

Miała dwie oprawione fotografie: portret swoich rodziców i zdjęcie grupowe czwórki Killainów, które zrobiła kiedyś na ich ranczu, zaproszona przez Vivian na grilla. Podeszła do komody i spojrzała ponurym wzrokiem na najwyższego mężczyznę. Patrzył prosto w obiektyw i Natalie przypomniała sobie z rozbawieniem, że był tak pochłonięty tłumaczeniem jej, jak powinna ustawić aparat, że uwieczniła go na tym zdjęciu z otwartymi ustami.

Zawsze taki był. Znał się na wielu rzeczach i chętnie udzielał rad, nawet gdy nikt go o to nie prosił. Kiedyś w restauracji wpadł do kuchni i usiłował nauczyć francuskiego szefa, jak się prawidłowo robi sos barbecue. Na szczęście wyszli na zewnątrz na męską rozmowę i obyło się bez strat materialnych.

Odłożyła zdjęcie i poszła zrobić sobie kanapkę. Mack ciągle mówił, że nie odżywia się prawidłowo i musiała się z nim zgodzić. Potrafiła gotować, ale uważała, że to zbyt duża strata czasu bawić się w robienie obiadu tylko dla siebie. Poza tym wracała po zajęciach w college' u tak zmęczona, że nie miała na to siły.

Chleb, na to szynka, sałata, ser i majonez. Wszystko, czego trzeba, pomyślała. Zadowolona z siebie, włączyła mały telewizor, który dostała na gwiazdkę od Killainów.

Zacząła od kanału informacyjnego, ale na świecie, jak zwykle, działy się same złe rzeczy, znalazła więc satyryczny program animowany. Woląла posłuchać dowcipów Marvina i Martiana niż jakichkolwiek wiadomości z Waszyngtonu.

Kiedy zjadła kanapkę, zrzuciła z nóg buty i wyciągnęła się na kanapie z filiżanką kawy. Nie ma to jak prawdziwy dom, pomyślała z uśmiechem. Był piątek. Zwykle przed południem pracowała dorywczo w sklepie spożywczym, ale zamieniła się na dni z inną kasjerką, dzięki czemu miała wolny weekend. Byłby to weekend jej marzeń, gdyby w sobotę nie musiała iść na kolację do Killainów. Miała nadzieję, że Vivian nie traktuje zbyt poważnie młodego człowieka, którego zaprosiła. Ludzie, których nie akceptował Mack, zwykle nie przekraczali progu jego domu po raz drugi.

Natalie miała tylko jeden wizytowy strój - prostą czarną sukienkę do kostek z cienkimi ramiączkami. Kupiła pasujący do niej koronkowy szal i gładkie aksamitne czółenka. Zrobiwszy mocniejszy niż zwykle makijaż, skrzywiła się do swojego odbicia w lustrze. Wciąż nie wyglądała na swój wiek - dałaby sobie osiemnaście lat, nie więcej.

Wsiadła do małego wysłużonego samochodu i pojechała na ranczo Killainów, podziwiając po drodze świeżo odmalowane ogrodzenie wokół rozłożystego wiktoriańskiego domu, z kolorowymi ornamentami na fasadzie i kratkowaną werandą. Z tyłu był przylegający do niego garaż, w którym Mack trzymał swojego lincolna i wielką ciężarówkę z podwójną kabiną, służącą mu do pracy na ranczu. Traktory, kombajn i inne maszyny rolnicze mieściły się w ogromnej i nowoczesnej stodole, a jeszcze większe było pomieszczenie dla byków. Oddzielną stajnię miały konie wierzchowe. Był też kort tenisowy, rzadko używany, olimpijskich rozmiarów kryty basen i oranżeria, w której Mack hodował mnóstwo gatunków orchidei - miejsce najchętniej odwiedzane przez Natalie.

Spodziewała się, że wyjdzie jej na spotkanie Vivian, ale na werandzie czekał na nią sam Mack. Był w ciemnym garniturze i wyglądał na zdenerwowanego.

- Nie masz innej sukienki? - spytał poirytowanym głosem. - Zawsze przychodzisz w tej samej.

- Pracuję sześć dni w tygodniu, żeby zarobić na studia i skromne utrzymanie - odparowała z dumnie podniesioną głową. - Za to, co mi zostaje, nie kupiłabym materiału na sukienkę dla lalki.

- Przepraszam - mruknął. - Ale nie podoba mi się ten dekolt. Za bardzo odsłania piersi.

- Słuchaj... - Uniosła wysoko obie ręce. - Skąd ci się raptem wzięła ta obsesja na punkcie moich piersi?

- Celowo prowokujesz facetów.

- Bzdura!

- Nie mam nic przeciwko temu, żebyś prowokowała mnie, ale nie chcę, żeby ten maniak seksualny gapił się przy kolacji na twój dekolt.

- Nie przyciągam uwagi tego rodzaju...

- Z takim ciałem przyciągnęłabyś uwagę faceta na łożu śmierci. Samo patrzeć na ciebie doprowadza mnie do bólu.

Nie przychodziła jej do głowy żadna cięta odpowiedź. Mack, w typowy dla siebie bezceremonialny sposób, wyraził to, o czym myślała.

- Zamurowało cię? - Uśmiechnął się prowokująco.

- Nie wyglądasz na człowieka obolałego.

- A co ty możesz o tym wiedzieć? Nie rozumiesz nawet, o czym mówię.

- Trudno cię zrozumieć.

- Doświadczona kobieta zrozumiałaby mnie w pięć sekund. Jesteś nie tylko mało domyślna, Nat, ale i ślepa.

- Słucham?

- Och, szlag by to trafił... Dajmy temu spokój - westchnął ze złością i odwrócił się na pięcie. - Wchodzisz czy nie?

- Jesteś dzisiaj bardzo drażliwy. Co się z tobą dzieje? Czy Glenna nie może ukoić tego... bólu?

Zatrzymał się, zrobił gwałtowny obrót i chwycił Natalie za nadgarstek. Drugą ręką objął ją w talii i przyciągnął do siebie.

- Glenna nic nie może poradzić na mój ból, bo to nie ona go powoduje - powiedział drwiąco. - Teraz rozumiesz?

- McKinzey!

- Jesteś w szoku?

- To naprawdę boli? - spytała zdławionym szeptem.

- Kiedy się poruszasz.

Patrzyła, jak oddycha nierówno, zafascynowana nie tylko ich intymną bliskością, ale odkryciem, że tak łatwo może go podniecić. I wcale nie czuła się zażenowana. Pragnęła go i była o niego zazdrosna. Od zawsze.

- Na Markhama też tak działasz? - spytał bez cienia uśmiechu na twarzy.

- Dave jest moim przyjacielem. Nie przyszłoby mu do głowy trzymać mnie... w ten sposób.

- Pozwoliłabyś mu, gdyby jednak zechciał?

- Nie - przyznała po chwili zastanowienia.

- Dlaczego?

- Z nim to byłoby... obrzydliwe.

- Naprawdę? Ale dlaczego?

- Nie wiem. Po prostu tak mi się wydaje. Przygarnął ją mocniej, zamknął oczy i oparł czoło o jej głowę.

- Natalie... - szepnął i zaczął poruszać jej biodrami w powolnym, jednostajnym rytmie. Jęknął przez zaciśnięte zęby.

- Mack? - Uniosła się ku niemu bezwiednie, czując, jak jej ciało przeszywa błogi, nieznany dreszcz rozkoszy. Mała wieczorowa torebka leżała na podłodze werandy, kompletnie zapomniana. Odpłynął gdzieś cały świat. Nie czuła, nie widziała i nie słyszała niczego poza Mackiem.

Jego ręce posuwały się śmiało w górę. Kiedy poczuła szorstkie palce wślizgujące się za koronkę biustonosza, wstrzymała oddech.

- To bardzo niedobry pomysł - powiedział łagodnie.

- Oczywiście, że nie - zgodziła się niepewnie. Jej ciało nie poddawało się głosowi rozsądku.

- Przestań - wymruczał cicho.

- Mack?

- Jeżeli dotknę cię tak, jak tego chcesz, nie będę w stanie się pohamować. W domu jest czworo ludzi, a troje z nich zemdłałoby, gdyby nas teraz zobaczyli.

- Tak myślisz? - spytała, łapiąc z trudem oddech.

- Naprawdę tego chcesz?

- Tak!

- Na tym się nie skończy. Będziesz chciała więcej.

- Nie, Mack! Proszę cię!

- Dużo więcej... Masz cudowne piersi, Natalie - szeptał jej do ucha, błędząc kciukami po aksamitnej skórze. - Dałbym teraz wszystko, żeby móc je całować.

Krzyknęła cicho, porażona cudowną wizją, jaką wywołały te słowa w jej wyobraźni.

- Chodź, Nat... - Poprowadził ją w najciemniejszy kąt werandy, daleko od drzwi i od okien.

Chwilę później rozpiął suwak sukienki i jego usta znalazły się tam, gdzie pragnęła je czuć, gorące i czułe, zachłannie sycące swój głód. Natalie poruszała się rytmicznie, na wpół przytomna, bezwiednie wbijając paznokcie w kark Macka.

Gwałtowność, z jaką Mack ją odepchnął, omal nie powaliła jej z nóg. Odsunął się i oparł plecami o ścianę, dysząc jak sprinter po biegu. Zobaczyła, że jego muskularnym ciałem wstrząsają dreszcze. Nie była w stanie nic powiedzieć, i nie wiedziała, co robić. Była jak w malignie. Nie mogła się nawet poruszyć, żeby zapiąć sukienkę.

Po kilku sekundach Mack wziął kilka głębokich oddechów i odwrócił do niej głowę. Uśmiechnął się posepnie. Od chwili, kiedy się od niej oderwał, nie zrobiła nawet kroku. Jest niewinna jak dziecko, pomyślał.

- No, chodź! Nie możesz wejść do środka w tym stanie. Patrzyła na niego z zaciekawieniem małego kociaka, kiedy ją ubierał i poprawiał jej fryzurę, jak gdyby to było coś naturalnego.

- Natalie - zaśmiał się gardłowo - nie rób takiej miny. Wyglądasz jak ofiara wypadku.

- Z nią też to robisz?

- Przestań zajmować się Glenną - mruknął z wściekłością. - To nie twoja sprawa.

- Ach tak! Więc ty możesz wypytywać o moje życie a ja o twoje nie?

- Glenną nie jest dojrzewającą na drzewie brzoskwinką. To dorosła, znająca życie kobieta, której chwila przyjemności nie kojarzy się ze ślubną obrączką.

- Mack!

- Znowu się czerwienisz. Nat, masz dwadzieścia dwa lata, ale nie wydorostałaś ani trochę od tamtej nocy, kiedy pocieszałem cię po śmierci Carla.

- Patrzyłeś na mnie - szepnęła.

- Miałaś szczęście, że tylko patrzyłem.

- To znaczy, że mnie... pragnąłeś?

- Tak. Ale miałaś wtedy siedemnaście lat.

- Teraz mam dwadzieścia dwa.

- Niewielka różnica - westchnął z uśmiechem. - Poza tym nie widzę dla nas żadnej przyszłości.

- Bo tacy jak ty potrzebują się tylko od czasu do czasu zabawić, prawda?

- Ty w każdym razie nie należysz do tej kategorii... Mam pod opieką dwóch braci i siostrę. Nie widzę w tym układzie miejsca na żonę.

- W porządku. Po prostu zapomnij o mojej propozycji.

- Obowiązki to jedno... - Musnął palcem jej wargi. - Ale nie jestem jeszcze gotów do założenia rodziny.

- Myślę, że przyjmą ode mnie pierścionek zaręczynowy, który kupiłam.

- Słucham? - Mack otworzył szeroko oczy. - Czy ja się nie przesłyszałem?

- Kupiłam ci tani pierścionek. Zresztą pewnie i tak by nie pasował, więc nie musisz się martwić.

Zaczął się śmiać. Po prostu nie mógł się powstrzymać. Ona była naprawdę nie z tej ziemi.

- Do diabła, Natalie! - powiedział z czułością i mocno ją objął.

- Tak bywa z małymi kaczkami - mruknęła jakby do siebie, zamykając oczy.

- Jak to?

- Naznaczenie. Piętno pierwszego doświadczenia. Świeżo wyklute pisklęta kaczek idą za pierwszą ruchomą rzeczą, którą zobaczą, zakładając, że to ich matka. Może tak samo jest z mężczyznami i kobietami. Jesteś pierwszym mężczyzną, z którym byłam tak blisko, więc pewnie dlatego nie mogę się od ciebie wyzwolić.

- Świat pełen jest mężczyzn, którzy chcą się ożenić i mieć dzieci... - powiedział Mack ze ściśniętym sercem.

- I kiedyś znajdę kogoś dla siebie - dokończyła za niego. - Niech ci będzie. Ale jeśli naprawdę chcesz, żebym zaczęła szukać, obłapywanie mnie w ciemnych kątach nie świadczy najlepiej o twoich intencjach.

Mack zaniósł się tak gwałtownym śmiechem, że musiał wypuścić ją z objęć.

- Poddaję się - wysapał.

- Za późno. - Odwróciła się, żeby podnieść z podłogi torebkę. - Powiedziałeś, że nie interesuje cię małżeństwo.

- Wejźmy w końcu do środka.

- Poczekaj! - Stała w najlepiej oświetlonym miejscu i zerkając w lusterko puderniczki, poprawiła szybko włosy i umalowała usta. - Ty też doprowadź się do ładu - mruknęła, obejrzawszy jego twarz. - Ten odcień szminki zdecydowanie ci nie pasuje.

Łypnął na nią groźnie, ale podał Natalie chusteczkę i pozwolił zetrzeć sobie różowe ślady z policzków i szyi.

- Następnym razem nie pacykuj się tak mocno - poradził jej rzeczowym tonem.

- Następnym razem trzymaj ręce w kieszeniach.

- Nie ma mowy! - Zachichotał. - Jeśli się będziesz upierała przy takich dekoltach...

Owinęła się szalem i spojrzawszy na niego wyniośle, czekała, aż otworzy drzwi.

- Pierwsza sukienka, jaką kupię, będzie z kołnierzykiem zapinanym pod szyją. Masz to załatwione.

- To sprawdź, czy przypadkiem nie ma guzików - szepnął zjadliwie, naciskając klamkę.

Weszła do salonu z opanowaną miną, choć w środku wszystko w niej dygotało. Uśmiechnęła się przyjaźnie do Boba i Charlesa, a potem do Vivian i wysokiego blondyna, który, podobnie jak chłopcy, wstał na jej widok.

- Natalie, to jest Whit.

Kiedy Vivian przedstawiła ich sobie z rozplamionym wzrokiem, jej chłopak spojrzał na Natalie, jak gdyby odkrył właśnie złożę ropy naftowej.

Zapowiadały się niespodziewane komplikacje.

ROZDZIAŁ TRZECI

Sytuację pogarszał jeszcze fakt, że Whit skończył ten sam miejscowy college, w którym studiowała Natalie, i że mieli zajęcia z tymi samymi profesorami. Vivian nigdy nie chciała iść do college'u i sama nie wiedziała, co zrobić ze swoim życiem. Kilka miesięcy temu Mack postawił sprawę na ostrzu noża, żądając, żeby znalazła pracę albo poszła do jakiejś szkoły. Przerazona jedną i drugą perspektywą, zgodziła się w końcu zapisać na kurs programowania w miejscowej szkole zawodowej. Tam poznała Whita, który był nauczycielem angielskiego.

Przy obiedzie Natalie delikatnie naprowadziła rozmowę na kurs komputerowy, po to, żeby Vivian mogła się do niej włączyć. Ale Vivian była wściekła i z minuty na minutę stawała się coraz bardziej osowiała. A Natalie chętnie udusiłaby Macka za to, że postawił ją w takiej sytuacji. Gdyby tak pozwolił Vivian zaprosić Whita bez żadnych warunków!

- Vivian, dlaczego nie zapisałaś się do college'u na wydział informatyczny? - spytał protekcjonalnym tonem Whit.

- Kiedy się na to zdecydowałam, nie było już miejsc - odpowiedziała z wymuszonym uśmiechem. - Poza tym nie spotkałabym ciebie, gdybym poszła do college'u zamiast do szkoły zawodowej.

- Przypuszczam, że nie. - Uśmiechnął się do niej, ale natychmiast powrócił do rozmowy z Natalie. - Którą klasę chcesz uczyć?

- Pierwszą albo drugą. I muszę, niestety, wracać do domu. W przyszłym tygodniu mam egzaminy i będę się dzisiaj uczyć do późna w nocy.

- Nie poczekaś nawet na deser?

- Nie. Przykro mi.

- Odprowadzę cię do samochodu - powiedział Mack, uprzedzając propozycję Whita.

Whit uśmiechnął się, wyraźnie zmieszany, i poprosił Vivian o drugą filiżankę kawy.

Na dworze panowała gęsta ciemność. Mack siedł pierwszy, prowadząc Natalie za rękę.

- No i co? Kompletna katastrofa - wycedził przez zęby.

- To twoja katastrofa! Gdybyś się nie upierał, żebyśmy przyszła na tę kolację...

- Katastrofy to ostatnio moja specjalność - mruknął z udawanym rozbawieniem.

- Whit nie jest złym człowiekiem. Przeciętny facet, z tych, co skaczą z kwiatka na kwiatek. Wcześniej czy później Viv zauważy, że on ma rozbiegane oczy, i w końcu go rzuci.

Chyba że - dodała z naciskiem - ty zaczniesz go niszczyć. Wtedy wyjdzie za niego z czystej przekory!

- Nie zrobi tego, jeśli będziesz się tu pojawiać. - Zatrzymał się przy samochodzie i wypuścił jej rękę.

- Nie mam najmniejszego zamiaru! On mnie przyprawia o gęsią skórę. Gdybym nie miała na sobie tego szala, musiałabym się schować pod obrus!

- Prosiłem, żebyś się wystrzegła takich dekoltów.

- Włożyłam tę sukienkę, żeby zrobić ci na złość - przyznała. - Następnym razem przyjdę w płaszczu. Poza tym mówiłeś, że to chłopak. Jaki chłopak? On jest nauczycielem.

- W porównaniu ze mną to szczeniak.

- W porównaniu z tobą wszyscy mężczyźni są szczeniakami - powiedziała z irytacją. - Gdybyś miał służyć Viv za wzór męskości, w życiu by się z nikim nie umówiła!

- Nie zabrzmiało to jak komplement.

- Bo to nie jest komplement. Uważasz, że wszyscy mężczyźni powinni być tacy jak ty.

- Do czegoś w życiu doszedłem.

- Tak, jesteś człowiekiem sukcesu. Ale jeśli chodzi o współżycie z ludźmi, jesteś tragiczny!

- Czy to moja wina, że ludzie nie wykonują porządnie swoich obowiązków? Zresztą staram się nikogo nie czepiać, dopóki nie zobaczę, że ktoś popełnia naprawdę poważny błąd.

- Kelnerki, które przynoszą za słabą kawę... - Natalie zaczęła liczyć na palcach. - Kapele, które wkładają w grę za mało serca, strażacy, którzy nieprawidłowo trzymają węże...

- Może czasami niepotrzebnie się wtrącam, ale...

- Jesteś okropny - przerwała mu, zrezygnowana. - Jadę do domu.

- Dobry pomysł. Może ten anglista też się w końcu zmyje.

- Jeśli się będzie ociągał, zacznij wytykać mu jego błędy. - Natalie otworzyła drzwi i wsiadła do samochodu.

- Niezła myśl! - Pochylił się z uśmiechem do otwartego okna. - Nie spiesz się. Jest gęsta mgła. Jedź spokojnie do domku i zamknij drzwi na zasuwę.

- Przestań traktować mnie jak dziecko.

- I kto to mówi! Ja też jestem dorosły.

- Ale nie dbasz o siebie.

- Bo robisz to świetnie za mnie. Będziesz miała wolny wieczór w przyszły piątek?

- Bo co?

- Moglibyśmy zabrać Vivian i jej profesora do Billingsa na obiad, a potem obejrzyć nową sztukę.

- Nie wiem... W piątek mam egzamin.

- Ale po południu będziesz wolna. Stać cię na jedną nową sukienkę?

- Kupię sobie gustowną kolczugę - obiecała.

- Przyjedziemy po ciebie o piątej.

Uśmiechnął się i odsunął od samochodu, czekając, aż Natalie uruchomi silnik, a potem pomachał jej na pożegnanie i ruszył w stronę werandy. Patrzyła na niego bezradnie jeszcze przez kilka sekund. Coś się odmieniło w ich stosunkach. Była tym przerażona, a jednocześnie dawno nie czuła tak radosnego podniecenia.

Tej nocy Natalie śniła, że kocha się z Mackiem w jakimś ogromnym, podwójnym łóżku. Obudziła się spocona i nie mogła znów zasnąć.

Od rana padał rześisty deszcz. Gdyby temperatura trochę spadła, ulewa, mimo późnej wiosny, mogłaby się zamienić w śnieżycę. Pogoda w Montanie była trudno przewidywalna.

Natalie wyjęła skrypt do biologii i krzywiąc się, usiłowała przeczytać swoje notatki z wykładów. Myśl o zbliżającym się egzaminie przerażała ją. Genetyka była jej piętą achillesową, a anatomia zwierząt - czystym koszmarem. Profesor radził jej i reszcie swoich studentów, żeby więcej czasu poświęcili ćwiczeniom w laboratorium, bo będzie wymagał dokładnej znajomości układów naczyniowych.

Kuła przez całe popołudnie i tuż przed zmrokiem, kiedy poczuła się strasznie głodna, usłyszała pukanie do drzwi. Spodziewając się jedynie Vivian, poszła jej otworzyć na bosaka, w dżinsach i luźnej sportowej koszuli, bez makijażu i z nieuczesanymi włosami. Otworzyła drzwi i zobaczyła Macka - z wielką torbą jedzenia pod pachą.

- Ryba z frytkami - powiedział krótko.

- Dla mnie?

- Dla nas. - Wszedł do środka, nie czekając na zaproszenie. - Przyszedłem podszkolić cię w biologii.

- Podszkolić...?

- A może nie potrzebujesz pomocy?

- Zastanawiam się, czy nie zdać się na modlitwę... Albo pójdę na ten egzamin o kulach, żeby wzbudzić w profesorze litość.

- Znam twojego profesora i wiem, że nawet kontuzjowany kociak nie wzbudziłby w nim litości, gdyby próbował wymigać się od egzaminu. Mam zostać?

- Jasne - odparła ze śmiechem.

Wszedł do kuchni i zaczął rozstawiać talerze.

- Zaparzę świeżą kawę - zaproponowała nieśmiało.

- Masz ketchup?

- Chcesz jeść rybę z ketchupem?

- Nie jadam niczego, co nie pasuje do ketchupu.

- Lodów też nie?

- Z ketchupem dobre są waniliowe. - Faj!

- A gdzie twój głód przygody? - zakpił. - Trzeba próbować nowych rzeczy, bo to człowieka wzbogaca.

- Nie będę jeść lodów z ketchupem za żadne skarby, ale ty mógłbyś wzbogacić moją wiedzę biologiczną. Znasz się na genetyce? - spytała z ponurą miną, siadając przy małym kuchennym stole.

- Oczywiście! Przecież hoduję bydło.

- Boże, jak ja kocham tę biologię! - westchnęła.

- Najważniejsze, że kochasz dzieci. I chcesz je uczyć.

- Chyba masz rację. - Spojrzała na niego z wdzięcznością. - Ciągniesz jakoś te swoje studia internetowe?

- Tak. W tym semestrze zaliczam archeologię antropologiczną. Ludzkie kości. Opowiedzieć ci, czego się nauczyłem?

- Nie przy rybie i frytkach - odpowiedziała z niesmakiem. - Powiedz, w jakim nastroju jest Viv.

- Jest wściekła. Romeo sobie poszedł, nie umawiając się na następne spotkanie. Zastanawiała się, czy nie zadzwoni do ciebie.

- Nie zadzwoni! Spokojna głowa! Poza tym on nie jest w moim typie.

- A kto jest? Niejaki Markham? - spytał jadowitym głosem.

- Dave jest miły.

- Miły. - Mack przełknął ostatni kęs ryby i sięgnął po kawę. - A ja jestem miły?

- Jak kłębowisko grzechotników. - Z zadiorną miną wytrzymała jego drwiące spojrzenie.

- Tak też myślałem. - Poprawił się na krześle i nie odrywając od niej wzroku, przechylił na bok głowę. - Jesteś jedyną znaną mi kobietą, która wygląda najlepiej bez makijażu.

- Nie spodziewałam się towarzystwa.

- Zauważyłem. Ile lat ma ta bluzka? - spytał z pobłażliwym uśmiechem.

- Trzy. Ale jest wygodna.

Zmarszczył czoło i przyglądał się wypłowiałym wzorom podejrzanie długo.

- Zapewniam cię, że mam na sobie biustonosz! - wycedziła przez zęby.

- Naprawdę?

- Przestań się gapić.

- Tak jest, proszę pani! Zabieramy się do roboty. Opowiedz mi o grupach krwi.

Nie zdawała sobie sprawy, ile już umiała, dopóki nie zaczęła odpowiadać na konkretne pytania.

Przenieśli się do pokoju. Mack zdjął buty i wyciągnął się na kanapie, a Natalie wręczyła mu książkę i usiadła w fotelu. Czytał jej kolejne opisy, kazał powtarzać, a potem formułował pytania. Powtórzyli też anatomie ssaków - najdokładniej układy krążenia, które należały do żelaznego repertuaru egzaminacyjnego profesora. O dziesiątej Natalie zaczęła ziewać.

- Jesteś zmęczona. Powinnaś się dobrze wyspać, żeby pójść na ten egzamin w dobrej formie.

- Dzięki za pomoc.

- Od czego ma się sąsiadów? - zapytał z uśmiechem. - Co byś powiedziała na gorącą czekoladę, zanim sobie pójdę?

- Już się robi.

Wyciągnął się leniwie na dywanie, a gdy Natalie wróciła z kuchni z dwiema filiżankami parującego napoju, usiadła obok niego, opierając się plecami o kanapę.

- Myślisz, że poukładałaś sobie to wszystko w głowie? Czujesz się pewniej?

- Jestem obkuta na blachę! Dzięki.

- To samo zrobiłabyś dla mnie. - Wyjął jej z ręki pustą filiżankę i postawił obok swojej na stoliku.

- Tak, oczywiście.

- A jak z innymi przedmiotami?

- W porządku! Najbardziej bałam się tej koszmarnej genetyki. Nie wiem, jak to zrobiłeś, ale naprawdę dzięki tobie zaczęłam coś łapać.

- To jest to, na czym się znam, Nat. Bez wiedzy genetycznej nie zajmowałbym się specjalistyczną hodowlą.

- Chyba nie... - Mimowolnie utkwiała wzrok w jego twarzy, przyglądając się szerokim kościom policzkowym, prostej linii nosa, zmysłowym ustom. Podniecający dreszcz przebiegł jej po plecach.

- Dlaczego się tak wpatrujesz? Mam plamę na nosie? - Nie, zamyśliłam się...

- Nad czym?

- Zastanawiałam się, dlaczego nigdy mnie nie pocałowałeś - odpowiedziała ze spuszczoną głową.

- Nieprawda. Całowałem cię w Boże Narodzenie pod jemiolą.

- To miał być pocałunek?

- Jedyne rodzaje pocałunku, na jaki mogłem sobie pozwolić, wiedząc, że moi bracia i siostra cały czas się na nas gapią.

- Pewnie daliby ci popalić, gdybyś poważnie spróbował się kimś zainteresować.

- Kilka razy próbowałem poważnie zainteresować się tobą - odpowiedział bez uśmiechu. - Zdaje się, że tego nie zauważasz.

- Zauważam. - Zasłoniła dłońmi rozpalone policzki.

- Uciekasz - poprawił ją ciepłym głosem. - Chciałbym cię całować, Nat. Ale pocałunek to tylko początek. Rzadko się na nim kończy.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Ja nie mam zamiaru się żenić - powiedział bez ogródek. - A ty nie chcesz mieć stosunku.

- McKinzey! - krzyknęła oburzona.

- Jest na to inne słowo, jeśli wolisz...

- Spróbuj je wymówić, to palnę cię w łeb twoim własnym butem!

Sięgnęła po zapowiadzaną broń, ale on był szybszy. Złapał ją za rękę i błyskawicznym ruchem powalił na dywan, przytrzymując jej tułów nogą. Leżała na plecach i patrzyła w jego napiętą, ponurą twarz. Spodziewała się wybuchu śmiechu, może kpiących żartów, ale w jego wzroku nie było odrobiny rozbawienia.

Czuła jego napięte mięśnie, mocne bicie serca i jego oddech na swoich ustach. Zamknęła oczy, walcząc z ogarniającym ją podnieceniem. Nie wiedziała, czy spróbować obrócić wszystko w żart, czy próbować się wyrwać.

Mack jak gdyby wyczuł jej rozterkę, bo przesunął dalej nogę, zacieśniając jeszcze uchwyt. Szarpnęła ręką i uniosła w górę biodra.

- Nie rób tego - powiedział Mack niskim głosem - chyba że jesteś w bardzo lekkomyślnym nastroju.

Znieruchomiała.

Ułożył się koło niej na boku i spojrzał jej prosto w oczy.

- Wiesz, jak to na mnie działa? Czy tylko eksperymentujesz?

- Nie wiem, jak to działa na ciebie - mruknęła, łapiąc oddech. - Ja czuję się dziwnie.

- Jak dziwnie?

- Czuję się... spuchnięta - szepnęła cicho, jak gdyby wyznawała mu najgłębszy sekret.

- Gdzie? Tutaj? - Uniósł jej biodra i przycisnął do swoich.

Wstrzymała oddech, ale nie próbowała się wyrwać. Patrzyła na niego rozplómiętym wzrokiem.

- Pragnę cię - wyznał szeptem. - I teraz wiesz, co się dzieje, kiedy mężczyzna pragnie kobiety. Czujesz mnie, prawda? - Przygarnął ją mocniej i poruszył biodrami. - Lepiej, żebyś była pewna, Nat, czego naprawdę chcesz, zanim doprowadzisz mnie do szaleństwa.

Miała wrażenie, że topnieje w jego objęciach. Wyprężyła się jak struna i z jej gardła wydobył się cichy, gardłowy jęk.

- Powinien piorun we mnie strzelić - mruknął w jej rozchylone usta.

- Dlaczego?

- Nat...

Całował ją z niepohamowanym głodem, spełniając najskrytsze marzenie jej życia. Przestała myśleć i zapomniała o wszystkich lękach. Owinęła ręce wokół jego szyi i zatraciła się w tym pierwszym pocałunku bez reszty. Kiedy Mack uniósł się gwałtownie na łokciach i spojrzał w jej zamglone oczy, wiedział, że może mieć ją całą.

- Nie - szepnął cicho, kiedy wyciągnęła błagalnie ręce.

- Dlaczego? - spytała tonem rozżalonego dziecka. - Nie lubisz się ze mną całować?

- A jak ci się wydaje? - zaśmiał się ironicznie. Patrzyła na niego bez słowa, lekko zmieszana, ale jakby zupełnie nie rozumiejąc.

- Nie mam niczego w portfelu. Jeżeli chcesz się ze mną kochać, muszę skoczyć do miasta i kupić coś, co uchroni cię przed ciążą. Czy teraz wyraziłem się jasno?

- Masz na myśli.... seks?

- Mężczyźni uprawiają seks z dziewczynami na jedną noc. Ty do nich nie należysz.

- Nie? - Przyglądała mu się spokojnie, z nieukrywanym zaciekawieniem.

- Bardzo cię pragnę, Nat - szepnął - ale zagryzłyby cię wyrzuty sumienia, z zabezpieczeniem czy bez.

- Może...

- A może nie - powiedział weselszym tonem, kładąc palec na jej ustach. - Przyszedłem nauczyć cię biologii, a nie reprodukcji.

- Nie chcesz mieć dzieci...

- Nie chcę ich teraz. Kiedyś pewnie zechcę. - Musnął dłonią jej brwi. - Nat, masz niewielkie doświadczenie w kontaktach z mężczyznami.

- Robię, co mogę, żeby je zdobyć - mruknęła oschle.

- Powiem ci, co masz robić, kiedy przyjdzie na to czas.

- Jesteś pewien? - Zmrużyła oczy jak kotka.

- Jestem pewien.

- W porządku. Jeśli nie ma innego wyjścia, będę dalej żyć marzeniami.

- Mogę zapytać, jak o mnie marzysz?

- Oszczędzę ci zakłopotania. - Usiadła i przecesała palcami zmierzwione włosy.

- A więc to takie marzenia... - zachichotał.

- Nie sędzę, żebyś ty marzył o mnie.

Milczał przez długą chwilę, w końcu podniósł się zwinnym ruchem i zbył ją uśmiechem.

- Idę sobie, póki nie jest za późno.

- Tchórz! - mruknęła. - Zupełnie nie nadajesz się na nauczyciela. Nie masz cierpliwości do dociekliwych uczniów.

- Twojej dociekliwości wystarczy dla nas dwojga. Odprowadź mnie do drzwi.

- Jeśli muszę...

Zatrzymał się w otwartych drzwiach.

- Krok po krocisku, Nat - powiedział czule. - Bez pośpiechu. Spotkamy się w piątek, a teraz idź spać. Dobranoc.

Rozdygotana, na chwiejnych nogach, odprowadziła go wzrokiem do samochodu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Natalie, całą siłą woli próbując opanować zdenerwowanie, przeczytała wszystkie pytania testu egzaminacyjnego z biologii, i nagle opadł z niej cały strach. Była pewna, że zda, że skończy ze swoim rokiem studia, i że będzie mogła pracować w szkole! Wyszła z sali pięć minut przed czasem i niemal tańcząc z radości, pobiegła do samochodu. Nie mogła się doczekać piątku i chwili, w której podzieli się dobrą wiadomością z Mackiem.

Tydzień minął bardzo szybko. Była pewna swojego dyplomu, bo powiodło jej się na wszystkich egzaminach, a jedyną prawdziwą niespodzianką miał być końcowy stopień - uwzględniający również ocenę z praktyki nauczycielskiej - od którego w znacznym stopniu zależała jej przyszła kariera. Kiedy w piątek postawiła ostatnią kropkę na teście z angielskiego, poczuła się wolna. Wiedziała, że będzie jej brakowało koleżanek, kolegów i profesorów, ale to były męczące cztery lata.

Przez cały tydzień nie miała wiadomości od Macka. Vivian zadzwoniła w czwartek, żeby zapytać ją, czy nadal planuje spędzić z nimi piątkowy wieczór. Nie wydawała się zachwycona perspektywą randki we czwórkę. Natalie próbowała ją udobruchać, czuła jednak, że jej przyjaciółka jest zazdrosna, i zupełnie nie wiedziała, co z tym fantem zrobić. Postanowiła zadzwonić do Macka. Zawahała się, usłyszawszy jego władczy głos.

- Mack...?

- Nat? - spytał, wyraźnie zdziwiony, i natychmiast zmienił ton. - Myślałem, że nie pamiętasz już numeru mojego telefonu - powiedział łagodnie. - Co słychać?

- Muszę z tobą porozmawiać.

- Poczekaj chwilę.

Usłyszała, jak zakrywa ręką słuchawkę i zwraca się do kogoś tonem, który usłyszała, gdy odebrał telefon.

- Okay. Mów.

- Nie przez telefon.

- Dobrze. Zaraz do ciebie przyjadę.

- Ale ja właśnie wychodzę z domu. Muszę pojechać do miasta, żeby kupić na wieczór jakiś ciuch.

- Brawo - odpowiedział po chwili milczenia.

- To przez ciebie. Wyśmiewasz jedyną sukienkę, którą mam.

- Będę u ciebie za dziesięć minut.

- Powiedziałam ci, że muszę...

- Jadę z tobą - powiedział stanowczo. Połączenie zostało przerwane. Boże, ratuj, pomyślała, przewidując jakąś katastrofę. Mack zacnie rozstawiać po kątach ekspedientki, zrobi awanturę i w końcu ochroniarze będą musieli go obezwładnić.

Ale gdyby wskoczyła teraz do samochodu i pojechała na zakupy sama, wiedział, gdzie ją znaleźć. Będzie, co ma być - w końcu nie musiała kupować tej sukienki dzisiaj. Mogła włożyć tę, której nie lubił.

Zjawił się dokładnie po dziesięciu minutach. Nie gasząc silnika, otworzył drzwi od strony pasażera i czekał, aż Natalie zamknie dom na klucz. Był w nienagannie czystym ubraniu, przypuszczała więc, że tylko instruował swoich pracowników, a nie pomagał im spędzać bydło.

- Ilu twoich ludzi zrezygnowało dzisiaj z pracy? - spytała z uśmiechem, kiedy wyjechał na główną drogę.

- Skąd ci przyszło do głowy, że ktoś zrezygnował?

- Spęd bydła. - Oparła się o drzwi i patrzyła na jego profil z ironicznym uśmiechem. - Zawsze wtedy ktoś odchodzi. Zwykle jest to człowiek, który myśli, że zna się lepiej od ciebie na szczepieniach i komputerowej identyfikacji byków.

Poprawił się na fotelu i ostro dodał gazu.

- Odszedł Jones - przyznał po jakiejś minucie. - Ale już dawno miał zamiar to zrobić. Uważa, że jest zbyt dobrym programistą, żeby marnować swoje umiejętności dla hodowcy bydła.

- Na pewno nie podobał ci się sposób, w jaki oprogramował twój komputer.

- Bo zrobił to źle! - zawołał Mack. - Cholera, ten facet tak namieszał w rejestrze stada, że w ogóle nie byłem w stanie kontrolować przyrostu wagi!

- Rozumiem. - Zaśmiała się.

- Wrzucał do jednego worka dane o cielakach i reszcie bydła, a to jest kompletnie bez sensu!

- No tak... - Natalie z trudem pohamowała kolejny wybuch śmiechu.

- Powiedz lepiej, jak ci poszły egzaminy.

- Dużo lepiej, niż się spodziewałam. Dzięki za korepetycje z biologii. Nawet nie wiesz, jak mi pomogłeś.

- Sprawilo mi to przyjemność.

Nie była pewna, jak potraktować to wyznanie, i kiedy Mack zerknął na nią z szatańskim uśmiechem, zaczerwieniła się po uszy.

- Jaką sukienkę chcesz kupić?

- Najlepiej czarną.

- Podobno modny jest aksamit. Byłoby ci dobrze w zielonym aksamicie. Szmaragdowozielonym.

- Czyżby Glenna ubierała się w aksamity? - zapytała bez zastanowienia.

- Nie. - Patrzył na nią tak długo, na ile miał odwagę oderwać wzrok od drogi. Potem uśmiechnął się. - Podoba mi się to.

- Co ci się podoba?

- Że jesteś zazdrosna.

Odwróciła głowę do okna, zastanawiając się gorączkowo, co powiedzieć.

- To nie był zarzut - odezwał się po minucie.

- Tak czy inaczej, nie zamierzam być niczyją kochanką, gdybyś miał jakieś wątpliwości.

- Będę o tym pamiętał.

Kiedy dotarli do miasta, powiedziała mu, dokąd chce iść, i Mack zatrzymał się tuż przed wejściem do upatrzonego przez nią butiku.

- Nie musisz ze mną wchodzić - zaprotestowała, kiedy wysiadł pośpiesznie z samochodu.

- I wyjdiesz z tego sklepu z jakimś czarnym workiem na ramiączkach? Nie ma mowy! Idę z tobą. Wyobraź sobie, że jestem twoim osobistym konsultantem w sprawie mody.

- Dobrze - poddała się. - Ale jeśli zaczniesz pouczać sprzedawczynię, wychodzę.

- W porządku! Będę grzeczny jak aniołek.

W sklepie były dwie klientki, szperające wśród obrotowych stojaków z przecenionymi ubraniami. Gdy Natalie ruszyła w tamtą stronę, Mack wziął ją dyskretnie za rękę i poprowadził do ekskluzywnej części sklepu.

- Ale ja nie mogę...

- Chodź - szepnął, kładąc jej palec na ustach. Dotąd przesuwał wieszaki, aż znalazł piękną aksamitną suknię z rozkloszowanymi rękawami i dyskretnym trójkątnym dekoltem. Przyłożył ją do stojącej nieruchomo Natalie.

- Tak - powiedział cicho. - Ten kolor robi coś niesamowitego z twoimi oczami. Zmieniają odcień.

- Tak, to prawda - odezwała się zza jego pleców sprzedawczyni, kobieta w starszym wieku. - To niepowtarzalny model, i jest przeceniony - dodała z uśmiechem. - Zamówiliśmy tę suknię dla panny młodej, która niespodziewanie zaszła w ciążę i musiała ją zwrócić.

Natalie spojrzała na Macka z niepewną miną.

- W porządku - mruknął. - Cięża nie jest zaraźliwa. Sprzedawczyni odeszła szybko na bok. Młoda kobieta w drugim końcu sklepu nie mogła się powstrzymać i wybuchnęła śmiechem.

- Przymierz ją, Nat. Proszę cię, tak dla żartów. Natalie, lekko oszołomiona, bez słowa protestu pomaszerowała do przymierzami.

Nie chciała zgadywać, jakim cudem Mack tak bezbłędnie ocenił jej rozmiar. Ale suknia leżała na niej doskonale, i rzeczywiście zmieniała kolor jej oczu. Natalie wyglądała w niej elegancko, tajemniczo, nawet seksownie...

- No i jak? - spytał niecierpliwie Mack. Walczyła ze sobą przez moment, ale w końcu otworzyła wahadłowe drzwi i wyszła się pokazać.

Nic nie powiedział. Nie musiał. Z zaciśniętymi szczękami wpatrywał się w młodą, pociągającą kobietę, w przepięknym stroju, który oblekał jej ciało jak szyta na miarę rękawiczka.

- No i jak? - powtórzyła jak echo.

Spojrzał jej w oczy. Nie odezwał się ani słowem. Nie wyjął nawet rąk z kieszeni. Po prostu nie mógł przestać na nią patrzeć.

- Ta suknia została uszyta dla ciebie, moje dziecko - westchnęła sprzedawczyni.

- Bierzemy ją - powiedział cicho Mack.

- Ale nie jestem pewna... - Nie znalazła nigdzie metki z ceną i nie wiedziała, czy może sobie na ten luksus pozwolić.

- A ja jestem. - Odwrócił się na pięcie i odszedł ze sprzedawczynią do kasy.

Kiedy Natalie przebierała się we własne dzinsy i bluzkę, Mack podpisywał paragon rozliczeniowy. Wręczył go uśmiechniętej starszej pani wraz z długopisem, odebrał kartę i odwrócił się do Natalie, która wynurzyła się z przebieralni z sukienką przewieszoną przez ramię i pustym wieszakiem.

- Pozwól, kochanie, że ją zapakuję. Mam nadzieję, że będziesz z niej zadowolona.

- Dziękuję - powiedziała Natalie, niepewna, czy dziękuje sprzedawczyni, czy swojemu upartemu „konsultantowi”.

W samochodzie Mack położył suknię na tylnym siedzeniu.

- Przydałyby ci się do niej jakieś buty...

- Mam czarne skórzane pantofle, całkiem znośne, i pasującą do nich torebkę. Mack, jak mogłeś zapłacić za moją sukienkę? Wszyscy pomyślą, że...

- Nikt nie będzie wiedział, że nie kupiłaś jej sama, chyba że im o tym powiesz. -
Uśmiechnął się i wziął ją za rękę. - Nat, ona naprawdę została uszyta dla ciebie. Możesz włożyć ją dzisiaj, kiedy pójdziemy poszaleć do nocnego klubu.

- Wybieramy się do nocnego klubu?

- Wybieramy się do różnych miejsc. Pracę w szkole zaczniesz dopiero od jesieni, a to znaczy, że będziesz teraz miała mnóstwo wolnego czasu. Możemy jeździć na wycieczki, pikniki...

Leciutki dreszcz przebiegł po jej ciele. Patrzyła na jego piękne, długie palce zaciśnięte na jej dłoni.

- Wszyscy czworo?

- Ty i ja, Nat.

Po kilku minutach jazdy skręcił z głównej drogi w boczny trakt i zatrzymał się pod ogromnym drzewem pekanowym. Zgasił silnik.

- Z tym Markhamem to coś poważnego?

- Mówiłam ci, że jesteśmy przyjaciółmi.

- Jakiego rodzaju przyjaciółmi? Całowałaś się z nim?

- Nie... - odpowiedziała z irytacją w głosie.

- Dlaczego nie?

- Bo nie mam ochoty się z nim całować. Mack...

- Lubisz całować się ze mną.

- Denerwujesz mnie! - krzyknęła. - Nie rozumiem, dlaczego nagle zadajesz mi tyle pytań.

Odpiął obydwa pasy bezpieczeństwa i przyciągnął ją do siebie, układając na kolanach jak dziecko, plecami do kierowicy.

- Chciałbym wiedzieć - odezwał się po długiej chwili - czy masz jakieś dalekosiężne plany związane ze swoim kolegą nauczycielem.

- Nie takie, o jakich myślisz.

Zsunął rękę z jej ramienia i odpiął guziki bluzki. Westchnęła i dopiero wtedy kiedy poczuła ciepłą dłoń zamykającą się na jej piersi, chwyciła go za nadgarstek.

- Nie musisz udawać świętego oburzenia. Dotykałem cię tak niedawno.

- Nie powinienes - szepnęła.

- Dlaczego? Twoje ciało to lubi, nawet jeśli rozsądek protestuje.

- Moje ciało jest głupie.

- Nie. Ma dobry gust w wyborze mężczyzn - zażartował, muskając językiem jej policzek.

- Straciłeś rozum? Jest biały dzień i ktoś może tędy jechać.

- Powiemy, że pszczoła wleciała ci za bluzkę i musiałem ją wyjąć - mruknął, pochylając głowę. - Przestań się martwić głupstwami i pocałuj mnie.

Próbowała powiedzieć, że to nie jest dobry pomysł, ale nie zdążyła. Wróciło wspomnienie deszczowej nocy, kiedy zginął Carl, i Mack przyszedł ją pocieszyć. Trzymał ją w ramionach, tak jak teraz, a ona wsunęła dłoń za jego koszulę i dotykała nagiego torsu. Pamiętała, jak nagle stracił nad sobą panowanie...

Odsunęła się gwałtownie i spojrzała na niego wylęknionym wzrokiem.

- Nat... Co się stało?

- Nie chcę... żebyś się dręczył. Nie mogę komplikować ci życia.

- Już się skomplikowało. - Wsunął rękę za jej plecy i rozpiął biustonosz.

- Nie powinniśmy - szepnęła.

- W zasięgu wzroku nie ma żadnego samochodu - powiedział, rozejrzawszy się dookoła. - Poza tym nie mam zamiaru cię gwałcić w takim miejscu.

- O to cię nie podejrzewałam.

- Powiedz, że tego nie chcesz, i dam ci spokój - powiedział bez ogródek, choć ton jego głosu zdradzał wahanie.

Chciała. Naprawdę tego chciała. Powinna powiedzieć, żeby dał jej spokój. Ale on błędził delikatnie palcami po jej nagiej skórze, dając ledwie przedsmak pieszczoty, jakiej domagało się jej zdradzieckie ciało. Przyłgnęła do niego bezradnie, wstrzymując oddech.

- Tak myślałem - powiedział cicho. Potem delikatnie odstonił jej piersi.

Uwielbiała dotyk jego palców. Kochała też sposób, w jaki na nią patrzył - żarliwie, z niemym zachwytem, jak gdyby była dziełem sztuki. Nie mogła czuć wstydu.

- Nigdy, z nikim innym nie czułem tego, co czuję z tobą - wyszeptał, ogrzewając swoim oddechem jej nabrzmiałą brodawkę. - Czasami w nocy boję się, że kompletnie oszaleję...

Prawie go nie słyszała. Kiedy głodnymi wargami przywarł do jej piersi, wyprężyła się i przyciągnęła mocniej jego głowę.

- Ostrożnie - powiedział czule. - Nie chcę zrobić ci krzywdy.

- Nie zrobisz mi krzywdy. Proszę cię... - mruzczała nieprzytomnie - jeszcze...

- Dobrze, kochanie, mógłbym to robić bez końca...

Warkot nadjeżdżającego samochodu przywrócił ich do rzeczywistości. Mack spojrział w lusterko, skrzywił się i pomógł Natalie usiąść.

- Myślałem, że jesteśmy sami na tej planecie - powiedział z wymuszonym uśmiechem.

- Ale to było tylko pobożne życzenie. Pomóc ci?

- Poradzę sobie.

Patrzył, jak Natalie drżącą ręką zapina pas. Zrobił to samo i włączył stacyjkę.

- Z taką kobietą jak ty człowiek może zapomnieć o bożym świecie.

- To nie moja wina, że nie potrafię ci się oprzeć. Gdybyś przestał mnie rozbierać...

- Nie ma mowy. Nie miałbym już po co żyć. Poza tym - dodał z szatańskim uśmieszkiem - w jaki sposób zdobyłabyś doświadczenie?

- Zastanawiam się, czy nie zdobywam go za intensywnie.

- Nie martw się, nie namówię cię do zrobienia czegoś, do czego nie jesteś tak naprawdę gotowa.

- Myślisz, że mógłbyś?

- Wiem, że mógłbym. Ale znienawidziłabyś mnie za to. Może ja sam siebie bym znienawidził. Cokolwiek się stanie, musimy chcieć tego oboje. Żadnych podstępów, żadnych uwodzicielskich sztuczek.

- Nie będę z tobą spała - powiedziała stanowczym tonem.

- Zmieniłabyś zdanie. Ale ja też nie chcę, żeby do tego doszło. Na razie mam dostatecznie dużo obowiązków. Chłopcy dają sobie radę sami, ale Viv... Lepiej nie mówić. Wiesz, jaka jest teraz wściekła na ciebie?

- Dlatego, że Whit poświęcał mi za dużo uwagi... - powiedziała Natalie rozżalonym tonem.

- Właśnie.

- Przecież to nie moja wina.

- Wiem. Ale Vivian w to nie wierzy. Zapomniałaś, jak się zachowywała po śmierci Carla? Nigdy nie uważała ciebie za jego dziewczynę. Była przekonana, że umawiał się z tobą tylko po to, żeby być blisko niej. Kocham swoją siostrę, ale swoim zarozumiałstwem mogłaby obdzielić kilka kobiet.

- Vivian jest bardzo ładna. W przeciwieństwie do mnie.

- Nat? - Spojrział na nią z łagodnym uśmiechem. - Jesteś warta więcej niż dziesięć pięknych królewien. Masz rozum i dobre serce. Czasami za dobre. Nie potrafisz odmawiać ludziom i dajesz się im wykorzystywać.

- Tak, zauważyłam to. Tylko dlatego, że pozwoliłam ci się pocałować...

- Nie zagalopuj się - ostrzegł ją. - To jest wzajemne pożądanie. Kochasz moje pocałunki, prawda? Drżysz z podniecenia, kiedy cię dotykam. Nie potrafisz nawet tego ukryć.

Skrzyżowała nogi i odwróciła się do okna.

- Nie znałam wielu mężczyznach, więc łatwo mnie omotać.

- Naprawdę? W takim razie dlaczego nie pozwalasz się dotykać swojemu koledze nauczycielowi?

- Pojawiłeś się w moim życiu wówczas, kiedy byłam bardzo wrażliwa i naiwna. W tym wieku to zrozumiałe. Pamiętasz, co mówiłam o kaczych pisklętach i pierwszym doświadczeniu?

- Nie jesteś kaczym pisklęciem.

- Ale jestem naznaczona tamtym doświadczeniem - powiedziała ze złością. - Jestem też stracona dla innych mężczyzn z powodu jednej nocy. Nie powinieneś być się do mnie zbliżać. Wiedziałeś, w jakim jestem stanie!

- Nie mogłem zostawić cię wtedy samej i pozwolić, żebyś rozpaczła w pustym domu. Zresztą... może byłaś zrozpaczona, ale nie za bardzo protestowałaś.

- Zostawiłeś mi za mało oddechu, żebyśmy mogła protestować! Może byłam kompletną idiotką w tych sprawach, ale tobie nie brakowało doświadczenia! I skutecznie je wykorzystałeś!

- Przykro mi z powodu Carla, ale on nie był chłopakiem dla ciebie. Lubił bardziej rozrywkowe dziewczyny, i nie miał zamiaru się żenić przed ukończeniem college'u. Złamałby ci serce.

- To jest moje serce i mogłam robić z nim, co chciałam! Zatrzymał się na czerwonym świetle i spojrzał w jej pałające gniewem oczy.

- Jak na inteligentną kobietę, jesteś nieprawdopodobnie naiwna. Naprawdę myślałaś, że Carl jest w tobie zakochany? Że dlatego się z tobą umawiał?

- Tak, powiedział mi to!

- Opowiadał swoim koleżkom, że spotyka się z tobą, bo jego brat założył się z nim, że mu z tobą nie pójdzie. To łagodna wersja - dodał ponuro - szczegółów ci oszczędzę.

- Skąd o tym wiesz? - spytała z furią w głosie.

- Jego młodszy brat przyjaźnił się z Bobem. Kiedy Bob to usłyszał, przyszedł do mnie. Dlatego uprzedziłem Carla - i jego rodziców - co mu zrobię, jeśli spróbuje cię uwieść.

Była zdruzgotana. Cztery miesiące opłakiwała Carla, a teraz dowiaduje się, że on jej nigdy nie kochał. Prowadził grę. Bawił się nią. Oparła się o szybę, powstrzymując łzy. Dlaczego się nie domyśliła? I dlaczego Mack nie powiedział jej o tym kilka lat temu?

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Przepraszam. Niepotrzebnie ci to powiedziałem.

- Powinieneś to zrobić wiele lat temu. - Natalie wyjęła z torebki chusteczkę, żeby wytrzeć oczy. - Boże, jaką ja byłam idiotką!

- Byłaś naiwna. Widziałaś to, co chciałaś widzieć. Mówił łagodnym tonem, ale Natalie czuła, że jest wściekły. Zastanawiała się, co jeszcze Carl powiedział Bobowi, ale bała się o to zapytać. Mack bębnił nerwowo palcami w kierownicę.

- Miałaś siedemnaście lat, wyobrażałaś go sobie jako partnera na całe życie. Nic by z tego nie wyszło.

Wyczuła w jego głosie zakłopotanie. Odwróciła się i zobaczyła w jego twarzy coś, czego wolałaby nie widzieć.

- Tamtej nocy... robiłeś to ze mną specjalnie.

- Tak - przyznał cicho. - Chciałem... żebyś miała przynajmniej jakieś porównanie z tym, czego już doświadczyłaś. - Zacisnął nerwowo szczęki. - Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo jesteś niewinna, a potem było za późno.

- Za późno?

Zwolnił przed zakrętem. Wyglądał na tak przejętego, że nie powiedziała nic więcej.

- Może to rzeczywiście było jak naznaczenie - westchnął ciężko. - Nie powinienem był cię dotykać. Byłaś o wiele za młoda.

- Myślisz, że cię za to obwiniam?

- Sam się obwiniam. Od tamtej pory żyjesz jak odludek.

- Nie było szansy, żeby ktoś zrobił na mnie większe wrażenie niż ty - odparła i uśmiechnęła się smutno.

- Wzajemnie - wydusił z siebie po chwili. - Tak naprawdę nie spodziewałem się, że jesteś zupełnie niedoświadczona... Byłem w szoku, kiedy się zorientowałem.

- Skąd miałaś taką pewność? - zapytała z irytacją.

- Nat, doświadczona kobieta daje tyle, ile dostaje. Ty byłaś oszołomiona, zafascynowana wszystkim, co robiłem - i wpadłem po uszy szybciej, niż się spodziewałem. Od lat śni mi się tamta noc - dodał ze ściśniętym gardłem.

- Szczerłość za szczerłość: mnie też.

- Powinienem był wrócić do domu, zanim mnie podkusiło.

Obrzuciła wzrokiem jego twarz. Nigdy nie poznała kogoś takiego jak on. Nie wierzyła, że istnieje ktoś taki jak Mack. Od tamtej niewiarygodnej nocy nadawał barwę jej snom, był całym jej światem.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, parsknął śmiechem.

- Szczerłość szczerością, ale nic nie cofnie przeszłości, i dalej nie wiemy, jak z tego wybrnąć. Ty nie jesteś wyzwoloną kobietą, ja pozostaję zaprzysięgłym kawalerem.

- Naprawdę? Myślałam, że to przez swojego ojca boisz się małżeństwa. Z tego, co wszyscy mówią, twoi rodzice zupełnie do siebie nie pasowali.

- Ci wszyscy to pewnie moja siostra. Vivian nie pamięta naszej matki.

- A ty ją pamiętasz? - zdziwiła się.

- Umarła i zostawiła ojca z czwórką dzieci. Nie czuł się na siłach wychować choćby jedno z nas. Myślę, że zaczął pić z bezradności, a potem nie mógł przestać.

- Mack, czy ty naprawdę myślisz, że jesteś taki jak on?

- Podobno tyranizowane dzieci stają się rodzicami tyranami - powiedział bez zastanowienia, i natychmiast tego pożałował.

- Podobno. - Natalie kiwnęła głową, jak gdyby spodziewała się tej odpowiedzi. - Ale od każdej reguły są wyjątki. Gdybyś miał zadatki na tyrana, Vivian, Bob i Charles już dawno zgłosiliby się do kuratora i poprosili o umieszczenie ich w rodzinie zastępczej.

- Vivian za nic by nie zrezygnowała z luksusu szastania pieniędzmi - zakpił gorzko.

- Przestań. Wiesz, że ona cię kocha. Tak samo jak chłopcy. Jesteś najlepszym człowiekiem, jakiego znam.

- Zebrało ci się na pochlebstwa?

- Nie, to fakt. - Wolnym, delikatnym ruchem pogładziła jego rękę. - Jesteś...

- Nie rób tego.

- Przepraszam. - Zaśmiała się, żeby rozładować atmosferę, ale jej twarz oblała się rumieńcem.

- Nie chciałem cię urazić - powiedział gniewnie. - Ale nie prowokuj mnie, Nat.

Otworzyła szeroko oczy.

- Dalej nie masz bladego pojęcia, jak na mnie działasz, prawda? Co się ze mną dzieje, kiedy mnie tak dotykasz? - spytał zniecierpliwionym głosem. - Ten mój zewnętrzny spokój to poza. Ciągłe cię widzę w tej aksamitnej sukni i nawet nie wiesz, jak mnie korci, żeby zatrzymać samochód i... - Zacisnął szczęki. - Mam za sobą długi okres postu. Nie doprowadzaj mnie do szaleństwa.

- A Glenna?

- Dobrze wiesz, jak się między nami układa. Jest ładna i bardzo chętna. Ale nie jest tobą.

- Biedna Glenna.

- Biedny Dave - odparował z kpiącym uśmiechem.

- Wszyscy mówią, że jest bardzo przystojny.

- Wszyscy mówią, że Glenna jest bardzo ładna. Natalie potrząsnęła głową i odwróciła się do okna.

- Vivian prawie się do mnie nie odzywa - powiedziała, żeby zmienić temat. - Wiem, że jest zazdrosna, i czuję, że Whit celowo wlepia we mnie oczy, żeby ją denerwować.

- Jasne, że tak. To stara sztuczka, ale bardzo skuteczna.

- Nie rozumiem.

- Udaje, że nie jest nią zainteresowany, żeby się bardziej o niego starała. Do momentu, kiedy będzie tak zdesperowana, że zrobi dla niego wszystko. - Mack zmrużył wściekle oczy. - Ona jest bogata, Nat. A on nie. Nieźle zarabia jak na nauczyciela, ale przepuszcza wszystko na automatach do gry.

- Biedna Viv...

- Byłaby biedna, gdyby za niego wyszła. Dlatego go nie polubię. Ten facet jest nałogowym hazardzistą i nie widzi w tym żadnego problemu. Viv o tym nie wie.

- A gdybyś jej powiedział?

- Nie uwierzy mi. Pomyśli, że się na niego uwzięłem. Stacją na to, żeby wyjść za niego po kryjomu. - Wzruszył ramionami. - Jestem między młotem a kowadłem.

- Może powinnam go ośmielić...

- Nie.

- Ale to mogłoby...

- Powiedziałem, że nie - powtórzył stanowczo. - Sam to jakoś załatwię. A ty bądź gotowa o piątej.

- Tak jest, szefie!

Była gotowa dużo wcześniej. Kiedy Mack wysiadł z lincolna i wszedł na werandę, drżącą ręką zamykała drzwi na klucz.

- Ty też dobrze wyglądasz - odpowiedziała na jego powłóczyście, pełne zachwyty spojrzenie. - Chyba po raz pierwszy widzę cię w smokingu.

- To nawet dobrze, że nie będziemy dzisiaj sami - mruknął, prowadząc ją za rękę do samochodu. - W tej sukni nawet świętego sprowadziłabyś z drogi cnoty.

- Nie zdejmę jej dla ciebie. Jesteś zaprzysiężonym kawalerem.

- Spróbuj zmienić moje zdanie.

- To coś nowego! - Natalie zaśmiała się swobodnie, chociaż jej serce zaczęło bić jak oszalałe.

- Dzisiejszy wieczór to też coś nowego, Nat. To nasza pierwsza randka.

- Uhm... - Kiedy Mack otwierał drzwi, przyłożyła rękę do gorącego policzka.

Na tylnym siedzeniu Vivian i Whit odsunęli się od siebie raptownie, a Vivian roześmiała się perliście, odrzucając do tyłu jasne włosy.

- Część, Nat! Wyglądasz bosko!

- Ty też - odpowiedziała szczerze. Jej przyjaciółka, w błękitnej jedwabnej kreacji, naprawdę porażała swoją urodą.

Whit, chociaż był w wieczorowym stroju jak Mack, wyglądał przy niej jak prowincjusz. Vivian jednak tego nie zauważała.

- Mam czarną aksamitną sukienkę, naprawdę niezłą, ale wolałam włożyć coś, co mniej krępuje ruchy.

- Aksamit jest bardzo ładny - zgodziła się Natalie.

- I bardzo drogi...

- Nawet studentkom college'u udzielają kredytów - odpowiedziała tonem, jakiego rzadko zdarzało jej się używać.

- Oczywiście. - Vivian spąsowiała.

- Nie wszyscy są bogaci, Vivian - dodał chłodnym tonem Whit. - To fajnie, że masz kasę, na co tylko chcesz, ale my, zwykli śmiertelnicy, musimy płacić comiesięczne rachunki.

- Powiedziałam: przepraszam.

- Tak? To może nie dosłyszałem.

- Jaką sztukę obejrzymy? - spytała szybko Natalie, próbując ratować sytuację.

- „Arszenik i stare koronki” - odpowiedział Mack. - Przygotowali ją studenci z college'u Billingsa. Podobno świetne przedstawienie.

- College Medicine Ridge też ma niezły wydział teatralny, prawda, Natalie? - Whit podjął towarzyską rozmowę. - Miałem nawet zajęcia aktorskie, ale nie radziłem sobie z tremą.

- Ja też. Zupełnie się do tego nie nadawałam.

- W ostatniej klasie szkoły grałam główną rolę - wtrąciła chłodno Vivian.

- Pamiętam, grałaś Stellę! Byłaś fantastyczna - powiedziała z uśmiechem Natalie. - Nawet stary profesor Blake nie mógł wyjść z podziwu dla twojej roli.

- Stellę? - zdziwił się Whit.

- W „Tramwaju zwanym pożądaniem” Williamsa.

- To jeden z moich ulubionych dramatów. - Odwrócił się do Vivian. - Grałaś główną rolę? Nigdy mi o tym nie mówiłaś!

Vivian rozpromieniła się natychmiast i przez kilka następnych minut raczyła Whita opowieścią o swojej przygodzie aktorskiej. Natalie i Mack wymienili dyskretne uśmiechy. Przy odrobinie szczęścia refleks Natalie mógł ocalić ten wieczór.

Po przedstawieniu, które wszystkim szczerze się podobało, poszli do nocnego klubu na późną kolację. Natalie i Mack zamówili stek z sałatą, natomiast Vivian i Whitowi udało się wybrać najdroższe dania z karty.

W każdy piątkowy wieczór grał do tańca jakiś zespół i po zjedzeniu deseru Natalie znalazła się na parkiecie w ramionach Macka.

- Warto było na to czekać cały długi dzień - szepnął jej do ucha. - Wiedziałem, że ta sukienka będzie cudowna w dotyku.

- Myślałam, że Vivian zapyta wprost, jak mogłam sobie na nią pozwolić - westchnęła, zamykając oczy. - Nie powinienesz być...

- Powinienem... - Zrobił obrót, przyciskając jeszcze mocniej do siebie jej biodra.

Poczuła, jak gwałtownie reaguje jego ciało. Zmyliła krok i omal nie upadła.

- Przepraszam - powiedziała. Zaśmiał się tylko, nie przerywając tańca.

- To są właśnie nieuniknione konsekwencje pewnego zdarzenia sprzed lat. Nie przejmuj się. Nikt tego nie zauważy. Jesteśmy tu sami.

Zerknęła na kilkanaście par kołyszących się leniwie w rytm muzyki i też się roześmiała.

- Właśnie widzę.

- Nie wykonuj tylko żadnych nieostrożnych ruchów. Niewiele trzeba, żebyśmy wywołali skandal.

- Tak myślisz? - Poczuła jego ciepłe wargi na czole i uśmiechnęła się sennie.

- Pamiętasz, co ci powiedziałem tamtej nocy?

- Mówiłeś mi różne rzeczy.

- Powiedziałem, że kiedy będziesz dostatecznie dorosła, nauczę cię wszystkiego, co powinnaś wiedzieć o mężczyznach. - Zwolnił krok i przytulił ją mocniej. - Jesteś już dostatecznie dorosła, Nat. Czujesz, co ze mną robisz...?

- Przestań - wyszeptwała.

- Przepraszam. Ale to nie działa w ten sposób. Pomógłby mi zimny prysznic, ale tutaj jest to raczej niemożliwe. Nat... Zawieźmy Vivian i jej profesora do domu...

- A potem?

- Moglibyśmy robić to, co robiliśmy tamtej nocy.

- Proszę cię, przestań... - Czuła, że ma nogi jak z waty.

- Nie da się zatrzymać lawiny słowami - szeptał. - Opętałaś mnie, Nat. To jest nie do wytrzymania.

- To pożądanie - odparła. - Co z nami będzie, kiedy je zaspokoisz?

- Tego się nie da zaspokoić raz na zawsze. Nie wiesz, jak to jest. Lubisz moje pocałunki, pieszczoty, ale nie wiesz, czym jest prawdziwe pożądanie.

- To ty się zawsze wycofujesz.

- Muszę. - Zacisnął dłoń na jej talii. - Nie masz pojęcia, co by było, gdybym się nie wycofał.

- Ja mam dwadzieścia dwa lata, Mack. Prawie dwadzieścia trzy. W tym wieku każda normalna kobieta, nawet z małego miasteczka, powinna mieć jakieś pojęcie o stosunkach z mężczyznami...

- Ja mówię o stosunkach fizycznych. To nie jest coś, co można mieć raz, a później o tym zapomnieć. To nałóg. - Słyszając, że muzyka cichnie, zaczerpnął głęboko powietrza. - Niebezpieczny nałóg. Z tobą to byłoby coś zupełnie innego.

- Nie rozumiem.

- Wiem. I tym mnie właśnie dobijasz!

- To irracjonalne - mruknęła pod nosem. Przycisnął ją do siebie szybkim ruchem i ze złośliwą satysfakcją patrzył, jak pąsowieje.

- A to, co teraz czujesz, jest racjonalne?

- Nie. Ale wciąż starasz się mnie uchronić przed czymś, co musi się kiedyś wydarzyć.

- Być może. - Zacisnął jeszcze mocniej szczęki. - Ale mówiłem ci, że nie nadaję się do małżeństwa. Dlatego musiałbym najpierw stracić rozum, żeby wziąć cię do łóżka.

- Dave by nie musiał. Whit raczej też nie... - Zerknęła na partnera Vivian, który patrzył na nią z takim samym zainteresowaniem jak na swoją dziewczynę.

- Radzę ci z nim nie zaczynać - wycedził Mack przez zęby, zaciskając kurczowo rękę na jej talii. - Vivian nigdy by ci nie wybaczyła. Ja też nie.

- Żartowałam.

- Ale ja nie żartuję.

- Traktujesz mnie jak dziecko, a potem nagle masz pretensję, że cię prowokuję! Przecież to ty masz doświadczenie.

- Jesteś dla mnie za młoda. - Uwolnił ją raptownie z uścisku i odsunął się.

- Jestem tylko o sześć lat młodsza od ciebie.

- Powiedz, czego ty ode mnie oczekujesz? - spytał aroganckim tonem.
- Chcę, żebyś był moim przyjacielem - odpowiedziała po długiej chwili.
- Jestem nim.
- Więc nie rozumiem, w czym problem.
- Przed chwilą to czułaś.
- Mack!

Chwycił ją za rękę i poprowadził do ich stolika.

Natalie była rozdygotana i wściekła na Macka, że igrał z nią w ten sposób. Wiedząc, że ma rozpalone policzki, starała się uniknąć wzroku Vivian.

- Nie siadaj. - Whit złapał ją za rękę, zanim podeszła do krzesła. - Ten taniec jest mój.

Zaciągnął ją na parkiet, ku jawnemu niezadowoleniu rodzeństwa McKillainów, i kiedy zaczął się wolny taniec, porwał ją zachłannie w objęcia.

- Możesz mnie tak nie ściskać? - zapytała z furią w głosie.

- Przepraszam. - Odsunął się i spojrzał na nią z ironicznym uśmiechem. - Wielki brat tańczył z tobą w ten sposób. Ale on to prawie twój krewny, nieprawdaż? Podobno chodziłyście z Vivian do tej samej szkoły.

- Tak. Przyjaźnimy się od dawna.

- Ona jest o ciebie zazdrosna.

- Bzdura! - Natalie roześmiała się głośno. - Ona jest piękna i ma tego świadomość.

- Nie o to mi chodziło. Vivian zazdrości ci dobrego charakteru i inteligencji. Jej brakuje jednego i drugiego. - Dziwny sposób rozmawiania o dziewczynie, na której ci podobno zależy.

- Bardzo lubię Vivian. Ale ona jest taka jak mnóstwo innych - zapatrzona w siebie, rozpuszczona, żądająca od życia wszystkiego, na co przyjdzie jej ochota. Założę się, że nie trafiła jeszcze na faceta, który powiedziałby jej „nie”.

- Myślę, że nikt jej tego nie powie - odparła Natalie z uśmiechem. - Jest bardzo ładna i sympatyczna, a wady mają wszyscy.

- Jest ładna i bogata. Większości mężczyźn to wystarczy. Kiedy zaczynasz uczyć?

- Na jesieni. Jeśli zdałam egzaminy.

- Nie wolałabyś się gdzieś przenieść? Przeglądałem w Internecie oferty dla nauczycieli. Mnóstwo wakatów jest w północnym Teksasie, najwięcej w Dallas. Mnie zawsze ciągnęło do Teksasu.

- Nie chciałabym mieszkać tak daleko od domu.

- Ale ty nie masz tu rodziny, prawda? Vivian mi mówiła, że straciłaś rodziców w dzieciństwie.

- Tutaj urodziła się moja mama, babcia i prababcia. Tu są moje korzenie.

- Oby nie stały się pułapką, jak to bywa z poduszkami bezpieczeństwa. Naprawdę chcesz spędzić resztę życia w takiej dziurze?

- Dziwne pytanie jak na kogoś, kto przyjechał do tej dziury z Los Angeles.

- Z Newady - powiedział, nie patrząc jej w oczy. - Miałem dosyć wyścigu szczurów. Szukałem jakiegoś spokojnego miejsca, ale to jest trochę za spokojne.

- Lubisz uczyć?

- Nie za bardzo. Szczerze mówiąc, miałem większe ambicje. Marzyło mi się budowanie domów i zarabianie pieniędzy, ale nie dostałem się na architekturę.

- To przykre.

- Więc uczyć angielskiego - dodał z gorzkim uśmiechem.

- Vivian mówi, że jesteś bardzo dobrym nauczycielem.

- Nie stać mnie na porządny garnitur. Kiedy sobie przypomnę, jak kiedyś żyłem, skręcam się ze złości.

- Co robiłeś, zanim zostałeś nauczycielem?

- Handlowałem nieruchomościami. To bardzo lukratywny interes.

- Nie mógłbyś postarać się o licencję tutaj, w Montanie, i wrócić do tego zajęcia?

- Dzisiaj nikt nie kupuje ziemi w Montanie.

- Chyba nie.

Kiedy odprowadził ją na miejsce, Vivian zerwała się na równe nogi.

- Teraz moja kolej - powiedziała z uśmiechem na ustach i gniewem w oczach.

- Jasne!

- O czym rozmawialiście? - spytał niecierpliwie Mack.

- Próbowałam z niego wyciągnąć, czym się przedtem zajmował. Powiedział, że handlował nieruchomościami w Newadzie.

- Akurat! Wypij drinka i zaraz jedziemy. Jutro rano mam ważne spotkanie.

- Tak jest, szefie! - odpowiedziała Natalie.

Mack odwiózł najpierw do domu Natalie i odprowadził ją do drzwi.

- Spróbuj nie wplątać się w kłopoty - ostrzegł. - Wpadnę jutro do twojego sklepu.

- Sadie zajmuje się zakupami, a nie ty.

- Mogę ją wyręczyć, jeśli przyjdzie mi na to ochota. - Poczekał, aż Natalie spojrzy na niego. - Pamiętaj, że najpierw chciałem odwiedzić do domu Vivian i Whita.

- Dzięki za dobre chęci - powiedziała z uśmiechem.

- To nie jest odpowiedni dzień. Jeszcze nie. - Pochylił się i musnął pocałunkiem jej czoło. - Ale następny wspólny wieczór zakończymy inaczej.

Natalie poczekała, aż wróci do samochodu i pomachała mu na pożegnanie. Marzyła o jego pocałunkach... O niczym innym nie była w stanie myśleć. I całą długą noc śniła o Macku.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W środku tygodnia, akurat tego dnia, kiedy Natalie mogła dłużej pospać, zadzwonił rano telefon. To był Mack.

- Chodzi o Viv - powiedział, darując sobie formalne powitanie. - Z samego rana musiałem ją zawieźć na ostry dyżur. Stwierdzili grypowe zapalenie płuc. Nie zgodziła się zostać w szpitalu, a ja muszę polecieć do Dallas w bardzo ważnej sprawie. Za półtorej godziny mam samolot. Bob i Charles są na polowaniu. Krótko mówiąc, chciałem cię prosić o pomoc. Możesz pobyć z Viv do mojego powrotu?

- Oczywiście, że tak. Jak długo cię nie będzie?

- Jeśli wszystko dzisiaj załatwię, wrócę koło północy. W najgorszym razie jutro.

- Do pracy idę dopiero jutro po południu. Bardzo chętnie zostanę z Vivian. Pewnie lekarz dał ci receptę. Odebrałeś w aptece lekarstwa?

- Nie. Muszę to zrobić...

- Daj spokój! Wpadnę po nie po drodze. Jedź spokojnie na lotnisko. Będę u Vivian za pół godziny.

- Zadzwonię do apteki i podam im numer swojej karty. Nie będziesz musiała za nic płacić.

- Dzięki.

- To ja ci dziękuję. Viv bardzo źle się czuje, ale nie powinna ci sprawić specjalnych kłopotów. Aha, jest tylko jeden problem - powiedział ze złością. - Whit u niej jest.

- To powinno poprawić jej nastrój.

- Wiem, że go nie lubisz, ale ona myśli inaczej. Nie zwracałbym ci głowy, gdybym miał inne wyjście. Naprawdę wolę jej z nim nie zostawiać.

- Nie ma sprawy, Mack. Uważaj na siebie.

- Spokojna głowa!

- I tak trzymaj.

- Ty też na siebie uważaj. I włóż płaszcz. Zaczęło siąpić.

- Zgoda, jeśli ty też włożysz swój.

- Poddaję się. - Parsknął śmiechem. - Postaram się Wrócić jak najszybciej.

Viv wyglądała na wycieńczoną i obolałą, ale zdobyła się na błądy uśmiech, kiedy Natalie weszła do jej sypialni z torbą lekarstw i zimnym napojem. Whit siedział rozparty w fotelu przy łóżku. Miał znudzoną minę. Na widok Natalie wyraźnie zapłoneły mu oczy.

- Cześć! Świetnie wyglądasz.

Obie jednocześnie zmroziły go wzrokiem.

- Whit, mógłbyś zaparzyć dla nas kawę? - spytała gniewnie Viv.

- Z przyjemnością. - Wstał leniwie z fotela. - Nat, używasz cukru albo mleka?

- Nikt poza Mackiem nie nazywa mnie Nat. - Odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy. - Przyjmij to do wiadomości.

- Przepraszam - powiedział z nerwowym śmiechem.

- Pójdę zaparzyć tę kawę.

Gdy zamknął za sobą drzwi, Viv rzuciła przyjaciółce lodowate spojrzenie.

- Nie musisz na niego napadać. Był po prostu uprzejmy.

- Tak ci się wydaje? - Natalie uniosła ze zdumienia brwi.

- Mack niepotrzebnie do ciebie zadzwonił. Wiedział, że jest ze mną Whit.

- Uważał, że potrzebujesz opieki - powiedziała łagodnie, choć poczuła się jak nieproszony gość.

- Żartujesz! Uważał, że potrzebuję przyzwoitki. A mnie wystarczy Whit.

- W porządku, już sobie idę. - Zmusiła się do uśmiechu.

- Tu są twoje lekarstwa, o resztę, mam nadzieję, zadba Whit. Przepraszam za najście. - Odwróciła się i ruszyła do drzwi.

- Och, Nat, proszę cię, zostań! - Viv jęknęła żałośnie.

- Przepraszam! Jestem okropna. Wróc, błagam!

- Masz Whita... - Natalie zatrzymała się w otwartych drzwiach.

- Zostań...

Zamknęła drzwi, wolnym krokiem podeszła do łóżka i usiadła w fotelu.

- Posłuchaj... Whit mnie nie lubi. Flirtuje ze mną, żeby wzbudzić w tobie zazdrość.

Naprawdę tego nie widzisz? Nie jestem ani ładna, ani bogata. W przeciwieństwie do ciebie.

- To znaczy, że nie lubiłabyś mnie, gdybym była biedna?

- Viv, wiem, że źle się czujesz, ale zdobądź się na trochę rozsądku. Jesteśmy przyjaciółkami od tylu lat. Nie wiem, co się z tobą dzieje, ale ostatnio bardzo się zmieniłaś.

- On ciągle o tobie mówi, nawet kiedy jesteśmy sami.

- To nie jest to, o czym myślisz. Whit nigdy nie zrobił ani nie powiedział niczego, co mogłoby uzasadnić twoje podejrzenia.

- On jest bardzo atrakcyjny.

- Ty też. Ale w tej chwili jesteś chora i nie powinnaś się niczym przejmować. Mack prosił, żebym się tobą zaopiekowała i po to tu przyszedłam.

- Wiesz, że Glenna poleciała z nim do Dallas? - zapytała Vivian z jadem w głosie.

- Po co? - Natalie próbowała zachować kamienną twarz.

- Diabli wiedzą! Pewnie miała tam coś do załatwienia. Swoją drogą, nie wierzę, żeby Mack wrócił dzisiaj w nocy. A ty?

Natalie patrzyła na nią przez chwilę nieruchomym wzrokiem.

- Viv, ty naprawdę jesteś potworem - wysyczała przez zaciśnięte zęby.

- Tak, chyba masz rację - zgodziła się Vivian po minucie. - Mack powiedział, że nie mógłby obarczyć żony odpowiedzialnością za naszą trójkę. Wiem, że Glenna by na to nie poszła. Ona mnie nie znosi.

- Ja wiem tylko, że Mack was bardzo kocha - odpowiedziała Natalie, poruszona tym, co usłyszała od Viv.

- Ale nie jest moim ojcem. Bob i Charles kończą za dwa lata szkołę średnią. Bob wybiera się do wojska, Charles chce studiować prawo na Harvardzie. Jeśli ja wyjdę za Whita - a mam taki zamiar - Mack będzie miał cały dom dla siebie - mówiła lodowatym tonem, nie patrząc Natalie w oczy. - Wyszłabyś za niego, gdyby ci to zaproponował?

- Nie proponuje.

- Jesteś tego pewna?

- Tak - odpowiedziała cicho. - Mack nie chce się z nikim wiązać. Wiele razy powtarzał, że małżeństwo jest nie dla niego. Prawdopodobnie Glenna też się do tego nie rwie, więc powinni być ze sobą szczęśliwi.

- Może masz rację. - Viv mierzyła teraz przyjaciółkę zaciekawionym wzrokiem. - Ale on jest wobec ciebie taki opiekuńczy.

- Dlaczego miałyby nie być opiekuńczy? Traktuje mnie jak swoją drugą siostrę.

Vivian zmarszczyła czoło i nic nie powiedziała. Po chwili zaczęła gwałtownie kasłać. Natalie podała jej kilka chusteczek i pomogła usiąść, z poduszką przyciśniętą do piersi.

- Prawda, że tak mniej boli? - spytała łagodnie, kiedy minął atak.

- Gdzie się tego nauczyłaś?

- W domu dziecka. Jedna z naszych opiekunek często zapadała na zapalenie płuc.

Viv opuściła wzrok. W napadzie zazdrości zapomniała, jak trudne było życie Natalie, zanim przyjechała do Medicine Ridge. Wiedziała, co Nat czuje do Macka, i sama nie rozumiała, co ją nagle podkusiło, by dręczyć przyjaciółkę, która nigdy w niczym jej nie zawiodła. Była zazdrosna o Whita, bo sprawiał wrażenie, jakby Natalie bardzo mu się podobała. W swojej bezsilnej złości i upokorzeniu zaczynała tracić rozum. Czuła się tak

okropnie, że nie mogła znieść samej siebie. I wiedziała, że gdyby Whit poważnie zainteresował się Natalie, zrobiłaby coś strasznego, i że byłby to koniec ich długiej przyjaźni.

Godziny snuły się leniwie. Natalie starała się, na ile mogła, trzymać z dala od sypialni Viv. Dla zabicia czasu zajęła się porządkami w salonie, przepędzając Whita, kiedy wpadał tam nie wiadomo po co, wlepiając w nią maślane oczy. I on, i Viv działali jej coraz bardziej na nerwy.

Kiedy wybiła ósma, nie miała już nic do zrobienia i marzyła tylko o tym, żeby pojechać do domu. Whit kręcił się koło niej od piętnastu minut i nic nie wskazywało na to, żeby zbierał się do wyjścia. Była na granicy wytrzymałości, kiedy niespodziewanie pojawił się Mack.

Spojrzał na nich pytającym wzrokiem. Whit pochylał się właśnie nad Natalie, gorliwie jej coś tłumacząc.

- Zaparzyłbyś jeszcze jeden dzbanek kawy? - spytała szybko.

- Jak tylko wrócę - obiecał. - Muszę wyskoczyć po papierosy.

Mack nie powiedział ani słowa. Z furią w oczach czekał, aż Whit zamknie za sobą drzwi, ale potem zdjął płaszcz i uśmiechnął się.

- Jak tam Viv?

- Jako tako. Nic złego się nie dzieje.

- To dobrze. - Wziął ją za rękę i zaprowadził do swojego gabinetu. - Posiedź ze mną chwilę. Zrobię porządek z papierami, a potem pójdziemy do Viv.

- Whit nie będzie wiedział, gdzie jesteśmy.

- To mój dom.

- Racja. - Natalie usiadła po drugiej stronie biurka i patrzyła, jak Mack wyjmie z teczki plik dokumentów, rozkłada je, a potem wpina do segregatorów.

Przyglądała się jego dłoniom, myśląc o tamtej nocy, kiedy Carl zginął w wypadku...

Na zewnątrz szalała burza. Błyskawice, jedna za drugą, rozświetlały okna domu, w którym mieszkała ze swoją ciotką. To były jej siedemnaste urodziny. Spędzała je samotnie, zrozpaczona, opłakując śmierć jedyne go chłopca, którego kiedykolwiek kochała. Wiadomość o wypadku podano w wieczornych wiadomościach. Carl zginął na miejscu, a oficjalną przyczyną wypadku była zbyt szybka jazda w ulewnym deszczu i nie zapięte pasy. Samochód, którym wracał ze swoim kuzynem z weekendowego wypadu na ryby, zjechał gwałtownie z szosy i runął w dół ze stromego zbocza. Natalie dowiedziała się o tragedii od koleżanki ze szkoły, która zadzwoniła do niej przed audycją.

Przystojny, jasnowłosy Carl Barkley był gwiazdą drużyny futbolowej i jednym z najlepszych uczniów w szkole. Ku zazdrości wszystkich koleżanek z klasy, zaprosił Natalie na świąteczną zabawę i odtąd uchodziła za jego dziewczynę.

Jej ciotka wyjechała na weekend i miała wrócić następnego dnia rano. Była jeszcze Vivian Killain, jej najlepsza przyjaciółka. Ale Vivian też przyjaźniła się z Carlem i była zbyt zrozpaczona, żeby do niej przyjechać i ją pocieszać. Carl był powodem jedynej kłótni między Natalie i Vivian, która miała z nim wcześniej randkę i uważała, że Natalie rozmyślnie odbiła jej chłopaka.

Grzmot wstrząsnął całym domem i dopiero kiedy ucichło dudnienie, Natalie usłyszała, że ktoś puka do drzwi. Zdziwiona, narzuciła szlafrok na cienką różową koszulę poszła sprawdzić, czy się nie przesłyszała. Patrzył na nią wysoki, szczupły mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym i kowbojskim kapeluszu. - Vivian mi powiedziała, że twoja ciotka wyjechała jesteś sama. Przykro mi z powodu twojego chłopaka.

Nie odezwała się. Bezwiednie uniosła ręce i zaniósła się szlochem. Mack podniósł ją jak dziecko i zamknąwszy nogą drzwi, zaniósł do jej sypialni i posadził w ogromnym fotelu koło łóżka.

Kiedy zdjął płaszcz i kapelusz, zauważyła przez łzy, że nie zmienił roboczego ubrania. Był w skórzanych spodniach, butach z ostrogami i w niebieskiej koszuli w kratę. Na czole miał odcisnięty ślad od kapelusza. Kosmyk prostych kruczoczarnych włosów opadał na elastyczną opaskę zasłaniającą lewe oko.

- Mack, ja nawet nie mogłam się z nim pożegnać... - powiedziała przez łzy.

- A kto mógł? - Wcisnął się na fotel i wziął ją na kolana. Otulona silnymi męskimi ramionami, położyła głowę na jego ramieniu i znowu zaczęła płakać.

Ten chłopak zawsze budził w niej trochę lęku, chociaż robiła wszystko, żeby tego nie okazać. To ona opiekowała się nim po wypadku, kiedy jeden z jego byków ubódł go w twarz. Vivian zupełnie się do tego nie nadawała - po prostu mdlała na widok rany. A Bob i Charles swojego starszego brata panicznie się bali. Natalie wiedziała, że Mack liczy się z całkowitą utratą wzroku, dlatego robiła wszystko, żeby nie pozwolić mu się załamać. Z żelaznym uporem wybijała mu z głowy czarne myśli i powtarzała w kółko, że nie może się poddać. Przez cały tydzień, kiedy lekarze walczyli o jego oko, nie chodziła do szkoły i tkwiła przy nim dzień i noc.

Potem, kiedy wrócił do domu, wpadała do niego codziennie i pilnowała, żeby robił to, co kazał mu lekarz, a przede wszystkim - żeby odpoczywał. Vivian, Bob i Charles nie mogli uwierzyć, że ich brat, który dotąd tylko wydawał rozkazy, pozwala jej sobą rządzić.

- Mieliśmy iść razem na bal - powiedziała ochryplym głosem, ocierając łzy. - Rano zastanawiałam się, co zrobić z włosami i jak się ubrać... a on nie żyje.

- Ludzie umierają, Nat. Ale przykro mi, że umarł właśnie on.

- Nie znalazłeś go, prawda?

- Rozmawiałem z nim raz... może dwa razy - odpowiedział powściągliwym tonem.

- On był taki przystojny... Inteligentny i odważny. Wszyscy go kochali.

- Oczywiście.

Poprawiła się na jego kolanach i wtedy niechcący wsunęła rękę za rozpiętą do połowy koszulę. Zauważyła z zakłopotaniem, że wzdrygnął się na jej dotyk i naprężył mięśnie. Zauważyła też inne rzeczy. Pachniał koźmi, mydłem i wyprawioną skórą. Oddechem ogrzewał jej policzek i poczuła w nim zapach kawy. Miała rozchylony szlafrok, a cieniutkie ramiączko jej nocnej koszuli ześliznęło się z ramienia. Pod piersią przyciśniętą do jego torsu czuła napięty mięsień i szorstkie włosy. Z jej ciałem działo się coś dziwnego. Miała ochotę zsunąć koszulę i przytulić się do Macka mocniej.

- Nie zmieniłeś ubrania. - Również jej głos brzmiał dziwnie. - Dlaczego?

- Spieszyłem się. Zawalił się kawał płotu i dwie godziny zajęło nam zagonienie z drogi bydła. Dlatego tak późno przyjechałem. Vivian dzwoniła do mnie od paru godzin, ale pracowałem daleko od ciężarówki.

- Nie nosisz komórki przy sobie?

- Zazwyczaj tak, ale dziś akurat ładowała się w domu.

- Dziękuję, że przyszedłeś. Musisz być wykończony po takim dniu.

- Nie mógłbym zostawić cię samej. A Vivian nie przyjechała, bo też nie jest w najlepszym stanie. - Poglądził jej czarne, puszyste włosy. - Myśli, że odbiłaś jej Carla, ale ona już taka jest.

- Wiem - westchnęła Natalie. - Jest tak ładna, że nie wyobraża sobie, żeby jakiś chłopak jej nie chciał.

- Jest rozpuszczona. Byłem twardy dla Boba i Charlesa, a Viv na wiele pozwalałem, bo była jedyną dziewczyną w rodzinie. Może to był błąd.

- Być dobrym dla ludzi to nie jest błąd.

- Podobno. Chcesz się czegoś napić?

- Nie, dziękuję. - Kiedy mimowolnie przesunęła palce po jego torsie, usłyszała, jak gwałtownie wciąga powietrze.

Znowu wyprężył się i znieruchomiał. Całowała się z Carlem, ale nie pozwalała mu na nic więcej. Tak naprawa;:, nie miała ochoty na nic więcej, co było dziwne, biorąc pod uwagę,

jak wiele dla niej znaczył. Przy Macku działo się z nią coś takiego, czego nigdy przedtem nie doznała. Czowała się rozpalona i była tym zdumiona, podobnie jak reakcją Macka na dotyk jej dłoni. Nic nie mówił, ale czuła, że serce bije mu coraz szybciej, słyszała jego ciężki oddech.

Odwróciła głowę i odważyła się spojrzeć na jego twarz. Powędrowała za jego wzrokiem w dół, na swój rozchylony szlafrok, i dopiero teraz zauważyła, że jej koszula zsunęła się z piersi.

- Nie robiłaś tego ze swoim chłopakiem? - spytał.

- Nie.

- Dlaczego nie, jeśli go kochałaś?

- Z nim tego nie czułam - wyznała drżącym szeptem. Zaciśnął usta i odchylił do tyłu głowę. Potem przygarnął ją do siebie zachłannie. Zapomniała o dobru i o złu, o przyzwoitości, o wszystkim poza rozkoszą, którą sobie dawali, straceni dla świata, w mrocznym pokoju pograżonym w ciszy, którą zakłócał tylko ich oddech i szum deszczu za oknem.

- Będę się za to smażyć w piekle - powiedział Mack przez zaciśnięte zęby - a ty za to, że mi pozwalasz... - Wolną ręką zsunął do talii jej szlafrok i koszulę. Wpatrywał się w jej nagie piersi, a potem przytulił ją delikatnie i musnął torsem napiętą, twardą brodawkę.

Jęknęła. Zagarnięta silnymi ramionami, wbiła paznokcie w jego plecy. Drżała z podniecenia, nie czując wstydu ani lęku, tuląc się do niego rozpaczliwie, pragnąc, żeby ta chwila trwała bez końca.

Mack czuł, jak twardnieje jego ciało. Gdyby przysunął Natalie choć trochę bliżej, ona też mogłaby to poczuć. Nie chciał. Miała siedemnaście lat. Była za młoda i za mało doświadczona, żeby wiedzieć, do czego to zmierza. On wiedział. Nie mógł wykorzystać jej w ten sposób. Musiał natychmiast się opanować i przerwać to szaleństwo, póki jeszcze był w stanie to uczynić.

Zerwał się z fotela i postawił Natalie przed sobą. Przez długą chwilę patrzył na jej nagie piersi, potem owinał ją szlafrokiem i zawiązał pasek.

- Co się stało? - zapytała łagodnie. - Zrobiłam coś złego?

- Czy w domu dziecka nie mieliście zajęć z wychowania seksualnego?

Jej twarz pokryła się szkarłatnym rumieńcem. Oczy, okrągłe jak spodki, robiły się coraz większe i większe...

Mack pokręcił głową. Ta dziewczyna była tak słodko naiwna. Miał wrażenie, że dzieli ich przepaść doświadczeń całego pokolenia, a nie tylko sześciu lat.

- Mężczyźni mają ograniczoną wytrzymałość, Nat. Muszą coś w takiej sytuacji zrobić - powiedział cichym głosem. - Samo patrzeć nie wystarcza.

Była zmieszana, ale nie spuściła z niego wzroku.

- Nigdy nie mogłabym tego robić z Carlem - wyznała z poczuciem winy. - Lubiłam się z nim całować, ale nie chciałam niczego więcej. Nawet kiedy próbował... Nie lubiłam tego.

- Masz dopiero siedemnaście lat - powiedział zduszonym głosem, zaciskając dłonie na jej ramionach. - Wiem, że Carl dużo dla ciebie znaczył, ale na fizyczne kontakty - z kimkolwiek - jesteś jeszcze za młoda.

- Moja mama urodziła mnie, kiedy miała osiemnaście lat.

- To były inne czasy... Zresztą jak na niewinną dziewczynę, jesteś wyjątkowo nieświadoma.

- A ty byłeś taki uświadomiony w moim wieku? - spytała, wyraźnie urażona.

- W twoim wieku miałem już pierwszą kobietę. Była ode mnie dwa lata starsza i bardzo doświadczona. Dużo mnie nauczyła.

Serce łomotało w niej jak oszalałe. Nie spodziewała się, że jest niewinny, ale fakt, że mówił o tym tak swobodnie, był dla niej szokujący.

- Kiedy będziesz naprawdę dorosła - powiedział dziwnym, pieszczotliwym tonem - nauczę cię.

Te niezapomniane słowa z przeszłości dźwięczały jej w głowie, kiedy siedziała przy nim w mrocznym gabinecie. Nauczę cię. Nauczę cię.

Pograżona we wspomnieniach, nie drgnęła nawet, gdy Mack wstał, okrążył biurko, oparł się o blat i ze skrzyżowanymi rękami, już bez marynarki i krawata, patrzył na nią.

- Och, przepraszam, zamyśliłam się. - Uśmiechnęła się pogodnie.

- Chodź tu, Nat.

Oceniła odległość do drzwi i zaśmiała się w duchu z własnego tchórzostwa. Szalała za nim od tylu lat, że stało się dla niej rzeczą niewyobrażalną, żeby pozwoliła się kiedykolwiek dotknąć innemu mężczyźnie. Poza tym on miał Glennę do zaspokajania przelotnych zachcianek, o których mówił kiedyś tak otwarcie. Na pewno chciał z nią porozmawiać, a bał się, że może ich podsłuchać Whit, dlatego poprosił, żeby podeszła bliżej.

Podeszła na wyciągnięcie ręki, z uśmiechem... który zgasł na jej ustach, gdy tylko na niego spojrzała.

- Nie powinnam zostawiać Viv na zbyt długo... Dotknął jej twarzy, przeciągając kciukiem po rozchylonych wargach.

- Zamknij drzwi - powiedział tonem, jakiego nie używał wobec niej od tamtej nocy, kiedy zginął Carl.

Nikt nie będzie mi rozkazywał, pomyślała z gniewem. Nawet Mack!

I ku własnemu zdumieniu podeszła bez słowa do drzwi i przekręciła gałkę. Drżała z podniecenia. Oparła czoło o zimne drewno, słysząc własny urywany oddech.

Poczuła na plecach ciepło bijące od Macka, potem przysunął się bliżej i przywarł do niej całym ciałem.

- Teraz wiesz, dlaczego musiałem to przerwać tamtej nocy?

- Tak.

Zsunął ręce na jej płaski brzuch i objął ją mocniej.

- Czułeś się wtedy tak samo? - szepnęła.

- Tak. Kiedy byłem młodszy, zdobywałem doświadczenie dość intensywnie. Ale od pewnego czasu seks stał się dla mnie czymś poważniejszym. Byłaś niewinna i chętna, z czystej ciekawości, a ja prawie straciłem głowę. Nie chciałem, żebyś zauważyła, co się ze mną dzieje. Czułem się zażenowany, bo byłaś taka młoda, nie mówiąc o okolicznościach.

- Dalej jestem naiwna.

- I równie chętna... z ciekawości - odpowiedział z uśmiechem. - Ale dzisiaj zaspokoję twoją ciekawość. Do końca, - I odwrócił Natalie twarzą do siebie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Natalie wstrzymała oddech. W jego twarzy było coś, co ją prawie przeraziło. Zauważył to i pogładził jej policzek.

- Nie bój się mnie - powiedział łagodnie. - Wolałbym sobie strzelić w łeb niż cię skrzywdzić.

- Wiem. Ale ja nie mogę...

Zamknął jej usta delikatnym, czułym pocałunkiem, zmysłowym jak wolny taniec, jak poemat, jak symfonia. Oparta o drzwi, poczuła jego nogę, wślizgującą się między jej uda ostrożnym ruchem, który był równie podniecający jak pieszczota jego warg, i jak dotyk dłoni, które gładziły jej nagą rękę, w dół i w górę, od ramion po czubki palców.

Westchnęła, oszołomiona rosnącym w niej pożądaniem, i odwróciła głowę.

- To naturalne - powiedział cicho. - Nie walcz z tym.

- Wyjechałeś... z Glenną.

- Leciała tylko tym samym samolotem. Nie była ze mną. - Ustami zamknął jej powieki i przytulił ją do piersi jak dziecko.

Ugięły się pod nią nogi. Nigdy dotąd nie czuła się w jego ramionach tak dobrze. Mack obejmował ją i patrzył na nią tak, jak gdyby do niego należała, jakby była jego największym skarbem.

Otworzyła oczy, kiedy podniósł głowę. Było w nich zdziwienie, głód i niemy zachwyt.

- Nat... Tyle lat czekałem na takie spojrzenie. Tyle lat. Czuła, jak jej pożąda, jak drżą jego mięśnie napięte do granic wytrzymałości. Trzymał w ramionach kobietę, a nie dziecko. Był czuły, ale wiedziała, że pragnie jej całej, tak jak ona jego.

- Pocałuj mnie - szepnęła. Nie chciała już słów, lęków, wątpliwości. Nareszcie przestała myśleć i błagała go o to samo.

- Nat, kochanie...

Całował ją gwałtownie, jakby po raz pierwszy i ostatni. Natalie zatracala się w cudownej świadomości, że tej lawiny nic nie powstrzyma. Była bezsilna wobec rosnącej siły Macka i podniecona własną uległością. Nie było rzeczy, której by mu odmówiła.

Wziął ją na ręce i zaniósł na skórzaną kanapę. Westchnęła z ulgą, tonąc na powrót w jego ramionach, zagarnięta mocnymi udami. Mack, wsparty na łokciu, poruszał się rytmicznie, patrząc w jej zamglone oczy. Żar przenikał ją do szpiku kości. Drżała, unosząc biodra i błędząc palcami po jego plecach.

Nagle odsunął się gwałtownie, zaciskając palce na jej ramieniu.

- Proszę cię... - jęknęła, przyciągając go rozpaczliwie do siebie.

- Nie. Nie ruszaj się. Na miłość boską, nie ruszaj się!

- Ale ja chcę... - Wtuliła twarz w jego koszulę, drżąc z pożądania i nienasycona.

- Boże, myślisz, że ja nie chcę? Pragnę cię do szaleństwa. Ale nie tak, Natalie! -

Przycisnął jej głowę do piersi i pogładził po włosach.

- Dlaczego? - szepnęła żałośnie, kiedy już była w stanie mówić.

- Bo nie mogę się z tobą ożenić. A nie byłabyś szczęśliwa, żyjąc ze mną bez ślubu.

Wszystkie jej marzenia pierzchły. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak daleko się posunęli. Gdyby Mack nie zapanował nad sobą w porę, byłiby już kochankami. Na nic by się zdały zasady i siła woli, pomyślała smętnie. Wyglądało na to, że jej ciało kieruje się własną wolą, o wiele silniejszą niż rozsądek.

Nawet nie zauważyła, że płacze, dopóki nie poczuła, że koszula pod jej policzkiem jest mokra.

- Gdybym wierzył, że to w czymś pomoże, też bym płakał - mruknął z bezradną obojętnością.

- Jak mogłeś mi to zrobić? - Uderzyła go pięścią w ramię.

- Wiesz, jaki mam stosunek do małżeństwa. Powtarzałem to dosyć często.

- Ale to ty zacząłeś! - zawołała z furją.

- Tak, ja - westchnął. - Od nieszczęsnego wieczoru w nocnym klubie o niczym innym nie byłem w stanie myśleć. To był chyba największy błąd, jaki popełniłem od wielu lat. Igranie z ogniem grozi wybuchem pożaru. Nie wiedziałaś o tym?

Odsunęła się na bezpieczną odległość i patrzyła na niego w milczeniu, z zaciekawieniem. Miał rozpalone policzki, zmierzwił włosy, opuchnięte od pocałunków usta. Wyglądał jak po upojonej miłosnej nocy. Ona pewnie też... Nowy dreszcz podniecenia przebiegł jej po plecach.

- Lepiej, żebyś stąd wyjechała - powiedział z krzywym uśmiechem. - Dla własnego dobra.

Położyła rękę na jego torsie i powolnym, kuszącym ruchem rozsunęła palce.

- Przestań. - Chwycił ją za nadgarstek. - Naprawdę mam ochotę cię zgwałcić.

- Podniecające...

- Szybko zmieniałabyś zdanie. I miałabyś wyrzuty sumienia, nawet gdyby ci się spodobało.

- Chyba tak. Nie jestem stworzona do wolnej miłości.

- A ja nie jestem stworzony do sakramentalnych więzów.
- Z powodu twojego rodzeństwa?
- Zebrałaby się cała lista powodów. Ale dajmy temu spokój. Mimo wszystko... -
szepnął - oddałbym wszystko, co mam, żeby cię mieć, chociaż raz.
- Może byłbyś zawiedziony. - Zdobyła się na blady uśmiech.
- Może ty też... - Pochylił się i pocałował jej przymknięte powieki. - Wtedy było tak
samo. Trzymałem cię w ramionach, pocieszałem i pragnąłem jak szaleniec.
- Ale miałam siedemnaście lat.
Pocałował ją w czoło, odsunął delikatnie i wstał z kanapy.
- Niewiele się zmieniłaś.
- Jestem starsza.
- Gdybyś była nowoczesną kobietą, mielibyśmy mniej kłopotów.
- Ale nie jestem nowoczesna - odpowiedziała ze smutkiem. - I nie ma na to rady.
Usłyszeli odgłos otwieranych i zamykanych drzwi.
- To pewnie nasz Romeo - powiedział Mack z drwiną. - Czy on musi kręcić się koło
ciebie w tak bezczelny sposób?
- Lubi mnie. - Natalie wzruszyła ramionami. - Ja też go lubię. Co w tym złego?
- Vivian nie podziękuje ci, jeśli zawrócisz w głowie jej chłopakowi.
- Nawet gdybym spróbowała, tobie nie powinno to przeszkadzać. Nie lubisz go. Może
to otworzyłoby Vivian oczy? - Nie myślała tak, ale była zła na Macka i coś ją podkusiło, żeby
go zdenerwować.
- Nie rób tego - ostrzegł ją niskim, chrapliwym głosem.
- Bo...?
Nie odpowiedział. Spojrzał na nią z wściekłością, podszedł do drzwi i otworzył je z
hukiem, pokazując Natalie ręką drogę do wyjścia.
Zawahała się, ale tylko na moment. Jeśli naprawdę tego chce, proszę bardzo! Wyszła,
nic nie mówiąc i nie patrząc na niego.
Poszła do kuchni, żeby sprawdzić, czy jest tam Whit. Był. Nalewał do dwóch filiżanek
świeżo zaparzoną kawę.
- Nie wiesz, gdzie jest jakaś taca? - spytał, rozglądając się dookoła.
- Nie mam pojęcia. - Zajrzała do szafek, ale nie znalazła ani jednej tacy.
- Nieważne. Ja wezmę filiżanki, a ty śmietankę dla Vivian i poradzimy sobie bez tacy.
- Dobrze.

Zmierzył ją taksującym spojrzeniem, i nagle dotarło do niej, że musi wyglądać niezbyt świeżo. Chciała pójść do łazienki i poprawić makijaż, ale Whit był już za drzwiami. Ruszyła za nim do pokoju Vivian. Nie pomyślała o tym, że Whit był na dworze i wiatr potargał mu włosy. Vivian na ich widok skojarzyła bezładną fryzurę i opuchnięte wargi Natalie ze zmierzwionymi włosami Whita i wpadła w szal.

- Wynoś się stąd! - syknęła złowieszczo. - Wynoś się natychmiast i nigdy nie wracaj!

- Viv! O co ci chodzi?

- Nie udawaj, że nie wiesz!

Whit nie odezwał się, ale miał bardzo dziwną minę.

- Lepiej idź - powiedział łagodnie. - Sam zajmę się Viv.

Spojrzała na Vivian, ale ta odwróciła głowę, milcząc jak zaklęta. Natalie, zrezygnowana, postawiła na stoliku śmietankę i wyszła z pokoju.

Z pustką w głowie, wykończona psychicznie, wróciła do domu i rzuciła się na łóżko.

- Zdradziłeś mnie z nią! - krzyczała Vivian. - Mój chłopak i moja najlepsza przyjaciółka! Jak mogłeś?

Whit wahał się przez chwilę, patrząc na nią spokojnie, z rękami wciśniętymi w kieszenie. Vivian była miłą, niekłopotliwą dziewczyną do łóżka i źródłem pieniędzy na hazard. Ale stała się chorobliwie zazdrosna, i zaczynało go to męczyć. Na świecie było przecież wiele kobiet.

- No to co? Ona nie jest tak ładna ani tak bogata jak ty, ale jest miła i nie czepia się mnie z byle powodu.

Vivian wpatrywała się w niego, purpurowa ze złości i upokorzenia.

- To idź do niej! Wynoś się! I nie pokazuj mi się więcej na oczy!

- Z przyjemnością. Nie jesteś moim ideałem kobiety, Viv. Tak naprawdę, jesteś zepsutą, bogatą pannicą, która chce mieć ludzi na własność. To nie jest tego warte...

- Nie warte czego?

Mierzył ją cynicznym, pełnym pogardy wzrokiem.

- Lubię hazard, a ty masz pieniądze. Myślałem, że dobraliśmy się jak w korcu maku. Ale są inne bogate dziewczyny, aniołku.

Zaśmiał się drwiąco i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Vivian wpadła w szal. Ciskała wszystkim, co miała pod ręką i krzyczała rozpaczliwie, dopóki nie przyszedł Mack. Przerażony, podniósł ją z podłogi i ułożył na łóżku.

- Na litość boską, co się z tobą dzieje?!

- Whit i Natalie - wydusiła z siebie, łkając. - Oni... kochali się... Whit powiedział, że woli ją... - Szlochała przez kilka sekund, połykając słowa, podczas gdy Mack stał przy jej łóżku jak sparaliżowany. - Jak ja ich nienawidzę. Nienawidzę ich oboje!

- Skąd wiesz, że się kochali? - spytał schrypniętym głosem.

- Widziałam ich! - skłamała. - Whit się nawet przyznał. Śmiał się z tego!

Mack, ze skamieniałą twarzą, poprawił jej pościel.

- Spróbuj się uspokoić - powiedział. - Rozchorujesz się jeszcze bardziej.

- Powiedziałam, żeby się tu nie pokazywali. I jeśli któregoś z nich zadzwoni, nie chcę z nimi rozmawiać.

- Nie przejmuj się. Załatwię to jakoś.

- Ja już wszystko załatwiłam - odburknęła. - I nie mów nic Bobowi ani Charlesowi. Nikt inny nie powinien o tym wiedzieć!

- Dobrze, Viv. Spróbuj zasnąć. Powiem jutro Sadie, żeby tu posprzątała.

- Dzięki, Mack - wydusiła przez łzy. - Jesteś kochany. Nie odpowiedział. Wyszedł i zamknął cicho drzwi.

Czuł się, tak jakby ulatywało z niego życie. Natalie z chłopakiem Vivian? Prosił, żeby z nim nie flirtowała, a ona się rozzłościła. To dlatego? Dlatego rzuciła się w objęcia innego mężczyzny?

Jeżeli chciała w nim wzbudzić zazdrość, to się przeliczyła. Czuł do niej tylko pogardę. Tak jak Vivian nie chciał jej więcej widzieć. Wykreślił ją ze swojego życia. Wrócił do gabinetu i zabrał się do papierkowej roboty, usiłując nie widzieć skórzanej kanapy.

Może to i dobrze. Nie mógł się ożenić z Nat. Zbyt wiele było przeszkód. Ale nie mógł ścierpieć myśli, że ona z tym hazardzistą... Albo kimkolwiek innym.

Przeklął uporczywe wspomnienia i odłożył ołówek. Natalie od tylu lat była nieodłączną częścią jego życia. Jeździła konno z nim i z Vivian, przychodziła na przyjęcia, grille, aukcje bydła. Zawsze była blisko. Nie zobaczy jej więcej biegnącej po schodach, śmiejącej się w taki naturalny, nieafektowany sposób. Nie będzie się z nim droczyć, flirtować, nie będzie go pouczała. Zostanie sam.

Podszedł do barku. Rzadko pił, ale miał butelkę szkockiej dla gości. Nalał sobie szklaneczkę i wypił jednym haustem. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek czuł się tak bezsilny. Spojrzał na butelkę i zaniósł ją na biurko. Na wszelki wypadek przekreślił w drzwiach zamek.

Vivian nie mogła zasnąć. Wstała i zarzuciła na plecy szlafrok. Wciąż miała przed oczami twarz Macka, kiedy powiedziała mu o Natalie i Whicie. Nigdy go takim nie widziała. Dręczyło ją to na tyle, że postanowiła go poszukać.

Nie było go nigdzie na piętrze. Wolno, z trudem oddychając, zeszła na dół, prosto do jego gabinetu. Próbowwała otworzyć drzwi, ale były zamknięte od wewnątrz. Mack nigdy tak nie robił.

Wahała się, ale tylko przez moment. Skojarzyła wyraz jego twarzy z dziwnym zachowaniem, przypomniała sobie, jak obejmował w tańcu Natalie... Na chwiejnych nogach podeszła do intercomu i wezwała nadzorcę rancza.

- Proszę tu natychmiast przyjść - powiedziała. - Czy ma pan wśród swoich ludzi jakiegoś ślusarza?

- Tak, proszę pani.

- Niech pan go przyprowadzi. I proszę się pospieszyć!

- Dobrze, proszę pani!

Usiadła na krześle, przygryzając nerwowo wargę. Skłamała, mówiąc, że widziała Whita i Natalie, ale oboje wyglądali tak, jakby się chwilę wcześniej całowali. A Whit nie zaprzeczył. Ale Mack był zakochany w Natalie... Och, Boże, niech ci ludzie się pospieszą!

Na dźwięk dzwonka, mimo trudności z oddychaniem, rzuciła się pędem do drzwi.

- Chcę, żeby pan otworzył drzwi gabinetu - zwróciła się do mężczyzny, którego przyprowadził nadzorca.

- Nie ma pani klucza? - spytał z wyraźnym wahaniem.

- Nie, Mack ma klucz, ale zamknął się od środka. Proszę... Mieliśmy pewne... kłopoty. On tam na pewno jest. Ale nie odpowiada.

Bez słowa komentarza ślusarz wyjął z torby narzędzia i w kilka minut odblokował zamek.

- Chwileczkę... - powiedziała Vivian, kiedy nacisnął klamkę. - Proszę tu poczekać. Zawołam panów, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Nie chciała narażać brata na niepotrzebne plotki. Widok, który ukazał się jej oczom, był wstrząsający. Poczucie winy dławilo jej gardło. Mack leżał nieprzytomny, z głową na biurku, i z przewróconą, prawie pustą butelką whisky w ręku. Nigdy się nie upijał; wspomnienia związane z alkoholizmem ich ojca zniechęcały go skutecznie do mocnych trunków.

Wróciła do drzwi i lekko je uchyliła.

- Wszystko w porządku. Mój brat śpi. Dziękuję i przepraszam za kłopot.

- Jest pani pewna, panno Killain?

- Tak, jestem pewna.

- W takim razie życzę dobrej nocy. Proszę nas wezwać, gdyby pani czegoś potrzebowała.

Mężczyźni wyszli, a ona zwinęła się w kłębek w wielkim fotelu stojącym koło biurka i przesiadła tam całą noc. Po raz pierwszy w życiu zdała sobie sprawę, jaką była egoistką.

Mack obudził się wczesnym świtem. Usiadł i skrzywił się z bólu, nim zobaczył swoją siostrę. Odgarnął z czoła włosy i spojrzał na butelkę.

- Viv? Co ty, do diabła, tu robisz?

- Martwiłam się o ciebie - powiedziała cicho, z trudem otwierając oczy. Czuła się niewiele lepiej niż poprzedniego dnia, kiedy Mack zawiózł ją do szpitala. - Ty nigdy nie piłeś.

- I nigdy więcej nie będę... - Ścisnął rękami skronie.

- Mogę ci to obiecać.

- Mack... dobrze się czujesz? - Wyprostowała nogi i powoli, oddychając ciężko, wstała z fotela.

- W porządku. - Wzruszył nerwowo ramionami. - A ty?

- Jakoś to przeżyję. - Zdobyła się na uśmiech.

- Zdaje się, że oboje kiepsko znamy się na ludziach - powiedział ponuro.

- To, co ci wczoraj powiedziałam... Powinnam ci coś wytłumaczyć...

- Zaslugują na siebie - przerwał jej ostro, krzywiąc się z niesmakiem. - Do tego, żeby się od czasu do czasu rozerwać, mam Glennę. Nie interesują mnie żadne trwałe związki, a już na pewno nie z jakąś puszczalską, fałszywą, a do tego biedną nauczycielką!

Vivian była wściekła na Natalie, ale miała okropne przeczucie, że Mack nigdy się z tym nie pogodzi. Jej też zajmie to trochę czasu... a jednak czuła się winna.

- Może nie byli w stanie się powstrzymać - odparła i westchnęła ciężko.

- Może nie chcieli. I to jest wszystko, co mam na ten temat do powiedzenia. Nie chcę nigdy więcej słyszeć w tym domu jej imienia.

- Dobrze, Mack.

Spojrzał ze wstrętem na butelkę whisky i cisnął ją do kosza.

- Wracamy na górę - powiedział z uśmiechem. - Muszę się tobą zająć, bo wyglądasz kiepsko.

- W końcu jesteś moim bratem. - Objęła go w pasie.

- Kocham cię.

- Dzięki. - Mack pocałował ją w czoło i przytulił jak dziecko.

- Nigdy się nie poddajemy.

- Jasne! Wracaj do łóżka.

Odprowadził ją i poszedł do stajni, by zająć się zwierzętami. Nie myślał o minionym wieczorze. Kiedy Bob i Charles wrócili do domu, Vivian zdołała ich wziąć na stronę i ostrzec, żeby nie wspominali przy Macku o Natalie.

- Ale dlaczego? - próbował dowiedzieć się Bob. - Ona jest jak członek rodziny.

- Jasne, że tak - poparł go Charles. - Przecież wszyscy ją kochamy.

- To długa historia. - Vivian nie patrzyła im w oczy.

- Natalie zrobiła coś, co zraniło mnie i Macka. I nie chcemy o tym rozmawiać.

Chłopcy mieli niepewne miny, ale jakoś ich przekonała. Gdyby tak jeszcze potrafiła przekonać własne sumienie. Nie mogła zapomnieć o tym, co powiedział jej Whit. Natalie była od lat jej najlepszą przyjaciółką. Czy to możliwe, żeby próbowała uwieść jej chłopaka? Zrobiła to z Carlem, pomyślała gorzko, ale w tej samej chwili przypomniała sobie, że Carl umawiał się z Natalie tylko ze względu na zakład. I nawet jej o tym nie powiedziała. Uświadomiła sobie, jak bardzo była nielojalna. Przez całe życie była rozpieszczana, niczego jej nie brakowało. Natalie nie miała nawet jednej setnej takich możliwości, jakie stworzył jej Mack, a jednak nigdy nie była zazdrosna. Vivian czuła się coraz podłej. Ale nie mogła zmienić tego, co się stało. Jeżeli Whit mówił prawdę, pomyślała, wkrótce wszyscy się o tym dowiedzą, bo Natalie zacznie się z nim pokazywać. A wtedy koniec z wyrzutami sumienia.

Ale nic takiego się nie wydarzyło. Co więcej, Whita zaczęto widywać z córką miejscowego biznesmena, który miał mnóstwo pieniędzy i słabość do hazardu.

A Natalie? Po awanturze u Killainów wróciła do domu i wypłakawszy się w poduszkę, przespała, o dziwo, całą noc i połowę następnego dnia. Ledwie zdążyła na swoją zmianę w sklepie spożywczym. Była wdzięczna losowi za pracę, która pozwalała jej nie myśleć o kłótni z Mackiem i o tym, jak potraktowała ją Vivian. Po raz pierwszy od wielu lat naprawdę czuła się jak sierota. Martwiła się też o wynik egzaminów. Miała wrażenie, że w ten nieszczęsny weekend świat zawałił się jej na głowę.

ROZDZIAŁ ÓSMY

W następnym tygodniu Natalie dowiedziała się, uszczęśliwiona, że zdała wszystkie egzaminy. Była już pewna swojego dyplomu.

Ale kiedy jej koleżanki i koledzy zamawiali zaproszenia na uroczyste rozdanie owych dyplomów, zdała sobie sprawę, że tylko ona nie ma kogo zaprosić. Nikt z Killainów z nią nie rozmawiał, a własnej rodziny nie miała. To naprawdę bolało, chociaż nadrabiała miną i nikt by się nie domyślił, że ma jakiegokolwiek powody do smutku. Nawet w pracy udawała, że jest bezgranicznie szczęśliwa.

Tuż przed swoim wielkim dniem spotkała Dave'a Markhama. Prawie się nie widywali, odkąd zakończyła praktyki w szkole, i szczerze się na jego widok ucieszyła.

- Chodzą słuchy, że zakończyłaś szczęśliwie swoją edukację - powiedział Dave z błyskiem w oczach, kiedy sumowała jego zakupy.

- Jakoś mi się udało - westchnęła z uśmiechem. - Nie masz pojęcia, ile mnie kosztowały końcowe egzaminy.

- Wszyscy przez to przechodzą, lecz niektórzy załamują się nerwowo. W każdym razie masz to z głowy. Moje gratulacje! Ale słyszałem też inną plotkę.

- Mianowicie? - Podniosła głowę znad kasy.

- Że pokłóciłaś się z Killainami. Nie chciało mi się w to wierzyć. Przyjaźnisz się z Vivian od tylu lat...

- Niestety, to prawda - westchnęła, czekając, aż Dave odliczy pieniądze.

- Co się stało? Możesz mi powiedzieć?

- Raczej nie, Dave. To bardzo bolesna sprawa.

- Właśnie dlatego powinnaś to z siebie wyrzucić. - Zmrużył oczy. - Słyszałem, że Whit Moore prowadzi się z nową dziewczyną, a Vivian zrezygnowała ze swojego kursu.

- Naprawdę? Nie wiedziałam.

Nie mogła potępić swojej byłej przyjaciółki za taką decyzję. Trudno by jej było chodzić na zajęcia z Whitem po tak koszmarnym zerwaniu. Swoją drogą, Natalie zastanawiała się, czy ona sama zrobiła wszystko, żeby wyjaśnić to absurdalne nieporozumienie - i doszła do wniosku, że nie. Brakowało jej nie tylko przyjaźni Vivian, ale i sympatii młodszych chłopców. Nie mówiąc o Macku. Podejrzewała, że Vivian przedstawiła mu własną wersję wydarzeń. Miała nadzieję, że Mack jej nie uwierzył. Ale to była tylko nadzieja. Vivian nigdy, przynajmniej od czasu, kiedy się poznały, nie okłamała rozmyślnie Macka.

- Pani Ringgold często o ciebie pyta. - Dave zmienił temat, żeby ją nieco rozweselić. - Ma nadzieję, że od jesieni będziesz uczyła w naszej szkole. Ja również. Z nikim mi się tak dobrze nie rozmawiało.

- To samo mogę powiedzieć o tobie. - Natalie uśmiechnęła się promiennie. - Ale może jeszcze nic straconego.

Dave wyszedł, obiecując, że do niej zadzwoni, a Natalie zajęła się następnym klientem, usiłując nie myśleć o tym, czego się dowiedziała. Modliła się, żeby Mack do niej zatelefonował i pozwolił wyjaśnić całe nieporozumienie. Ale nie zadzwonił. Mogła mieć tylko nadzieję, że jeśli zachowa cierpliwość, sprawa sama się jakoś rozwiąże.

Późnym popołudniem w czwartek, wychodząc z banku, wpadła prosto na Macka Killaina. Odsunął się od niej z niechęcią. Była już pewna, co powiedziała mu Natalie, i nie miała wątpliwości, że jej uwierzył. Jakikolwiek tłumaczenia nie miały sensu.

- Jak mogłaś zrobić coś takiego Vivian, swojej najlepszej przyjaciółce? - syknął.

- Zrobić... co?

- Wiesz co! Ty fałszywa, podstępna...! Serce zamarło jej ze zgrozy.

- Mack...

- Zakpiłaś sobie z nas wszystkich! - Mack podniósł głos, nie zwracając uwagi na postronnych słuchaczy. - Vivian ci ufała! I kiedy ona leżała w łóżku z zapaleniem płuc, ty się obściskiwiałaś z jej ukochanym!

Łzy zamgliły jej wzrok.

- Nieprawda! - krzyknęła, zachłystując się powietrzem.

- Nie próbuj się wykręcać. Vivian was widziała - powiedział z pogardą.

Więc jednak uwierzył w kłamstwo Vivian. Może chciał w nie uwierzyć. Powiedział, że nie widzi dla nich przyszłości, więc wykorzystał pierwszy pretekst, żeby się jej pozbyć. Cokolwiek by powiedziała, nie miałyby to teraz żadnego znaczenia.

Ból stawał się nieznośny i myślała już tylko o tym, żeby uciec albo zapaść się pod ziemię.

- Wszyscy ci ufaliśmy, traktowaliśmy cię jak członka rodziny. I tak nam odpłaciłaś, zdradzając Vivian, która nigdy nie zrobiła ci przykrości. - Mack mówił coraz bardziej zjadliwym, pełnym wściekłości tonem. - Mało tego, nawet nie próbowałaś jej przeprosić.

- Nie mam jej za co przeproszać.

- Więc nie mamy sobie nic do powiedzenia.

- Mack, może jednak pozwolisz mi wytłumaczyć... - powiedziała cicho. - Uspokój się i porozmawiaj ze mną...

- Jestem spokojny. Na co jeszcze liczysz? Na propozycję małżeństwa? - Zaśmiał się szyderczo. - Nawet gdyby mi to kiedyś przyszło do głowy, nie ożeniłbym się z kobietą, która wystawiłaby mnie do wiatru w minutę po założeniu obrączki. Poszłaś do Whita zaraz potem... Nawet mi powiedziałaś, że tak zrobisz... Ale jeśli myślisz, kotku, że jestem zazdrosny, to grubo się mylisz. Byłaś przyjaciółką Vivian, ale nigdy nie chciałem, żebyś przebywała w moim domu. Tolerowałem cię ze względu na Vivian.

- Rozumiem. - Była blada jak ściana i czuła na sobie litościwe, zakłopotane spojrzenia przechodniów.

- To pewnie rozumiesz i to, że nie masz wstępu na nasze ranczo. Nigdy więcej.

- Oczywiście, Mack. - Pokiwała wolno głową. - Rozumiem doskonale.

Nie wiedziała, jak zniesie to, co w swoim szaleństwie zrobiła jej Vivian. Straciła Macka, którego kochała ponad życie. A on jej nienawidził. Nienawidził jej!

W drodze do domu, a potem przez długie godziny bezsennej nocy zastanawiała się, jak będzie dalej żyć w jednym mieście z Killainami - spotykać ich na ulicy, w sklepie... Czy Bob i Charles też jej nienawidzili? Vivian skłamała. Dziewczyna, którą uważała za swoją najlepszą przyjaciółkę, potraktowała ją z takim okrucieństwem. Czym sobie na to zasłużyła? Czy los ją skazał na dożywotnie sieroctwo, na życie bez uczucia? Nikt jej nigdy nie kochał. Ciotka sprowadziła ją do siebie tylko dlatego, że potrzebowała na starość pomocy domowej i opiekunki. Nat chciała, żeby pokochał ją Mack. Były nawet takie chwile, kiedy wierzyła, że patrzy na nią z miłością. Ale ta nienawiść w jego wzroku była przerażająca. Gdyby ją kochał, przyznałby jej chociaż prawo do obrony, zawahałby się wobec tak absurdalnego oskarżenia.

Ale on uwierzył Vivian bez wahania. Wszystkie jej marzenia o dozgonnej miłości uleciały jak dym. Pozostało jej tylko zdecydować, co teraz zrobić. Na pewno nie mogła zostać w Medicine Ridge. Po rozdaniu dyplomów powinna porozmawiać z jednym z wykładowców, który powiedział jej kiedyś o wakatach nauczycielskich w Dallas, w szkole, której dyrektorem był jego kuzyn. Może być Dallas. Co za różnica!

Nadszedł dzień rozdania dyplomów. Dzień, który byłby jednym z najwspanialszych dni w jej życiu, gdyby Killainowie dalej byli jej przyjaciółmi, a nie wrogami. Uśmiechała się do kamer, marząc w duchu o chwili, kiedy zostanie sama. Tuż po uroczystości spotkała nauczyciela, który zaoferował jej pomoc w zdobyciu pracy w Dallas. Powiedziała mu, że jest poważnie zainteresowana tą ofertą.

W niedzielę, po raz pierwszy od wielu dni, cała czwórka Killainów zebrała się na obiedzie. Bardziej przypominało to stypę niż świąteczny posiłek.

- Natalie otrzymała wczoraj dyplom - powiedział chłodno Bob, patrząc na Macka i Vivian, którzy nie raczyli podnieść wzroku znad talerzy. - Siostra mojego kolegi była z nią w jednej grupie. Powiedziała, że Natalie była zupełnie sama, nie miała w tłumie gości ani jednej bliskiej sobie osoby. Viv?

Vivian wybuchnęła płaczem i uciekła na górę tak szybko, jak tylko pozwoliły jej na to chore płuca.

Mack, nie tknąwszy nawet jedzenia, cisnął na podłogę serwetkę i wyszedł z jadalni ponury jak noc.

- Chyba niepotrzebnie z tym wyskoczyłem, co? - Bob spojrzał na brata.

- A niby dlaczego mamy o niej nie mówić? - obruszył się Charles. - Natalie należy do rodziny. A oni się zachowują, jakby była poszukiwana przez FBI listem gończym. To przez tego cholernego Whita. Mogę się z tobą założyć! Powiedział coś albo zrobił, nie wiem, ale to on musiał namącić. Chodzi teraz z córeczką Murchesona i wyciąga od niej forszę na hazard. Wszyscy to wiedzą. Powiedział komuś, że nasza siostra była tylko środkiem do celu. Masz pojęcie? Więc jeśli Natalie była powodem tego zerwania, to chwala jej za to! Uratowała Vivian przed czymś dużo gorszym niż zapalenie płuc. Ale to tylko nas dwóch interesuje.

Podsluchujący za drzwiami Mack o mało nie zawył. Myślał, że Whit rzucił Vivian dla Natalie, więc skąd nagle córka Murchesona...? Najpierw Natalie wszystkiego się wypiera, potem Vivian wpada w histerię. Coś tu nie gra...

Poszedł do Vivian. Siedziała na krześle przy łóżku, tonąc w łzach. Usiadł na brzegu łóżka.

- Viv - zaczął łagodnie - możesz mi powiedzieć, dlaczego płaczesz?

- Skłamałam.

- Słucham? - Wyprężył się jak struna.

- Natalie wyglądała wtedy... jakby oni... a Whit miał potargane włosy. To nieprawda, że ich widziałam. Ale nikogo innego nie było w domu, a oni zeszli na dół, prawie na godzinę.

- Ja też byłem na dole. Whit wyszedł po papierosy. Wrócił, zaparzył kawę, a potem poszedł do ciebie, razem z Natalie.

Vivian otworzyła usta i zamarła z przerażenia.

- Nie... - szepnęła. - Boże, nie!

Mack odwrócił twarz do okna. Słyszał siebie, urągającego Natalie wtedy na ulicy.

- Jadę do niej. - Vivian zerwała się z krzesła. - Przepraszę ją. Mogę paść przed nią na kolana!

- Daruj sobie. Nie wpuści cię za próg. Powiedziałem jej, żeby się tu więcej nie pokazywała. - Wstał z zaciśniętymi pięściami. - Ubliżyłem jej... przy świadkach - wycedził przez zęby i nie spojrzawszy na Vivian, wyszedł z pokoju, trzaskając drzwiami.

Vivian ukryła twarz w dłoniach i głośno płakała. Przez swój egoizm i zazdrość zniszczyła uczucie dwóch osób. Mack kochał Natalie. A ona, jego siostra i jej przyjaciółka, wiedziała, że Natalie kocha Macka, że zawsze go kochała! I że nie mogłaby go zdradzić. To ona, Vivian, była zdrajczynią. Cierpiała z powodu urażonej dumy, bo Whit wolał Natalie. Była zaślepiona do tego stopnia, że z łatwością wyciągał od niej pieniądze. O włos uniknęła nieszczęścia, i powinna podziękować za to Natalie. Ale nie były już przyjaciółkami. Ona i Mack wyrzucili ją ze swojego życia, i naiwnością byłoby się spodziewać, że Natalie im kiedykolwiek wybaczy. Od tragicznej śmierci rodziców nigdy tak naprawdę nie czuła się kochana. Była sama na świecie, a teraz musiała odczuwać to najboleśniej. Vivian wzięła głęboki oddech i wytarła oczy. Musiała coś zrobić, żeby naprawić wyrządzoną Natalie krzywdę.

. Następnego dnia Mack wyjechał w zaplanowaną wcześniej podróż w interesach. Wychodząc z domu, nie odezwał się do Vivian i wyglądał okropnie. Mogła sobie tylko wyobrazić, jak się czuł. Nawet gdyby Natalie mu kiedyś wybaczyła, mało prawdopodobne, żeby była w stanie zapomnieć. Vivian dwa dni zbierała się na odwagę, żeby pojechać do Natalie. Przeżyła prawdziwy szok, gdy zobaczyła otwarte drzwi, a za progiem dwie spakowane walizki i Natalie przygotowaną do podróży.

- Nat, czy mogłabym z tobą chwilę porozmawiać?

- Mogę poświęcić ci minutę - odpowiedziała Natalie chłodnym, rzeczowym tonem. - Myślałam, że nadjechała taksówka. Spieszę się na lotnisko.

- Lecisz dokąd...?

- Do Dallas.

- Po co... do Dallas? - spytała Vivian, kompletnie zaszokowana.

- Do nowej pracy. - Natalie spojrzała na podjeżdżającą taksówkę, przeniosła za próg walizki i zamknęła drzwi na klucz. - Wystawiłam dom na sprzedaż. Nie mam zamiaru tu wracać.

- Och, Natalie... Posłuchaj, ja okłamałam Macka. Myślałam, że byliście z Whitem sami na dole... a Whit nie zaprzeczył... Dopiero potem dowiedziałam się, że Mack był w domu.

- Mack ci uwierzył.

- Jestem jego siostrą. Nigdy przedtem go nie okłamałam. Nat, muszę ci coś powiedzieć. Proszę cię, wysłuchaj mnie!

- To pani zamawiała taksówkę na lotnisko? - spytał kierowca.

- Tak. - Natalie zniosła z werandy walizki, nie odpowiedziawszy Vivian nawet spojrzeniem.

- Nie odjeżdżaj! Błagam, Nat, nie odjeżdżaj!

- Nic mnie tu już nie trzyma, Vivian, i obie o tym wiemy - powiedziała, czekając, aż kierowca włoży walizki do bagażnika. - Macie w końcu to, czego chcieliście. Nie jesteś zadowolona? Nigdy już nie będę twoją wymyśloną rywalką.

- Nat, ja nie wiedziałam... - jęknęła Vivian. - To straszne, co ci zrobiłam, ale pozwól się chociaż przeprosić. I nie wiń za to Macka. To wszystko przeze mnie.

- Mackowi na mnie nie zależy. Chyba wiedziałam to od początku. Łudziłam się, ale on postawił sprawę jasno. Ma Glennę i będzie bardzo szczęśliwy. Ty pewnie też. Straciliście tylko natrętą sąsiadkę. Zegnaj, Vivian.

Nigdy w życiu Vivian nie czuła się tak okropnie. Stała przy schodach i patrzyła na swoją najlepszą przyjaciółkę, opuszczającą miasto z jej powodu.

Musiała oczywiście powiedzieć Mackowi, że Natalie wyjechała. Wrócił już i siedział w gabinecie przy komputerze. Podniósł na jej widok głowę i odsunął się od biurka.

- O co chodzi? - spytał beznamiętnym głosem.

- Chciałam cię przeprosić za Natalie...

Stężyły mu rysy i lekko poblądł, ale natychmiast się pozbierał i wbił wzrok w monitor.

- I co, nie poszło najlepiej?

- Ona wyjechała.

- Wyjechała? - Podniósł głowę. - Dokąd?

- Do Dallas.

- Kogo ona, do diabła, zna w Teksasie?

- Dostała tam pracę. Ona... sprzedaje dom. Powiedziała, że nie wróci.

Przez kilka sekund Mack patrzył na swoją siostrę, jakby nie zrozumiał jej słów. I nagle krew odpłynęła mu z twarzy. Natalie wyjechała na zawsze. Zranili ją tak bardzo, że musiała uciec z miasta. Na pewno nie mogła znieść plotek, po tym, jak publicznie zrobił jej scenę.

- Próbowałam jej wytłumaczyć, przeprosić... - Vivian mówiła coraz bardziej płaczliwym głosem. - Nawet na mnie nie spojrzała. Wcale jej się nie dziwię. Zniszczyłam jej życie, bo byłam samolubna, zarozumiała i obsesyjnie zazdrosna. Teraz, kiedy sobie przypominam różne rzeczy, dochodzę do wniosku, że nie po raz pierwszy potraktowałam

Natalie w ten sposób. Byłam idiotką, Mack. Przepraszam cię. Nie wiem, co powinnam zrobić...

Oddychał ciężko, bawiąc się ołówkiem, próbując wyobrazić sobie życie bez Natalie. Nie będzie mógł nawet ukradkiem na nią spojrzeć. Dopiero teraz, kiedy stracił ją na dobre, zrozumiał, jak rozpaczliwie ją kochał. Ironia losu!

- Mogłabym polecieć do Dallas i spróbować ją przekonać, żeby mnie wysłuchała.
- Nie. Dajmy jej święty spokój, wyrządziliśmy jej wielką krzywdę.
- Ale ty ją kochasz!

Mack odwrócił się do monitora, położył rękę na myszce, i nie powiedział ani słowa więcej.

Po minucie bolesnego milczenia Vivian wyszła z gabinetu. Kochała swojego brata. Świadomość, jak wielką wy - . rządziła mu krzywdę, była nie do zniesienia. Wiedziała, że może nigdy nie naprawić tego, co zniszczyła, ale błagała los, żeby dał jej szansę.

Natalie urządziła się w skromnym, niewielkim mieszkaniu niedaleko szkoły. Przeszła wstępne eliminacje i dostała pracę. Nowe życie zaczęło się jakoś układać, ale wciąż dręczyło ją wspomnienie ostatniej rozmowy z Vivian. Mack poznał prawdę, a jednak nie próbował jej zatrzymać. Nie zadzwonił ani nie napisał. Nawet tyle dla niego nie znaczyła. Te wszystkie okropne rzeczy, które wykrzyczał, nie wzięły się tylko z furii, którą mogłaby jakoś usprawiedliwić. Musiał naprawdę tak myśleć. Naprawdę chciał się jej pozbyć. A więc ten rozdział był zamknięty. Znowu była sama, bez korzeni, bez żadnych więzów.

Na szczęście miała pracę i mieszkanie. Obiecała sobie, że przeżyje. A raczej odżyje! Będzie kwitnąć!

Ale nie miała uczucia, że kwitnie. Mijały dni i tygodnie, i chociaż powoli wrastała w nowe otoczenie, wciąż czuła się w Dallas obco. Kiedy zaczęła uczyć, zjadały ją nerwy, brakowało jej pewności siebie, a dzieci to widziały i wykorzystywały. Dopiero gdy jeden z doświadczonych nauczycieli przyszedł, żeby zaprowadzić porządek, mogła poprowadzić lekcję.

Wziął ją potem na stronę i nauczył postępowania z tryskającymi energią uczniami. Od następnego dnia sytuacja zaczęła się poprawiać. Natalie potrafiła utrzymać dyscyplinę w klasie, nauczyła się imion dzieci, poznała wszystkich nauczycieli, i praca powoli stawała się przyjemnością. Ale w nocy leżała z zamkniętymi oczami, tęskniąc za Mackiem Killainem.

Pod koniec drugiego tygodnia nauki nabrała pewności, że wybrała właściwy zawód.

Któregoś dnia w drodze do domu, mijając małe boisko do koszykówki, zauważyła dwóch chłopców, chyba czternastolatków, którzy bili się i wyzywali w nieprawdopodobnie wulgarny sposób. Bez zastanowienia podeszła, żeby ich rozdzielić.

- No dobrze, panowie, dosyć tego - powiedziała, stając między jednym a drugim. Na nieszczęście zrobiła to w chwili, gdy jeden z chłopców wyjmował z kieszeni nóż. Zobaczyła błysk ostrza i poczuła tak intensywny ból w klatce piersiowej, że osunęła się na ziemię.

- Zabiłeś ją, ty idioto! - krzyknął drugi chłopak.

- To twoja wina! Ona tylko weszła mi w drogę! Uciekli obaj, dalej się kłócąc. Natalie leżała bez ruchu, nie mogąc nabrać powietrza. Słyszała jakieś głosy, ruch, trąbienie samochodów. Widziała, jak błękit nieba zamienia się w oślepiającą, bolesną biel...

Mack Killain instalował nowy program w komputerze, kiedy zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę odruchowo, chociaż zwykle odsłuchiwał wiadomości z automatycznej sekretarki.

- Halo?

- Czy pan Mack Killain?

- Tak, słucham.

- Doktor Hayes z Centrum Medycznego w Dallas. Serce zamarło mu w piersi.

- Natalie!

- Tak... Dzwonię w sprawie panny Natalie Brock. Pana wizytówkę znaleźliśmy w jej torbie. Muszę nawiązać kontakt z jakimkolwiek członkiem jej rodziny.

- Co się stało? Jest ranna?

- Wymaga natychmiastowej operacji. Jej stan jest krytyczny - odpowiedział bez ogródek lekarz. - Potrzebuję pisemnej zgody na zabieg, a pani Brock jest nieprzytomna.

- Jestem jej kuzynem, jedynym krewnym, jakiego ma. Mogę wysłać pismo faksem, a za dwie godziny będę w Dallas. Nie pozwólcie jej umrzeć... - powiedział gorączkowo i zapisawszy numer faksu szpitala, odłożył słuchawkę.

Drżącymi rękami napisał odpowiednie pismo, wysłał je faksem, a potem zadzwonił do firmy czarterującej samoloty.

- Potrzebuję learjeta, natychmiast. Lot z Medicine Ridge do Dallas. Proszę nie mówić, że to niemożliwe - dodał, nie czekając na odpowiedź. - Podał swoje nazwisko i odłożył słuchawkę.

Wypadł z gabinetu i zajrzał do salonu, w którym Vivian i chłopcy oglądali jakiś film.

- Wyjeżdżam!

- Boże, co się stało? - spytała Vivian, przerażona wyrazem jego twarzy.

- Nie wiem. Natalie leży w szpitalu w Dallas. Jest nieprzytomna. Będą ją operować. Podpisałem za nią zgodę na operację, więc gdyby ktoś dzwonił w tej sprawie, jesteśmy jej krewnymi. Jadę na lotnisko.

- Lecimy razem z tobą - powiedział stanowczo Charles. - W każdym razie ja tu na pewno nie zostanę.

- Ja też nie. - Bob ruszył do przedpokoju.

- Lecimy wszyscy - dodała drżącym głosem Vivian.

- Nie mam czasu się z wami kłócić. Wsiadajcie do samochodu. Ja zamknę drzwi.

Dopiero w samolocie Mack zadzwonił do szpitala w Dallas, żeby dowiedzieć się, w jakim stanie jest Natalie, i co jej się stało. Recepcjonistka z izby przyjęć powiedziała, że panna Brock jest na sali operacyjnej. Nie miała informacji o jej stanie, poza tym, że Natalie została ugodzona nożem i ma odmę w płucu.

- Nożem?! - wykrzyknął Bob. - Ktoś na nią napadł?!

- Jest nauczycielką - mruknęła żałośnie Vivian. - Nie wiesz, co się dzieje w niektórych szkołach?

- Ona uczy w szkole podstawowej - przypomniał jej Mack. - Jak małe dziecko mogłoby zadać cios nożem?

- Może zrobił to dorosły krewny jej ucznia - wtrącił Charles.

Vivian ukryła twarz w dłoniach.

- Jeśli ona umrze, to będzie moja wina...

- Nie mów tak! - krzyknął Mack. - Ona nie umrze.

- Przepraszam. - Położyła rękę na jego ramieniu. Odwrócił głowę. Był przerażony. Gdyby stracił Natalie, nie miałby po co żyć. To byłby koniec, absolutny koniec wszystkiego.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kiedy Natalie odzyskała przytomność, pierwszym jej wrażeniem był zapach środków antyseptycznych. Bolała ją klatka piersiowa. W nosie miała jakąś rurkę. Czuła się okropnie. Powoli otworzyła oczy i zobaczyła ludzi w zielonych fartuchach krzątających się po białym pokoju. Dotarło do niej, że jest w szpitalu, ale nie pamiętała, jak się w nim znalazła.

Wyteżyła słuch... Jakiś mężczyzna podniesionym głosem domagał się wpuszczenia go do środka. Pielęgniarka grozi, że wezwie ochronę. Mężczyzna nie ustępuje. W końcu przebierają go w fartuch i każą założyć maskę.

Czuje podmuch powietrza i nagle pochyla się nad nią znajoma twarz z przepaską na jednym oku. Duża ciepła ręka dotyka jej policzka. Nie zasłonięte oko wydało jej się dziwnie jasne i jakby wilgotne. To niemożliwe. Po prostu śniła.

- Nie umieraj! Słyszysz mnie, Natalie? Nie waż się!

- Panie Killain... - Jedna z pielęgniarek usiłowała przywołać go do porządku.

- Natalie, słyszysz mnie? Obudź się!

Zamrugnęła powiekami. Nie mogła się skupić. Czuła, że gdzieś odpływa.

- Mack - szepnęła i znowu jej powieki opadły.

Miotał się po pokoju jak szalowiec, pouczał pielęgniarkę, wydawał polecenia. Potem trzymał Natalie kurczowo za rękę.

Teraz, kiedy ją widział, kiedy mógł jej dotknąć, zaczął oddychać normalnie. Wyglądała mizernie, jej klatka piersiowa prawie się nie unosiła. Był śmiertelnie przerażony, dlatego zachowywał się jak furia. Ktoś mógł go za chwilę stąd wyrzucić, może nawet aresztować za zakłócanie porządku. Ale przedarłby się nawet przez linię frontu, żeby zobaczyć Natalie, żeby upewnić się, że żyje.

Sam się sobie dziwił, ale w jeszcze większe zdumienie wprowadził swoje rodzeństwo. To był Mack, jakiego nie znali. Nie mieli wątpliwości, że ich brat kocha Natalie i oddałby za nią życie. Patrzyli po sobie, zastanawiając się, dlaczego nie zauważyli tego dawno temu.

Do sali wszedł chirurg, prawdopodobnie ten, z którym Mack rozmawiał przez telefon. Miał jeszcze na sobie fartuch operacyjny.

- Pan Killain? - spytał.

- Tak. - Mack wyciągnął na powitanie rękę. - W jakim ona jest stanie?

- Miała wewnętrzny krwotok i straciła dolny płat płuca. Zawsze mogą pojawić się komplikacje, ale wyjdzie z tego.

Mack po raz pierwszy od wielu godzin odetchnął pełną piersią.

- Chcę z nią zostać - powiedział stanowczo. Doktor uniósł brew i roześmiał się.

- Myślę, że to oczywiste... dla całego personelu szpitala - zakpił. - Skoro jest pan krewnym pacjentki, nie mam nic przeciwko temu. Ale wolałbym, żeby poczekał pan, aż przewieziemy ją z sali intensywnej terapii do zwykłego pokoju. I byłbym zobowiązany, gdyby udał się pan teraz do biura administracji i dopełnił kilku formalności.

Mack zawahał się.

- Dobrze, zaraz tam pójde - powiedział z ciężkim sercem.

Kilka godzin później Natalie znów otworzyła oczy, obolała i odurzona środkami znieczulającymi. Kiedy dotknęła zabandażowanego boku, jęknęła żałośnie. Duża ciepła dłoń przytrzymała jej rękę.

- Uważaj, bo wyciągniesz dren - usłyszała znajomy czuły głos, podobny do głosu Macka. To nie mógł być on, oczywiście.

Odwróciła głowę.

- Myślałam, że to sen... - szepnęła na wpół przytomnie.

- A pielęgniarki myślą, że to jakiś koszmar - powiedział Bob, zerkając z szelmowskim uśmiechem na brata.

- Widziałem uciekającego w popłochu sanitariusza - dodał złośliwie Charles.

- Zamknijcie się - mruknął Mack.

- On się stara zapewnić ci dobrą opiekę. - Vivian odgarnęła z czoła Natalie kosmyk włosów. - Biedactwo - powiedziała z czułością. - Wszyscy będziemy się tobą opiekować.

- Jasne - mruknęli chórem Bob i Charles. Mack nic nie powiedział.

Zbyt oszołomiona, żeby rozumieć, co się naprawdę dzieje, Natalie uśmiechnęła się blado, i w tej samej chwili uśmiech przeobraził się w grymas bólu. Po minucie wyglądała na nieco odprężoną i znowu zasnęła.

Vivian przyjrzała się aparaturze, do której była podłączona Natalie.

- Myślę, że jest to urządzenie, które co kilka minut wstrzykuje jej automatycznie środek znieczulający. Idę kogoś zapytać.

Wyszła na korytarz,, a Bob i Charles, wymieniwszy porozumiewawcze spojrzenia, powiedzieli, że idą na kawę i kupią też jedną na wynos dla Macka.

Skinął tylko głową, nie odwracając wzroku od Natalie. Nie interesowało go nic innego. To było jak powrót do domu po długiej podróży. Chciał tylko tu siedzieć i patrzeć na nią. Nawet w tak żalnym stanie była dla niego piękna. Ścisnął mocniej jej dłoń.

Znowu opadły go dręczące myśli. Jak mógł w nią zważyć? W głębi duszy wiedział, że Natalie nigdy by go nie okłamała. Musiał być więc inny powód, dla którego zaatakował ją tak brutalnie, oskarżając o coś, w co sam nie wierzył. Bał się uczucia, którym ją darzył, jej bezgranicznego oddania i nadziei, które z nim wiązała - więc ostatnim wysiłkiem podjął obronę straconych pozycji. Nie widział na jedno oko. Pewnego dnia mógł stracić wzrok w drugim. Był odpowiedzialny za dwóch braci i siostrę, aż do czasu, kiedy będą mogli się usamodzielnąć. Uważał, że to nie fair obarczać tym wszystkim tak młodą kobietę jak Natalie.

Ale kiedy wybuchł kryzys, sprowokowany kłamstwem Vivian, rodzeństwo zjednoczyło się za jego plecami w obronie Natalie. Oni też ją kochali. Zdawał sobie sprawę, że drobne konflikty będą nieuniknione, ale wiedział już, jak wyglądałoby życie bez niej. Gotów był zrobić wszystko, żeby była szczęśliwa i czuła się bezpiecznie, z nim i z jego rodziną. Spodziewał się, oczywiście, że kiedy dojdzie do siebie, zechce go zdieścić kijem baseballowym. Pogodziłby się i z tym.

Najważniejsze, żeby wyzdrowiała. Zdecydowany był wrócić z nią do Montany, nawet gdyby musiał skrepić jej rękę. Nie było lepszego miejsca na ziemi, w którym mogłyby dochodzić do siebie. Na ranchu, we czwórce, będą w stanie zapewnić jej opiekę.

Podczas gdy rozważał różne możliwości, wróciła Vivian.

- Miałam rację! To urządzenie automatycznie podaje Nat środki przeciwbólowe. Rozmawiałam z pielęgniarkami w ich pokoju. Wszędzie są komputery, które rejestrują dosłownie wszystko... - Spojrzała na brata z niepewnym uśmiechem. - To fantastyczne. Nie wiedziałam, że praca pielęgniarek jest tak ciekawa... i tak skomplikowana.

- Nie widzę tu zbyt wielu pielęgniarek - zauważył ponurym tonem.

- Zobaczysz, jak stąd wyjdiesz.

- Nie zaczynaj!

- Możesz przecież wyjść na chwilę i coś zjeść. Ja posiedzę przy Natalie.

- Nie.

- A chcesz kawy?

- Chłopcy po nią poszli.

- No dobrze. W takim razie przyniosę ci torbę frytek i coś do picia.

- Dobry pomysł.

Wyszła, uśmiechając się pod nosem. Mack nawet na nią nie spojrzał. Bał się, że jeśli odejdzie od Natalie, ona nie wyzdrowieje. Gotów był trzymać ją przy życiu siłą własnej woli. I wcale mu się nie dziwiła - Natalie wyglądała jak cień człowieka. Vivian czuła się temu

winna. Gdyby nie zachowała się tak podle, jej przyjaciółka nie uciekałaby do Dallas i nic takiego by się nie wydarzyło. Może tym razem, gdy wydobrzeje, przyjmie jej przeprosiny?

Wędrowała po korytarzu, gdy Mack, pochylony nad łóżkiem, wpatrywał się w śpiącą twarz Natalie.

- Biedna kruszyno! - szeptał, czule gładząc jej policzek. - Jak mogłem myśleć, że potrafię żyć bez ciebie?

W głębi świadomości Natalie wiedziała, że mówi do niej. Czuła jego dotyk, najpierw na policzku, potem lekkie muśnięcie na ustach. Szeptał jej do ucha słowa tak czule, że brzmiały jak miłosne wyznanie. Dlatego też była pewna, że śni. Mack nigdy nie używał czułych słów...

Dopiero w nocy nieco oprzytomniała. Rozejrzała się ze zdumieniem po pokoju, i gdyby mogła, roześmiałaby się w głos. Vivian spała na krześle koło kaloryfera, Mack pochrapywał lekko, wciąż trzymając ją za rękę, a za nim, na kocu rozłożonym na zimnym linoleum, spali Bob i Charles. Mogła sobie tylko wyobrazić, jak to znosił personel oddziału. Czyżby nie istniały przepisy ograniczające liczbę gości i czas odwiedzin? I nagle przypomniała sobie poruszenie, które wywołał Mack na korytarzu, zanim pojawił się przy jej łóżku. Z pewnością złamał wszystkie szpitalne przepisy, i nic by go przed tym nie powstrzymało.

- Mack? - szepnęła, ledwie słysząc własny głos. Spróbowała jeszcze raz. - Mack?

Poruszył się i natychmiast wyprostował gwałtownie na krześle, zaciskając palce na jej dłoni.

- Tak, kochanie? Powiedz - szepnął - czego ci trzeba? Patrzyła na niego stęsknionym wzrokiem. Nie widzieli się kilka długich tygodni. Coś się zmieniło w jego twarzy...

- Zmizerniałeś...

- Ty też.

Chciała mu powiedzieć, jak puste było jej życie bez niego. Nie mogła. Znalazła się w szpitalu i ktoś do niego zadzwonił. Prawdopodobnie jej ciężki stan skłonił wreszcie Vivian do wyznania mu prawdy. Przyjechał, wiedziony poczuciem winy.

Uwolniła rękę z jego uścisku i położyła ją na piersi.

- Niczego mi nie trzeba. Dziękuję.

Ta chłodna, uprzejma odpowiedź ugodziła Macka prosto w serce. Natalie odzyskała w pełni świadomość i przypomniała sobie ich ostatnie spotkanie. Wcisnął rękę do kieszeni i ciężko westchnął. Zobaczył, że opadają jej powieki i znowu zapada w sen. On już nie usnął.

Patrzył na nią, zasepiony, aż pierwsze promienie poranka zaczęły przedzierać się przez żaluzje, budząc powoli Vivian i chłopców.

Vivian wstała i wyjrzała na korytarz, obserwując przez chwilę krzątanie porannej zmiany personelu.

- Proponuję, żebyście wynajęli jakiś przyzwoity pokój w hotelu i wzięli kąpiel - zwróciła się do braci. - Ja zostanę z Natalie. Zaraz będą ją myć i karmić, więc i tak was wyrzucą.

Mack nie zareagował.

- Hej! - Pociągnęła go za rękę, zmuszając, żeby wstał z krzesła. - Słaniasz się na nogach i wyglądasz jak pięćdziesięciolatek. Do niczego się tu nie przydasz, jeśli sam nie odpoczniesz. Spałeś chociaż trochę?

- Natalie obudziła się w nocy - odpowiedział z ponurym grymasem na twarzy, jakby to wszystko wyjaśniało. - Pamiętała, co jej powiedziałem. Widziałem to w jej oczach.

- Przypomni sobie też, co ja jej powiedziałam. Musimy jakoś przez to przejść. Natalie nie jest osobą, która nosi w sobie długo urazę. Wybacz nam.

- Ona nie będzie chciała z nami wrócić... - uświadomił sobie Mack z przerażeniem. - Ale wróci, nawet gdybym miał ją nieść aż do Medicine Ridge na rękach! Jeśli się obudzi, zanim wrócę, możesz jej to powiedzieć!

Podniesione głosy obudziły Natalie. Skrzywiła się z bólu przy pierwszym poruszeniu, ale spojrzała na Macka gniewnym wzrokiem. Spróbowała usiąść.

- Nie mam zamiaru nigdzie z tobą jechać - powiedziała najsilniejszym głosem, jaki była w stanie z siebie wydobyć. - Nie poszłabym z tobą nawet... do windy!

- Uspokój się. - Vivian ułożyła ją delikatnym, ale stanowczym ruchem na łóżku. - Kiedy odzyskasz siły, sama dam ci patelnię, żebyś go nią zdzieliła. I podstawię też swoją głowę. Ale teraz - dodała cicho - musisz przede wszystkim wyzdobrzeć. W szpitalu będą cię trzymać, dopóki nie wyzdrowiejesz. Ale całkowity powrót do zdrowia będzie trwał dłużej, więc nie możesz zostać sama.

- Ona ma rację, Nat - wtrącił stanowczym głosem Charles, coraz bardziej podobny do swojego starszego brata. - Będziemy się tobą opiekować.

- Nauczę cię grać w szachy. - Do łóżka podszedł Bob z rozbrajającym uśmiechem na ustach.

- A ja cię nauczę, jak być prawdziwym utrapieniem dla bliźnich. Mogłabym o tym napisać książkę.

Natalie przeniosła wzrok na Macka. Patrzył na nią nieruchomo, spokojnie, i wyglądał niemal bezradnie. Może to było tylko złudzenie.

- Ty mógłbyś ją nauczyć wyciągania bzdurnych wniosków - mruknęła zimno Vivian.

- Nauczyłem się tego od ciebie - odparował Mack i zwrócił się do Natalie: - Wracasz z nami, tak czy inaczej, i dajmy już temu spokój.

- Posłuchaj mnie... - Jej oczy zapłonęły gniewem.

- To ty posłuchaj. Porozmawiam z lekarzem i dowiem się, jakiego rodzaju opieki będziesz wymagała. Wynajmę prywatną pielęgniarkę i sprowadzę do domu szpitalne łóżko. Cokolwiek będzie potrzebne.

Natalie, w bezsilnym geście rozpaczy, uderzyła się pięścią w klatkę piersiową. Jęknęła z bólu.

- Hola! Spokojnie - mruknął drwiąco. - To nic nie da.

- Nie jestem paczką, którą można przetrzucać z miejsca na miejsce. I nie jestem twoją własnością!

- Jakkolwiek by na to patrzeć - powiedział cicho - w jakimś sensie należysz do mnie, odkąd skończyłaś siedemnaście lat. - Odwrócił się do Vivian. - Zabieram Boba i Charlesa do hotelu. Wrócimy za parę godzin. Zadzwoń, jak tylko się zameldujemy, żebyś miała z nami kontakt.

- Dobrze. Nie martw się - powiedziała dobrodusznie, kiedy zawahał się, stojąc przed drzwiami. - Zajmę się nią.

- Nigdzie nie pojedę! - zachrypiała Natalie, zanim Mack wyszedł.

Vivian podeszła do łóżka i delikatnie odgarnęła włosy z jej czoła.

- Pojedziesz - powiedziała łagodnie. - Mack i ja nigdy sobie nie wybaczymy tego, co ci zrobiliśmy. Byłam tak zazdrosna o ciebie... Nat, ja myślałam, że umrę, jeśli stracę Whita. Wiesz, że on później skłamał, że się z tobą kochał? Byliście razem na dole prawie godzinę, a ja nie miałam pojęcia, że Mack wrócił do domu. Wyszło z tego koszmarnie nieporozumienie. Potem jeszcze powiedziałam Mackowi, że widziałam was razem. Nat, będziesz mi mogła kiedyś wybaczyć?

Natalie westchnęła.

- Oczywiście. Za długo się przyjaźnimy, żebyśmy mogły ci nie wybaczyć.

- Nie bardzo się sprawdziłam jako przyjaciółka... - Vivian pochyliła się i pocałowała Natalie w czoło. - Ale przysięgam, że się poprawię. Na razie postaram się sprawdzić w roli twojej osobistej pielęgniarki. Zrobię ci prowizoryczną kąpiel, a potem nakarmię.

- Mack ci uwierzył.

- Tej nocy, gdy go okłamałam, zamknął się w gabinecie i wypił prawie całą butelkę whisky. Musiałam sprowadzić ślusarza, żeby otworzył drzwi od zewnątrz. Kiedy do niego weszłam, był nieprzytomny. Przeraziłam się. Nigdy dotąd nie tracił nad sobą kontroli. Wtedy zrozumiałam, jak bardzo go zraniłam... W końcu okazało się, że miał rację co do Whita. Ten drań naciąga teraz inną bogatą dziewczynę. Boże, jaką ja byłam idiotką...

- Byłaś zakochana, a to chyba nie idzie w parze z rozsądkiem.

- Tak myślisz? - spytała Viv z zaczepnym uśmiechem.

- Nie znam się na tym. - Natalie odwróciła wzrok. - Dawno temu po raz pierwszy i ostatni doświadczyłam smaku tego uczucia.

- Wiem. To był Mack. A ja wykorzystałam to, żeby cię zranić. Niczego bardziej nie żałuję.

- Nie to miałam na myśli - powiedziała z irytacją Natalie.

- Tak czy inaczej, wszystko będzie dobrze. - Natalie postanowiła nie drażnić delikatnego tematu. - Uwierz mi, chociaż wiem, że masz prawo nie wierzyć w ani jedno moje słowo.

- Przyjechaliście tu wszyscy razem?

- Tak. Zadzwoił twój lekarz i powiedział, że walczysz o życie i że ktoś z rodziny powinien podpisać zgodę na operację. Mack wysłał ją faksem, więc gdyby ktoś cię pytał, jesteśmy twoimi kuzynami.

- Pewnie znaleźli w mojej torbie jego wizytówkę...

- Pamiętasz w ogóle, co się stało? - Vivian zapytała z wahaniem.

- Tak. Zobaczyłam dwóch nastolatków okładających się pięściami na boisku do koszykówki. Postanowiłam ich rozdzielić. Jeden z nich miał nóż i weszłam mu w drogę akurat w chwili, kiedy wyjmował go z kieszeni. - Pokręciła głową. - I tak miałam szczęście, że kosztowało mnie to kawałek płuca, a nie życie.

- Następnym razem zadzwoń na policję. Do nich należy pilnowanie porządku i potrafią to świetnie robić.

- Następnym razem, jeśli taki się zdarzy, na pewno zadzwonię. - Natalie chwyciła Vivian za rękę. - Dziękuję, że przyjechaliście.... To taki kawał drogi. Po tym, co między nami zaszło, nigdy bym się tego po was nie spodziewała. Szczególnie po Macku.

- Kiedy chłopcy dowiedzieli się o wypadku, natychmiast powiedzieli, że należysz do naszej rodziny. I to jest święta prawda. Czy to ci się podoba, czy nie.

- Bardzo mi się podoba. Cieszę się, że dalej jesteśmy przyjaciółkami - powiedziała drżącym głosem.

- Och, Nat! - Vivian pochylała się i uścisnęła Natalie najdelikatniej jak mogła. -
Przepraszam cię! Przysięgam, że już nigdy nie będę taka podła!

Natalie objęła przyjaciółkę sprawną ręką, i nagle kojące łzy popłynęły jej z oczu.

Vivian wyjęła z torebki dwie chusteczki, jedną podała Natalie, i kiedy obie wytarły mokre policzki, wybuchnęły śmiechem.

- Mack też ma cię za co przepraszać. Myślę, że skorzysta z okazji. Ale to będzie dla niego bardzo trudne, więc spróbuj mu to jakoś ułatwić, jeśli możesz...

- On źle wygląda.

- Nic dziwnego. Od kilku tygodni robi wszystko, żeby zaharować się na śmierć. Nawet nie będę ci mówiła, jak trudno z nim wytrzymać.

- To raczej normalne.

- Jest gorzej niż kiedykolwiek. Jeśli nie wierzysz, spróbuj zerknąć na korytarz, kiedy wróci. Zobaczysz spanikowany personel szpitala, uciekający na jego widok, gdzie pieprz rośnie. Szkoda, że armia się na nim nie poznała. Byłby świetnym generałem.

- Czy Glenna... też przyjechała do Dallas?

- Nie widział się z nią ani razu po twoim wyjeździe. I nawet nie wspomina jej imienia.

Natalie nic nie powiedziała. Była pewna, że Mack przyjechał do niej z poczuciem winy, chociaż nie miał powodu czuć się winnym. Wyciągnął fałszywe wnioski i oskarżył ją o coś, czego nie zrobiła, ale to nie on pchnął ją nożem. Nie miał na to żadnego wpływu. Sama, z czystej głupoty, naraziła się na niebezpieczeństwo. Coś takiego mogło wydarzyć się wszędzie. Zmęczona rozmową, położyła się i zamknęła oczy.

Mack wrócił z braćmi po lunchu. Wszyscy trzej mieli wypoczęte twarze. Wyglądało na to, że skorzystali z możliwości przespania się w prawdziwych łózkach.

Chłopcy posiedzieli przy Natalie tylko kilka minut i wyszli pospacerować po mieście. Vivian postanowiła zjeść lunch w szpitalnej kawiarni.

- Wyglądasz lepiej. - Mack usiadł przy łóżku Natalie i ujął ją za rękę. - Jak się czujesz?

- Jak stratowana przez stado byków. - Nigdy jeszcze nie czuła się z nim tak nieswojo. Nie przychodziło jej do głowy nic, co chciałaby mu powiedzieć.

- Lekarz mówi, że w piątek możesz stąd wyjść. Uważa, że nie ma przeciwwskazań, żebym cię zabrał do domu learjetem.

- Learjetem?

- Przylecieliśmy wyczarterowanym samolotem. Piloci zatrzymali się w tym samym hotelu i będą czekać dotąd, aż będziemy gotowi wszyscy razem wrócić.

- To musi kosztować fortunę... - Natalie otworzyła szeroko oczy.

- Na biednego nie trafiło - zaśmiał się Mack. - Moje interesy kwitną.

- Ja mam tutaj mieszkanie... - zaczęła mówić, nie patrząc mu w oczy.

- Miałaś tutaj mieszkanie.

- Słucham?

- Powiedziałem właścicielce mieszkania, że nie wrócisz. Spakowałem twoje rzeczy, ostrożnie, i nadałem je na bagaż. Odebrałem też twoją pocztę i załatwiłem to, że cała korespondencja będzie przesyłana na nasz domowy adres.

- Mack, coś ty zrobił? Ja mam tu pracę!

- Och tak! Rozmawiałem też z dyrektorem szkoły. Przykro mi, że cię straci, ale biorąc pod uwagę przypuszczalny czas twojej rekonwalescencji, zmuszony jest znaleźć kogoś na twoje miejsce. Możesz jeszcze raz złożyć aplikację, jeśli będziesz chciała tu wrócić. Ale sądzę, że nie będziesz chciała.

- Oczywiście, że będę chciała wrócić! Nie masz prawa mi tego robić!

- Już to zrobiłem, Nat - powiedział spokojnie. - I jeśli przemyślisz to dokładnie, zgodzisz się, że było to jedyne, co mogłem zrobić. To, że zostaniesz tutaj sama, w ogóle nie wchodzi w grę i nie wchodziłoby nawet wtedy, gdybym cię nienawidził.

- Kiedy wyjeżdżałam, myślałam, że mnie nienawidzisz.

- Wiem. Viv ma rację, że nauczyłem się wyciągać bzdurne wnioski. - Pochylił się nad Natalie i zmusił ją, żeby spojrzała mu w twarz. - Ale jest wiele innych rzeczy, których wolałbym nauczyć ciebie.

- Na przykład? - wyszeptwała.

- Obiecałem ci to kiedyś... - Musnął wargami jej usta. - Nie pamiętasz, Natalie?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Nie wierzyła własnym uszom, nie wierzyła, że mówi do niej tonem tak czułym, że, leżąc z zamkniętymi oczami, prawie nie poznawała jego głosu.

- Myślisz, że żartuję? - spytał szeptem. - Żarty się skończyły, kiedy doktor Hayes powiedział mi, że walczą o twoje życie. Od tamtej chwili wszystko traktuję poważnie.

Nie rozumiała. Mówił mu to wyraz jej twarzy.

- Po pierwsze, nie powinienem był ci pozwolić wyjechać.

- Powiedziałeś, żebym się nie pokazywała nigdy więcej na ranchu - powiedziała drżącymi wargami.

- Myślałem, że poszłaś do niego... prosto ode mnie. Przeżyłem koszmar, tylko dlatego, że mnie i Vivian poniosła wyobraźnia i zawiódł rozum.

- Trudno jest ufać ludziom. Powinnam o tym wiedzieć.

Wciąż się wahała. Zdawała sobie sprawę, że jest pod wpływem leków, i nie do końca wierzyła w nagły przypływ uczucia Macka. Na dodatek, jakby się chciała pograżyć w czarnych myślach, zaczęła wspominać swoją przeszłość. Straciła wszystkich, których kochała. Najpierw rodziców, potem Carla; nawet jeśli Carl jej nie kochał, dał jej jednak przedsmak miłości.

- Masz taką posępną minę, Nat. O czym myślisz?

- O tym, że straciłam wszystkich, których kochałam - szepnęła bezwiednie.

- Mnie nie stracisz.

Serce załomotało jej w piersi. Teraz była pewna, że się nie przesłyszała. Już miała poprosić go, żeby powiedział to jeszcze raz, gdy do pokoju weszła pielęgniarka. Mack, dostrzegając osłupienie w jej oczach, uśmiechnął się i wyszedł na korytarz.

W piątek rano stan Natalie był na tyle zadowalający, że doktor Hayes pozwolił jej na powrót do domu samolotem. Późnym popołudniem wylądowali na małym lotnisku w Medicine Ridge, a stamtąd, dwoma samochodami, w dziesięć minut dotarli na rancho Killainów.

Mack wziął Natalie na ręce i, trzymając ją może trochę za mocno, wszedł po frontowych schodach i przeniósł ją przez próg.

- Nie musisz mnie nieść - szepnęła, zauważając kątem oka, że chłopcy pomaszzerowali prosto do kuchni, a Vivian na górę, żeby otworzyć pokój gościnny.

- A dlaczego by nie? - zaśmiał się i delikatnym pocałunkiem musnął jej usta. - To dobry zwyczaj.

Jaki znowu zwyczaj, zastanawiała się półprzytomnie, ale nie zapytała, co Mack miał na myśli. Poruszyła ręką i skrzywiła się z bólu.

- Przepraszam - powiedział łagodnie. - Ciągle zapominam o twoim boku. Idziemy na górę.

Wniósł ją po schodach na piętro, do pokoju gościnnego, który przylegał do jego sypialni. Rzuciła mu zakłopotane spojrzenie.

- Jesteś w takim stanie, że nie mogę cię ulokować w drugim końcu domu. - Wszedł do przestronnego pokoju i ułożył ją delikatnie na podwójnym łóżku z baldachimem. - Drzwi łączące nasze pokoje będą otwarte. Gdybyś potrzebowała czegoś w nocy, wystarczy, że zawołasz. Mam lekki sen. - Zerknął wymownie na stojącą obok Vivian. - Czego nie mogę powiedzieć o nikim innym z tej rodziny.

- Ja w końcu też się jakoś budzę. - Vivian wzruszyła ramionami.

- Viv pomoże ci się przebrać w nocną koszulę.

- Coś ładnego i skromnego - mruknęła Vivian ze złośliwym błyskiem w oczach.

- Właśnie - odparł, niewzruszony, zatrzymując się przy drzwiach. - A ja dla odmiany będę spał w pidżamie.

Kiedy zostawił je same, Vivian zachichotała, widząc, że Natalie spłoszowały policzki.

- W tym stanie nie nadajesz się do żadnych harców, więc przestań się martwić i skoncentruj wyłącznie na swoim zdrowiu. Nie powiesz chyba, że nie będziesz się czuła bezpieczniej, mając w pobliżu Macka.

- Zgoda, ale... ciągle mi się wydaje, że nadużywam waszej gościnności.

- Należysz do naszej rodziny, więc nie jesteś tu żadnym gościem. Zaraz znajdziemy ci coś lekkiego i wygodnego, a potem zobaczą, co się dzieje w kuchni. Nie wiem, jak ty, ale ja po prostu umieram z głodu!

Natalie zdziwiła się, kiedy Mack przyniósł tacę do jej pokoju i usiadł przy łóżku, żeby zjeść z nią kolację. Ale tego dnia spotkało ją więcej niespodzianek. Zamiast spędzić pracowity wieczór w swoim gabinecie, Mack czytał jej wspomnienia o życiu w Montanie z końca dziewiętnastego wieku. Historia była zawsze ulubioną dziedziną wiedzy dla Natalie, więc sprawił jej tę lekturę dużą przyjemność. Z zamkniętymi oczami słuchała jego niskiego głosu, aż odpłynęła w sen.

W szpitalu była pod wpływem silnych środków uspokajających i dlatego zapewne nie śniły jej się żadne koszmary. Ale pierwszej nocy w wygodnym łóżku przeżyła na nowo

wypadek, który omal nie pozbawił jej życia. Zagarnęły ją ciepłe, kojące ramiona, słyszała czule słowa szeptane do jej ucha. Na początku myślała, że dalej śni, ale bliskość twardego, szorstkiego torsu stawiała się coraz bardziej realna. Poruszyła w ciemności ręką.

- Mack?

- Mam nadzieję, że nie spodziewałaś się nikogo innego - mruknął zaspanym głosem. - Śniły ci się koszmary, kochanie. Nie bój się, to był tylko sen. Spróbuj zasnąć.

Uniosła się na łokciach i rozejrzała dookoła. Była w swojej sypialni, ale Mack leżał koło niej, przykryty po szyję, i wyglądało na to, że jest tu od jakiegoś czasu.

- Chodź... - Przyciągnął do poduszki jej głowę. - Naprawdę myślałaś, że zostawię cię tu samą, po tym, co przeszłaś?

- Ale co pomyśli twoja rodzina?

- Że cię Kocham... prawdopodobnie.

- Aha... - Była tak oszołomiona, że nie do końca rozumiała sens jego słów.

- Dlatego weźmiemy ślub, jak tylko dojdiesz do siebie.

Zastanawiała się, czy środki przeciwbólowe mogą wywoływać halucynacje.

- Teraz jestem pewna, że śpię - mruknęła do siebie.

- Niestety, jesteś w błędzie. Postaraj się zasnąć, zanim zrobię coś głupiego. Swoją drogą, jeżeli dla mojej siostry to jest skromna koszula, to ona ma spaczony pogląd o skromności. Czuję twoją skórę, jakbyś niczego na sobie nie miała!

- Co głupiego miałbyś zrobić?

- To. - Rozpiął kilka guziczków jej koszuli i przylgnął torsem do jej nagich piersi.

Wyprężyła się, wstrzymując oddech, a potem z cichutkim jękiem wypuściła z płuc powietrze.

- Nic na to nie poradzę, że tak na mnie działasz! - Mack parsknął śmiechem. - Przyzwyczaisz się. Nat, byłem bardziej ślepy, niż sądziłem, ale uświadomiłem sobie kilka rzeczy, kiedy zadzwonili do mnie ze szpitala. Przede wszystkim to, że należymy do siebie. Nie jestem okazem doskonałości fizycznej i mam całe stadko rodzeństwa na utrzymaniu, ale mogłaś trafić gorzej.

- Dręczysz się utratą oka? - spytała cicho. - To drobna ułomność, poza tym niczego ci nie brakuje.

- Nat, oboje wiemy, że mogę kiedyś całkiem oślepnąć. Ale myślę, że moglibyśmy stawić czoło i takiej sytuacji...

- Oczywiście, że moglibyśmy.

- Chłopcy i Vivian kochają cię, ty też ich kochasz. Pewnie nie da się uniknąć nieporozumień, ale będziemy rodziną. Dużą rodziną, jeśli będziemy mieć dzieci - dodał, śmiejąc się.

- Chciałabym mieć z tobą dziecko. Wolałbyś chłopca czy dziewczynkę?

- Wszystko jedno. Chciałabym mieć nasze dziecko. Tak jak ty.

- Tak jak ja - powiedziała, zamykając oczy z błogim, przeciągłym westchnieniem.

- Przestań... - ostrzegł zduszonym szeptem.

- Co...?

- Czuję całe twoje ciało, Nat, i z trudem panuję nad swoim. Ale musimy z tym poczekać, aż wydobrzejesz. A potem się pobierzemy. Niedługo...

- Ostatnie słowo zabrzmiało obiecująco - mruknęła.

- Obiecuję ci, że będziesz zadowolona, iż na mnie czekałaś.

- Już jestem zadowolona, Mack - szepnęła. - Kocham cię nad życie. Zostaniesz ze mną na całą noc?

- Na całą noc, na wszystkie noce, nawet jeśli będę musiał założyć ci pas cnoty, żeby wytrzymać do dnia ślubu. - Pocałował ją w czubek nosa. - Spijmy! Mam jutro mnóstwo spraw do załatwienia.

- Mówisz poważnie z tym ślubem?

- Bardzo poważnie. Pragnąłem cię zawsze i pragnę teraz. Nie wiem, kiedy dokładnie się w tobie zakochałem. Bronilem się przed tym albo nie do końca zdawałem sobie z tego sprawę. Ostatnie tygodnie były dla mnie piekłem, i nie chciałbym już nigdy w życiu przejść przez coś podobnego.

- Ja też bym tego nie chciała. - Dotknęła w ciemności jego twarzy. - Stanę się najlepszą żoną pod słońcem, obiecuję. Będę o ciebie dbać aż do śmierci.

- Ja też będę o ciebie dbał, Nat. I nigdy nie przestanę cię kochać.

Ślub został starannie zaplanowany. Nie mógł być zbyt huczny, bo Natalie wracała do zdrowia wolniej, niż i by sobie tego życzyła. Ceremonia odbyła się w miejscowym kościele prezbiteriańskim. Natalie wystąpiła w białej tradycyjnej sukni, w długim welonie i z bukietem białych róż w dłoni. Vivian została jej druhną, a Mack zdecydował, że będzie miał, niekonwencjonalnie, dwóch druhbów, aby obaj jego bracia stali przy nich w ślubnym orszaku.

Kiedy padły ostatnie słowa ślubnej przysięgi, para młoda wymieniła obrączki, i tak oto stali się małżeństwem. Kiedy Mack uniósł welon, żeby po raz pierwszy spojrzeć na Natalie jako na swoją żonę, łzy toczyły się po jej policzkach. Pocałował ją czulej niż kiedykolwiek

dotąd, a potem patrzyli na siebie długo, z takim uwielbieniem, że gościom w kościele też zwilgotniały oczy.

- Nat, byłaś najpiękniejszą panną młodą na kuli ziemskiej - powiedziała po ceremonii Vivian, całując ją ze wzruszeniem. - Tak się cieszę, wszystko się dobrze skończyło, mimo tego, co zrobiłam.

- Obie musimy się jeszcze sporo nauczyć - zaśmiała się Nat. - Poza tym nie ma złego bez dobrego. Gdybym nie znalazła się w szpitalu, nie byłabym dzisiaj najszczęśliwszą kobietą pod słońcem. A ty nie odkryłabyś swojego powołania... - dodała z lekką drwiną.

- Wyobrażasz to sobie? Ja i pielęgniarstwo! Ale siostry z Dallas powiedziały, że jestem do tego zawodu stworzona. Może mają rację. Mam nadzieję, że jeśli się przyłożę do nauki, zostanę niezłą pielęgniarką.

- Mogłabyś zostać niezłym lekarzem, gdybyś tylko chciała - Mack przyłączył się do rozmowy, obejmując ramieniem swoją nowo poślubioną żonę. - Stać nas na studia medyczne.

- Wiem. Ale nie bardzo uśmiecha mi się perspektywa spędzenia dziesięciu lat na studiowaniu. Poza tym wszyscy wiedzą, że tak naprawdę w każdym szpitalu rządzą pielęgniarki.

- No tak! - parsknęła śmiechem Natalie. - Do tego jesteś rzeczywiście stworzona.

- Bardzo się ostatnio zmieniłaś. - Mack pocałował siostrę w policzek. - Jestem z ciebie dumny.

- Ja też jestem z ciebie dumna, braciszku. Mimo że aż tyle czasu zajęło ci zrozumienie, że małżeństwo nie jest pułapką.

- Bałem się obarczać Natalie zbyt dużą odpowiedzialnością. Ale niepewność jest częścią życia. Teraz myślę, że dobra rodzina potrafi przetrwać złe czasy.

- Jasne, że tak! Na szczęście los dał nam wszystkim drugą szansę. I zobacz, jak ją wspaniale wykorzystaliśmy!

- Najwspanialsze mamy przed sobą - szepnął do ucha Natalie kilka minut później, kiedy szykowali się do wyjazdu na krótki miesiąc miodowy do Cancun na Jukatanie.

- Bardzo długo na ciebie czekałam - szepnęła, kładąc rękę na jego policzku. - Powiedziałeś, że nigdy tego nie pożałuję.

- Zobaczysz, za kilka godzin przyznasz, że warto było czekać - zaśmiał się szatańsko.

Vivian, Bob i Charles odwieźli ich na lotnisko w Medicine Ridge, skąd wynajętym learjetem polecili do Cancun. Luksusowy hotel, w którym mieli zarezerwowany apartament, znajdował się na małej wyspie, z najpiękniejszymi na świecie, złocistobiałymi plażami. Natalie miała wrażenie, że znalazła się w raj.

- Jak tu pięknie - powtarzała, oszołomiona, patrząc z tarasu na morze.

- Nie możesz jeszcze pływać, ale może chciałabyś pospacerować po plaży?

Odwróciła się do niego i uśmiechnęła promiennie.

- A ty?

- Myślę, że wiesz, czego ja bym chciał, ale spełnię każdą twoją zachciankę.

- Moglibyśmy poszukać muszli... Poza tym nie jest jeszcze ciemno.

- Słucham? - potrząsnął głową, nie rozumiejąc.

- Nie jest ciemno. To znaczy... jest biały dzień. - Zawahała się, lekko zarumieniona, bo Mack wyraźnie nie pojmował, o co jej chodzi. - Nie mogłabym się rozebrać i robić... tego... w pełnym świetle!

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Mój Boże! - Mack patrzył na żonę z bezgranicznym zdumieniem.

Miał taką minę, jakby rzuciła mu tortem w twarz.

- O co ci chodzi? - spytała hardo.

Wyjął jej z rąk przewodnik turystyczny i położył go na stole za przeszklonymi drzwiami. Przyciągnął Natalie do siebie, bardzo delikatnie, i pochylił się do jej ust.

Pierwszy raz całował ją z żarliwym skupieniem, jak kochanek. Natalie w najśmielszych snach nie przypuszczała, że zwykły pocałunek może być tak intymną pieszczotą i że otwierając się na ten pierwszy pocałunek kochanka, wypuszcza na wolność nieokielznane żywioły. Dotąd ledwie się ich domyślała, nazywając je instynktownie wielkim głodem.

Przyłgnęła do męża bezwiednie, gdy duże, ciepłe ręce zaczęły wolną, kuszącą wędrówkę po jej ciele. Zbliżyły się do jej piersi, otoczyły je kulistym ruchami i, ku rozczarowaniu Natalie, umknęły w dół. Po kilku sekundach zaczęła drżeć, garnąc się do Macka rozpaczliwie, błagając go o dotyk, którego jej odmówił. Kiedy je wreszcie poczuła - upragnione dłonie, w których rozkwitły jej piersi, jęknęła i chwyciła nadgarstki Macka.

Było jak tamtej nocy, kiedy dotykał jej po raz pierwszy, budząc w jej ciele nieznaną pragnienie. O tej chwili marzyła jak opętana, odliczając dni i godziny dzielące ich od ślubu.

Gdyby miała przejść choć kilka kroków, nogi odmówiłyby jej posłuszeństwa. Mack nie prosił o to. Wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka. Jego pieszczoty były coraz śmielsze, coraz bardziej prowokujące. Płoneła z pożądania. Pragnęła czuć jego ręce na swojej nagiej skórze, chciała, żeby na nią patrzył, pragnęła należeć do niego w taki sposób, o jakim dotąd mogła tylko śnić. Wypreżyła się i cichym pomrukiem zadowolenia przywitała ciepłe, zachłanne wargi całujące jej piersi. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że są nagie.

Nie przeszkadzało jej światło, sączące się przez zasłonięte żaluzje, kiedy Mack, jakby czytając w jej myślach, zerwał z łóżka narzutę. Po chwili na podłodze leżało też ich porzucone ubranie.

Schylił się nad nią i przykrył gorącym ciałem. Ich usta połączyły się w długim, gwałtownym pocałunku. Potem wolno całował oczy, brwi, policzki, usta.

- Myślałem, że oszaleję, zanim doczekam się tego ślubu - powiedział, chowając twarz w jej włosach.

- Mack... Kochaj mnie... Tak bardzo cię pragnę... Odsunął się od niej na chwilę i głodnym wzrokiem błędził po jej ciele.

- Ja też cię pragnę, Nat, marzyłem o tobie każdej nocy...

Nie odrywając wzroku od jej twarzy, wsunął palce między zaciśnięte uda. Zaczął pieścić ją w taki sposób, że zamarła na moment, a potem, trzymając kurczowo jego rękę, oczami błagała o litość.

- Mack!

- Tak, kochanie... Jesteś gotowa.

Ułożył się na boku, zagarniając ją nagimi udami. Nowy pocałunek był prowokujący, kuszący. Natalie drżała jak w gorączce, błędząc palcami po jego plecach, unosząc rytmicznie biodra.

- Spokojnie - szepnął czule. - Zrobimy to wolno... Powiem ci, jak...

Kiedy opłotła nogami jego biodra, przyciągnął ją bliżej.

- Maleńka... spróbuj się rozluźnić... Wpatrywała się, zafascynowana, w jego napiętą twarz, kiedy wbił się w nią jednym pchnięciem, zamknął oczy i na chwilę zamarł w bezruchu. Przeszył ją krótki jak błyskawica, tępy ból, a potem westchnęła z ulgą, z uczuciem doskonałej pełni. Straciła resztki lęku i niepewności. Była rozpaczliwie wdzięczna za to, co czuła.

- To nie będzie bolało... - szepnął, poruszając się wolno i ostrożnie.

- Nie chcę, żebyś uważał... Proszę cię, Mack! - Garnęła się do niego, chciała być jak najbliżej. Nagle zaczęła czuć wszystko dotkliwiej i wyraźniej: zapach jego ciała, bicie serca, grę mięśni. Oddychała coraz szybciej.

- Kochanie... - Poczul, że jest u kresu wytrzymałości. Zaczął przyspieszać, ale Nat nie protestowała. Jej twarz płonęła pożądaniem.

- Mack... - Zamknęła oczy. - Tak mi dobrze, Mack! Tak dobrze!

Pędzili w szalonym rytmie, dążąc do tego samego punktu, coraz bardziej niecierpliwi i rozpaleni. Natalie zamarła na moment, wpiła się paznokciami w jego ramiona, zaciskając powieki. To, na co czekała, było tak blisko... Tak blisko... Gdyby tylko mogła znaleźć właściwą pozycję... właściwy ruch... Tak! Jej ciało przeszył dreszcz, który załamał się w połowie i przemienił w błogie uczucie spełnienia.

Usłyszała jęk Macka. Jego rysy zastygły w dziwnym, niemal bolesnym uśmiechu. Wyprężył się i opadł na nią bez tchu, w wyciągnięte ramiona, bezbronny i uspokojony.

- I co? - spytał po długiej chwili, głaszcząc jej włosy. Wiedziała, o co pyta. Uśmiechnęła się i wtuliła w jego ramiona.

- Jak twoje zębra?

- W porządku.
- Czy warto było czekać, pani Killain?
- Mack, było cudownie... A ja się bałam!
- Kocham cię, Nat. I teraz pragnę cię jeszcze bardziej.

Tego wieczoru, po lekkiej kolacji, siedzieli na tarasie, popijając colę i patrząc na wschodzący nad Zatoką Meksykańską księżyc. Trzymali się za ręce, spoglądając na siebie raz po raz, żeby upewnić się, że to wszystko jawa, a nie sen.

- Nigdy nie marzyłam, że to może być tak... - wyznała łagodnym szeptem.

- Ja też nie, Nat. Nie chciałbym spędzić bez ciebie nawet połowy dnia. Nie, naprawdę nie myślałem, że to może być właśnie tak. A przecież mogłem cię stracić na zawsze... - Wzdrygnął się i odwrócił głowę. - Nie wyobrażasz sobie, co czułem, kiedy Vivian przyznała się do kłamstwa.

- Było, minęło - powiedziała Natalie. - Aha, skoro mówimy o twojej siostrze, Vivian dzwoniła, kiedy brałaś prysznic. Powiedziała, że Bob i Charles wyjechali na pojłowanie, a ona przez cały weekend będzie się uczyć do egzaminu.

- Mówiłem tym zbójcom, żeby nie zostawiali jej samej w domu!

- Przestań! Vivian jest dorosła, a chłopcy niedługo staną się pełnoletni. Nie możesz decydować o każdym ich kroku.

- Przypomnę ci te słowa, kiedy będziemy mieli dzieci w ich wieku.

- Chciałabym mieć parę... - Westchnęła z rozmarzeniem. - Chłopca podobnego do ciebie i dziewczynkę, która spędzałaby czas ze mną, w ogrodzie albo w kuchni, a potem chodziłaby do szkoły, w której będę uczyć.

- Chciałabyś wrócić do pracy?

- Dopiero wtedy, kiedy nasze dzieci pójda do szkoły.

Stać nas na to, żebyś mogła zajmować się dziećmi, póki będą małe. Potem wrócę do pracy w szkole.

- To brzmi rozsądnie. A ja będę je przewijał, karmił i uczył jeździć konno.

Patrzyła mu w oczy i pomyślała o wszystkich utrapieniach, które przeżyli w czasie długich lat swojej znajomości.

- Połączyły nas złe czasy - powiedziała smutno.

- Tak. Ogień hartuje stal. Poznaliśmy się od najlepszej i od najgorszej strony, i mamy ze sobą tak dużo wspólnego, że nawet bez fantastycznego seksu byłibyśmy dobrym małżeństwem.

- W takim razie będziemy małżeństwem nadzwyczajnym.

- Właśnie to miałem na myśli. - Podnieśli szklanki z wodą z zamiarem spełnienia toastu.

Natalie spojrzała na zatokę i zobaczyła zawijający do portu statek, oświetlony jak świąteczna choinka. I ona tak się teraz czuła - jak rozświetlony statek, wpływający do bezpiecznego portu. Znalazła wreszcie swój prawdziwy dom. Dotknęła ręki Macka i cicho westchnęła.

PALMER DIANA
PRAWO DO SZCZĘŚCIA
(A JEDNAK ŚLUB!)

**VIOLET HARDY PRACUJE JAKO SEKRETARKA W KANCELARII
ADWOKACKIEJ BLAKE’A KEMPA. MIMO CIĄGŁYCH KLÓTNI ZE
ZGORZKNIAŁYM SZEFEM, CZUJE DO NIEGO COŚ WIĘCEJ NIŻ
TYLKO SYMPATIĘ. KIEDY ON PRZEZ PRZYPADEK DOWIADUJE
SIĘ O JEJ UCZUCIACH, WYBUCHA AWANTURA. UPOKORZONA
VIOLET SKŁADA WYPOWIEDZENIE I PODEJMUJE NOWĄ PRACĘ.
DOPIERO WTEDY BLAKE UŚWIADAMIA SOBIE, ŻE STRACIŁ NIE
TYLKO ŚWIETNĄ SEKRETARKE, ALE TEŻ KOBIETĘ, KTÓRA
SPRAWIŁA, ŻE ZNÓW NABRAŁ OCHOTY DO ŻYCIA...**

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Rozgoryczona do ostatecznych granic, Violet Hardy siedziała przy biurku. Po co w ogóle została sekretarką, skoro jej szef, adwokat Blake Kemp, zupełnie jej nie doceniał. Próbowwała ocalić go przed przedwczesnym atakiem serca, parząc mu kawę bezkofeinową w miejsce zwykłej, ale za swoje trudy doczekała się tylko najgorszych obelg, jakie słyszała w życiu. Gdyby tylko nie była w nim tak desperacko zakochana! Atak wściekłości szefa skutecznie popsuł wszystkim humor. A w dodatku Blake Kemp uważał, że Violet jest gruba.

Spojrzała na swoje dość bujne ciało, przyodziane w purpurową sukienkę z głębokim dekoltem, ozdobionym falbanką stanikiem i prostą spódniczką, niejasno świadoma, że ten strój do niej nie pasuje i najpewniej stąd pełne dezaprobaty spojrzenia szefa. Jej mama też o tym delikatnie wspomniała. Falbanki, duży wzór i wąska spódniczka jeszcze podkreślały rozłożyste biodra Violet.

Usilnie starała się schudnąć. Nie jadła słodczy, chodziła na gimnastykę i wkładała masę wysiłku w przygotowanie zrównoważonych, zdrowych posiłków dla siebie i chorej na serce mamy. Ojciec Violet zmarł przed rokiem, najprawdopodobniej na zawał. Być może jednak za jego nagłą śmierć należało winić Janet Collins, macochę koleżanki Violet, Libby. Janet Collins wyłudziła od ojca Violet olbrzymią sumę pieniędzy. Violet zorientowała się w sytuacji dopiero po pogrzebie, zbyt późno, by zablokować konta. Nie dość, że straciły ojca i męża, to jeszcze znalazły się w katastrofalnej sytuacji finansowej. Przepadły pieniądze, dom, samochód, praktycznie rzecz biorąc, wszystko. Jakim cudem ta kobieta zdołała wyłudzić od pana Hardy'ego dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów? Wkrótce po pogrzebie mama Violet miała pierwszy udar. Skromny spadek, jaki Violet dostała po ojcu, ledwo wystarczył na życie w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Kiedy pieniądze się skończyły, trud utrzymania ich obu spadł na barki Violet. Dziewczyna znalazła pracę w biurze pana Kempa, u boku Libby Collins i Mabel Henry. Na szczęście, pomimo krytycznego nastawienia ojca, który uważał, że córka nigdy nie będzie musiała pracować, Violet ukończyła kurs dla sekretarek.

Violet lubiła tę pracę i była w niej dobra. Niestety, szef jej nie doceniał. A dziś było gorzej niż zwykle. Przez kilka chwil gotowała się ze złości, a bezradne koleżanki mogły tylko słuchać współczująco jej narzekania.

- Nie przejmuj się tak bardzo, kochanie - poradziła Mabel. - Wszyscy mamy gorsze dni.

- Uważa, że jestem gruba. - Głos Violet brzmiał żałośnie.

- Przecież nic nie powiedział.
- Ale widziałaś, jak na mnie spojrzał. Mabel skrzywiła się.
- Ma zły dzień.
- Ja też - odparowała Violet.

Libby Collins poklepała ją po ramieniu.

- Rozchmurz się! Zobaczysz, za kilka dni cię przeprosi. Jestem tego pewna.

Violet nie była taka pewna. A nawet gotowa się była założyć, że przeprosiny to ostatnie, o czym pomyślałby jej szef.

- Zobaczmy - rzuciła, wracając do biurka. Odgarnęła do tyłu długie ciemne włosy, a jej niebieskie oczy wypełniły się łzami. Starła się ukryć zranione uczucia. Było jeszcze coś gorszego od nieprzychylnych spojrzeń. Słyszała, jak Mabel i Libby szeptały, że kiedy zwierzała się współpracownikom ze swoich uczuć do szefa po jego ataku wściekłości, wywołanym podaniem kawy bez kofeiny, interkom był włączony. Kemp słyszał wszystko. Jak miała teraz spojrzeć mu w oczy?

Było tak, jak się obawiała, czyli fatalnie. Przez cały dzień szef spotykał się z klientami, umawiał na spotkania i popijał kawę (z kofeiną!). I przy każdej okazji rzucał jej spojrzenie pełne wyrzutu, jakby obarczał ją winą za wszystkie siedem grzechów głównych. W końcu, na odgłos jego kroków zaczęła się kulić w sobie. Pod koniec dnia była już pewna, że jej kariera w tej firmie dobiegła końca. Pozostanie byłoby zbyt upokarzające.

Libby i Mabel zauważyły jej niewyczerpaną milkliwość. Ale zaniepokoiły się dopiero, gdy wyciągnęła z maszyny zapisaną kartkę, wstała, wzięła głęboki oddech i ruszyła do gabinetu Kempa.

W kilka sekund później usłyszały jego głos. . . - Co u diabła...?

Violet wycofała się na korytarz, zarumieniona i zmieszana. Kemp, bez okularów, wymachując trzymaną w ręku kartką papieru, podążał za nią.

- Nie możesz odejść w ciągu jednego dnia! Mamy sprawy w toku! Trzeba powiadomić klientów!

Odwróciła się z błyskiem w oku.

- Wszystko jest w komputerze, a Libby zna sprawy, bo pomagała mi, kiedy mama była chora. Przecież to dla pana bez znaczenia, kto pisze na maszynie i odbiera telefony! Odchodzę do Duke'a Wrighta!

Kemp wrzał z oburzenia.

- Bardzo ładnie! Tego się nie spodziewałem!

- Pan Wright jest mniej pobudliwy i nie będzie robił awantur z byle powodu! A poza tym - dodała bezczelnie - sam potrafi zaparzyć kawę!

Nie znalazł celnej riposty, więc tylko zagryzł zmysłowe wargi, mruknął coś pod nosem, zacisnął w dłoni kartkę i wrócił do siebie. Trzasnęły drzwi.

Libby i Mabel próbowały się nie roześmiać. W czasie krótszym niż miesiąc Kemp wyrzucił z biura już dwie osoby. Jego humor bywał jedynie zły lub gorszy, a biedna Violet trafiła na najgorszy z możliwych.

Koleżanki już wyszły, a Violet ubierała się właśnie, kiedy Kemp, wciąż wściekły, wmaszerował do holu. Bładoniebieskie oczy połyskiwały zza okularów, na pociągłej twarzy malowała się złość, ciemne falujące włosy były lekko potargane. Zatrzymał się i spojrzał na nią.

- Mam nadzieję, że co do kawy, wszystko jasne. Czy przemyślała pani może swoją impulsywną decyzję?

Violet wyprostowała się i śmiało spojrzała mu w oczy.

- Postanowiłam odejść, jak tylko znajdzie pan kogoś na moje miejsce.

- Czyli ucieczka, panno Hardy? - zapytał sarkastycznie.

- Jeżeli chce pan tak to nazwać. Znów udało się jej go rozzłościć.

- W takim razie to pani ostatni dzień w pracy. I radzę zapomnieć o okresie wypowiedzenia. Pani pracę dokończy Libby, a ja zapłacę za dwa tygodnie.

Violet zeszywniała, ale odpowiedziała spokojnie.

- Tak jest, panie Kemp. Dziękuję bardzo.

Spojrzał na nią złym okiem. Jej spokój doprowadzał go do wściekłości.

- Doskonale. Proszę o klucz do biura.

Odczepiła klucz od breloczka i podała mu, unikając kontaktu z jego palcami. Teraz, kiedy minął szok, serce krajało jej się w plasterki. Ale duma nie pozwalała pokazać, jak bardzo dotknął ją ten konflikt.

Patrzył na jej ciemną głowę, kiedy podawała mu klucz. Opanowało go nieznane do tej pory, niezrozumiałe poczucie straty. Pomimo młodego wieku nie interesował się kobietami. Przed kilku laty stracił ukochaną i nie zamierzał więcej ryzykować.

Czuł, że Violet zagraża jego swobodzie. Miała w sobie szczególny rodzaj empatii i była podatna na urazy emocjonalne. Kemp rozumiał, jak bolesne było dla niej usunięcie z biura i jego życia, ale czuł, że zbyt się do niego zbliżyła. Nie chciał już więcej wiązać się z kobietą. Śmierć narzeczonej pozostawiła w nim niezatarty ślad.

Wiedział oczywiście, że Violet jest nim zauroczona. Miniony rok był dla niej niełatwy. Strata ojca i domu, życie przewrócone do góry nogami, choroba matki. Wzięła na siebie ten ciężar bez słowa skargi. A teraz zostaje bez pracy. Skrzywił się, bo czuł, że sprawił jej ból.

- Tak będzie lepiej - wymamrotał.

Spojrzała na niego, a w jej wielkich niebieskich oczach czaiła się rozpacz.

- Czyżby?

Zacisnął szczęki.

- Mylisz się, co do swoich uczuć, Violet. To tylko zauroczenie - powiedział tak łagodnie, jak potrafił, obserwując rumieńce wykwitające na jej policzkach. - Wiem, że sobie poradzisz.

Wargi jej drżały, kiedy próbowała wymyślić sposób na przerwanie tej przygnębiającej tyrady. Jeżeli miała jeszcze nadzieję, że nie usłyszał jej wyznania, to teraz nie mogła się już ludzić. Chętnie zapadłaby się pod ziemię. Nie wyobrażała sobie większego upokorzenia. A on nie mógł wyrazić się jaśniej.

- Na pewno sobie poradzę - wykrztusiła. Zebrała swoje rzeczy i ruszyła do drzwi. Dżentelmen w każdym calu, otworzył je przed nią.

- Dziękuję. - Odwróciła wzrok.

- Czy Duke Wright na pewno cię zatrudni? - zapytał nagle.

Nawet na niego nie spojrzała.

- Dlaczego to pana obchodzi? - zapytała głucho. Wysoki mężczyzna obserwował, jak idzie do samochodu i odjeżdża. Jak opuszcza jego życie.

Mama leżała na sofie, oglądając jeden z ulubionych seriali.

- Witaj, kochanie - odezwała się z uśmiechem. - Miałaś dobry dzień?

- Tak - skłamała Violet. - A ty?

- Świetny. Przygotowałam kolację!

- Mamo, nie powinnaś się męczyć.

- To żaden wysiłek. Lubię gotować. - Niebieskie oczy starszej pani rozbłysły radością. Jej włosy, teraz srebrzystosiwe, były krótkie i falujące. Leżała na sofie, ubrana w ciepły szlafrok i skarpetki. Kwietniowe noce były wciąż jeszcze chłodne.

- Zjemy tutaj? - zaproponowała Violet.

- Świetnie. Możemy obejrzeć wiadomości. Violet się skrzywiła.

- Wolałabym coś pogodniejszego.

- Mamy masę filmów na DVD.

Violet wymieniła starą komedię z krokodylem w roli głównej.

Mama spojrzała na nią uważnie.

- Oglądasz to po każdej kłótni z panem Kempem - zaryzykowała.

Violet odchrząknęła.

- Przemówiliśmy się - przyznała, ale nie odważyła się wyznać, że jedyna żywicielka rodziny została chwilowo bez pracy.

- To wszystko minie - pocieszyła ją pani Hardy. - To trudny mężczyzna, ale był dla nas bardzo życzliwy. Pamiętasz, jak trafiłam ostatnio do szpitala, przywiózł cię tam i siedział z tobą, dopóki kryzys nie minął.

- Tak, wiem - odparła Violet, ale nie dodała, że Kemp zrobiłby to dla każdego. Miał po prostu dobre serce.

- A potem przysłał nam wielki kosz owoców na Boże Narodzenie - wspominała starsza pani.

Violet poszła się przebrać w domowy strój. Zastanawiała się, jak zdoła znaleźć inną pracę bez referencji Kempa. Nie chciała go już o nic prosić. Kłamstwo o pracy dla Duke'a Wrighta miało jej tylko pomóc zachować twarz.

- Idziesz dzisiaj na gimnastykę? - spytała mama, kiedy Violet wróciła do pokoju i wsunęła do odtwarzacza kasetę z wybranym filmem.

- Dziś nie - odpowiedziała z uśmiechem. Może już nigdy, pomyślała. Po co właściwie, skoro już nie zobaczy Kempa?

W nocy płakała w poduszkę, nienawidząc własnej słabości. Na szczęście była sama. Rano wstała i ubrała się z twardym postanowieniem. Znajdzie inną pracę. Chce i potrafi ciężko pracować. Ma atuty, które doceni każdy pracodawca. Tymi optymistycznymi przekonaniem próbowała ukoić swoje mocno zranione ego. Jeszcze pokaże Kempowi. Znajdzie pracę gdziekolwiek!

W tym wypadku rzeczywistość zdecydowanie rozmijała się z teorią. W niewielkim Jacobsville ludzie pracowali w jednym i tym samym miejscu aż do emerytury.

Była tylko jedna nadzieja. Duke Wright, miejscowy ranczer, pozostający w stanie werbalnej wojny z panem Kempem. Twardy, zimny i wymagający. Poprzednia sekretarka opuściła jego biuro we łzach. Żona odeszła, zabierając ze sobą kilkuletniego syna i wniosła pozew o rozwód. Wright wciąż odmawiał podpisania papierów, co doprowadziło do gwałtownej konfrontacji pomiędzy nim a Blake'em Kempem. Walkę na pięści przerwała dopiero interwencja szefa policji, Casha Giera. Duke wymierzył mu potężny cios i wy-

łądował w areszcie. Pomędzy Blake'em Kempem i Duke'em Wrightem z pewnością nie mogło być mowy o pokojowej koegzystencji.

Violet zebrała się na odwagę, by zatelefonować do Wrighta zaraz rano, kiedy mama jeszcze spała.

Od razu rozpoznała jego głęboki, tubalny głos.

- Pan Wright? Mówi Violet Hardy. Przez chwilę milczał, zaskoczony.

- Tak, słucham, panno Hardy - odpowiedział.

- Może potrzebowałby pan sekretarki od zaraz? - zadanie tego pytania przyszło jej z niemałym trudem.

Wright znów zamilkł na chwilę, potem zachichotał.

- Czyżby rzuciła pani Kempa? Poczwała, że się rumieni.

- Owszem - odpowiedziała. - Odeszłam.

- Gratuluję!

- Przepraszam? - wyjąkała zdumiona.

- Ile czasu zajmie pani dojazd? - Kwadrans.

- Zgoda. I proszę nie ukrywać przed Kempem, dla kogo pani teraz pracuje. Do zobaczenia, Violet.

Odłożył słuchawkę, zanim zdążyła odpowiedzieć. Miała pracę! Nie musiała nic mówić mamie. Ulżyło jej i przez chwilę wpatrywała się bezmyślnie w telefon.

- Wrócę po piątej - obiecała, całując mamę w czoło. Wydawało się spocone.

- Dobrze się czujesz?

Mama spojrzała na nią z uśmiechem w bladoniebieskich oczach.

- Trochę boli mnie głowa, nic poważnego. Powiedziałabym ci przecież.

Violet trochę się rozluźniła. Kochała mamę i wiedziała, że mama też ją kocha. Bardzo się bała ją stracić.

- Wszystko w porządku - powtórzyła mama z naciskiem.

- Zostań dziś w łóżku i nie próbuj niczego szykować. Dobrze?

Pani Hardy sięgnęła po dłoń Violet.

- Nie chcę być dla ciebie ciężarem - powiedziała miękko. - Nigdy nie chciałam.

- Choroba nie wybiera.

- Twój ojciec mógłby jeszcze żyć, gdybym tylko... - Oczy starszej pani wypełniły się łzami.

- Mamo, nie możesz się obwiniać o coś, na co nie miałaś najmniejszego wpływu.

Violet pomyślała, że gdyby to ona znalazła się na miejscu swojej mamy, z pewnością nie okazałaby mężowi tyle serca. Jej ojciec nie kochał matki, co było jasne dla wszystkich poza nią samą. Pani Hardy przez całe życie starała się pomagać innym. Dopóki nie zachorowała, udzielała się aktywnie w lokalnej społeczności. Brała udział w kwestach i pracach wspólnoty kościelnej, wspierała osierocone rodziny, jednym słowem, robiła, co tylko mogła. Natomiast ojciec wracał z pracy i zasiadał przed telewizorem. Skoncentrowany na sobie i swoich potrzebach, nie żywił współczucia dla nikogo. Nigdy nie byli blisko z Violet, chociaż starał się na swój sposób.

Nie zdradziła mamie swoich myśli. Pochyliła się tylko i pocałowała ją.

- Kocham cię i chcę się tobą opiekować. Naprawdę - zapewniła ją z uśmiechem.

- Podziękuj koniecznie panu Kempowi za tę pracę, bo zupełnie nie wiem, jak byśmy sobie inaczej poradziły.

Violet przysiadła przy mamie.

- Muszę ci coś powiedzieć.

- Wychodzisz za mąż? - zapytała starsza pani z uśmiechem i oczami błyszczącymi nadzieją. - Zauważył w końcu, że jesteś w nim zakochana?

- Tak - przyznała Violet. - I powiedział, że łatwiej o nim zapomnę, pracując gdzie indziej.

- A wydawał się takim wspaniałym mężczyzną. - Mama była wyraźnie rozczarowana.

- Mam nową pracę - powiedziała Violet, zanim mama zaczęła się martwić. - Zaczynam dzisiaj. - Uśmiechnęła się krzepiąco. - Wszystko będzie dobrze.

- Co to za praca?

- U Duke'a Wrighta.

W oczach starszej pani zamigotały iskry.

- On nie lubi Kempa.

- Z wzajemnością. Ale dobrze zapłaci. I nie będzie narzekał na moją kawę.

- Słucham? Violet odkaszlnęła.

- Nic takiego, mam. Będzie dobrze. Lubię pana Wrighta.

Pani Hardy ścisnęła ją za rękę.

- Skoro tak mówisz. Przykro mi, kochanie. Wiem, co czujesz do pana Kempa.

- Skoro on tego nie odwzajemnia, nie ma sensu, żebym tam pracowała i zadrezczała się dzień po dniu. Przynajmniej nikt mi nie będzie mówił, że jestem gruba... - przerwała i zarumieniła się.

Mama rozzłościła się nagle.

- Wcale nie jesteś gruba! Nie mogę uwierzyć, że pan Kemp powiedział ci coś podobnego!

- Nie powiedział - przyznała natychmiast Violet. - Zasugerował to tylko. - Westchnęła.
- Ma rację. Jestem gruba. A tak się staram schudnąć!

Mama znów uściśnęła jej dłoń.

- Posłuchaj mnie, kochanie - powiedziała łagodnie. - Mężczyzna, który naprawdę cię pokocha, będzie nawet twoje wady postrzegał jako zalety. Twój ojciec też myślał o mnie: gruba - dodała nieoczekiwanie. - Odszedł do innej, smukłej i zadbanej.

- Powiedział to? Mama się skrzywiła.

- Powinnam ci była powiedzieć. Ojciec mnie nigdy nie kochał. Był zakochany w mojej najlepszej przyjaciółce, która wyszła za innego. Ożenił się ze mną, żeby wyrównać rachunki. Po dwóch miesiącach chciał się rozwieść, ale byłam w ciąży z tobą, więc spróbowaliśmy stworzyć ci dom. Dziś wiem - dodała, opadając na poduszki - że popełniłam błąd. Nie byliśmy dobrym małżeństwem. Rzadko kiedy robiliśmy coś wspólnie, nawet kiedy byłaś malutka.

Violet pogładziła mamę po włosach.

- Bardzo cię kocham ' - powiedziała. - Jesteś wspaniała. Bardzo wiele osób tak uważa. Taty strata, jeżeli nie potrafił tego docenić.

- Przynajmniej mam ciebie - nadeszła łagodna odpowiedź. - Ja też cię bardzo kocham.

Violet walczyła ze łzami.

- Muszę już iść. Bo stracę tę nową pracę, zanim ją rozpocznę.

Mama się roześmiała.

- Tylko nie pędź!

- Zawsze zgodnie z przepisami - obiecała Violet.

- Pan Wright nie jest już żonaty, prawda? - zaintrygowała się pani Hardy.

- Jest. Odmówił podpisania papierów rozwodowych. - Violet się roześmiała. - Stąd ta awantura z panem Kempem.

- To złośliwość czy wciąż ją kocha?

- Podobno ją kocha, ale ona zarabia krocie jako prawnik w nowojorskim City i wcale nie zamierza tu wracać.

- Mają małego synka. Jak ona może w ten sposób odbierać ojcu dziecko?

- Kłóć się o prawo do opieki.

- Co za bezsens.

- Kiedy w grę wchodzi dziecko, sprawa robi się poważna.

- Święta racja, kochanie - przyznała pani Hardy. - No, to powodzenia.

- Tobie też. Zapiszę tu numer pana Wrighta, na wszelki wypadek. - Violet uśmiechnęła się i sięgnęła po torbę.

Duke Wright mieszkał w wielkim, białym, wiktoriańskim domu. Jak głosiła plotka, jego żona, wychowana w biednej dzielnicy Jacobsville, wymarzyła go sobie już w dzieciństwie. Wyszła za Duke'a zaraz po ukończeniu szkoły, a studia rozpoczęła już jako młoda mężatka. Wybrała prawo, a Duke, przekonany, że nigdy nie opuściłaby Jacobsville, pozwolił jej iść własną drogą. Tymczasem ona postanowiła kontynuować naukę w szkole prawniczej w San Antonio i tam też rozpoczęła pracę.

Dlaczego właściwie zdecydowali się na dziecko w pierwszym roku jej praktyki prawniczej? Nie wydawała się tym zachwycona. Będąc młodą mamą, spędzała w firmie coraz więcej czasu, więc zatrudniono na stałe nianię. Przed dwoma laty zaproponowano jej posadę w znanej kancelarii prawniczej w nowojorskim City. Skwapliwie skorzystała z tej szansy. Duke najpierw próbował się wyklócać, potem przypochebiać, w końcu grozić, ale nic nie wskórał. Żona wyprowadziła się, zabierając ze sobą synka, i wystąpiła o rozwód. Duke walczył zębami i pazurami. Niedawno zażądała podpisu na dokumentach rozwodowych i zrzeczenia się praw do opieki nad ich pięcioletnim synem. Duke dostał szału.

Zdaniem Violet wyglądał na opanowanego i pewnego siebie. Wysoki i opalony, miał wyrazistą twarz o kanciastym podbródku i głęboko osadzonych ciemnych oczach. Ciemnoblond włosy nosił krótko przycięte. Wyglądał jak gwiazdor rodeo, którym rzeczywiście był, zanim przedwczesna śmierć ojca nie zmieniła kowboja w potentata hodowli rodowodowego bydła rasy czerwony angus, dobrze znanego i cenionego w odpowiednich kręgach. Dysponował wyposażeniem i sprzętem pozwalającym na doskonale zbilansowane żywienie, staranny dobór genetyczny, sztuczną inseminację, transplantację zarodków, selekcję na jakość tkanki mięśniowej, niską wagę przy porodzie i wysoki dzienny przyrost masy ciała. Jego farma była w pełni nowoczesna i skomputeryzowana. Ostatnio zaczął produkcję wędlin ekologicznych, które już zdążył rozpropagować w internecie.

Violet była oszołomiona imponującym wyposażeniem technicznym biura na ranczu.

- Onieśmielona? - zapytał z uśmiechem, przeciągając samogłoski. - Nie martw się. To łatwiejsze, niż wygląda.

- Sam pan to wszystko obsługuje? Wzruszył ramionami.

- Żadna z dotychczasowych sekretarek nie zdołała zagrzać tu miejsca, więc musiałem sobie radzić. - Rzucił jej przeciągłe spojrzenie i wsunął smukłe dłonie do kieszeni dżinsów. -

Nie jestem łatwym szefem, Violet - wyznał. - Musisz mieć nerwy ze stali, żeby wytrzymać moje wrzaski. Zrozumiem, jeżeli nie dasz rady.

Violet uniosła brwi.

- Pracowałam dla pana Kempa przez ponad rok. Zachichotał, odgadując, co ma na myśli.

- Mówią, że jest gorszy ode mnie. Masz dwa tygodnie na podjęcie decyzji. Zapłacę ci więcej - dodał z uśmiechem. - To powinno choć w części wynagrodzić przykrości. A teraz cię oprowadzę.

Violet była pod wrażeniem. Nigdy jeszcze nie widziała takich arkuszy kalkulacyjnych i oprogramowania. Nawet mieszanki paszowe były przygotowywane komputerowo.

- Nie musisz się zajmować hodowlą ekologiczną. Mam od tego trzech specjalistów. Ale to - wskazał arkusz kalkulacyjny - jest pilne. Chcę je mieć na bieżąco.

- Wszystkie? - Violet widziała przed sobą niekończące się nadgodziny.

- Przecież nie wypełniasz tego ręcznie. Dane przychodzą z laptopów, które kowboje mają na pastwiskach.

Pokręciła głową.

- Niesamowite. Mam nadzieję, że zdołam to opanować. Uśmiechnął się z aprobatą.

- Cenię sobie skromność. Dasz sobie radę. Gotowa do pracy?

- Tak jest, szefie.

Na pilnej nauce obsługi programów hodowlanych dzień minął błyskawicznie. Polubiła Duke'a Wrighta. Pomimo fatalnej reputacji i niełatwego charakteru, miał wiele zalet. Przez całe popołudnie nawet nie pomyślała o Kempie.

Mama uśmiechała się do niej z sofy, skąd oglądała ulubiony serial.

- Jak poszło?

Violet odpowiedziała szerokim uśmiechem.

- Świetnie! Dam sobie radę. I będę więcej zarabiać. Może nawet kupimy zmywarkę?

Pani Hardy westchnęła.

- Byłoby wspaniale.

Violet zrzuciła buty i usiadła w bujaku obok sofy.

- Ależ jestem zmęczona. Odpocznę tylko minutkę i już się biorę za obiad.

- Możemy zjeść chili z hot dogiem.

- Lepiej sałatkę. - Violet pomyślała o kaloriach.

- Jak wolisz, kochanie. Był tu dzisiaj pan Kemp. Violet miała nadzieję, że nieprędko usłyszy to nazwisko. Starsza pani podała jej białą kopertę.

- Zostawił to dla ciebie.

- Pewno moja odprawa - wymamrotała. Pani Hardy ściszyła telewizor.

- Otwórz i zobacz.

Violet nie miała na to ochoty, ale mama patrzyła na nią wyczekująco. Oddarła brzeg koperty i wyciągnęła czek i pismo. Rozłożyła je powoli.

- Co to jest?

Violet patrzyła, nie wierząc.

- Violet? Zaczepnęła tchu.

- To referencje - odpowiedziała w końcu.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Nie mogę w to uwierzyć! Wcale go nie prosiłam.

- Powiedział, że bardzo mu przykro, że tak wyszło, i ma nadzieję, że będziesz zadowolona z nowej pracy.

Violet patrzyła na mamę, zła o swoje zadowolenie z okrucich troski Kempa.

- Naprawdę? Powiedziałaś mu, gdzie pracuję? Pani Hardy wierciła się na sofie.

- No wiesz, wyglądał tak sympatycznie i był taki miły, że nie chciałam mu robić przykrości.

Violet roześmiała się, pokonana. - Więc, co mu powiedziałaś? - zapytała spokojnie. - Że pracujesz w biurze statystycznym u bardzo miłego człowieka - odpowiedziała mama, chichocząc. - Zmieniłam temat, zanim zapytał o szczegóły. Wspomniał, że ma zamiar znaleźć nową sekretarkę.

- Mam nadzieję, że będzie z niej zadowolony - westchnęła Violet.

- Nie wierzę. Wiem, że nie chciałaś odchodzić. Ale jeżeli on nie podziela twoich uczuć, to by cię tylko raniło - powiedziała mama rozsądnie.

- Dlatego odeszłam - przyznała Violet. Włożyła czek i list z powrotem do koperty. - Zrobię jedzenie.

- Może napijemy się kawy?

- Właściwie nie powinnaś.

- Zrób bezkofeinową.

To przypomniało Violet byłego szefa i znów opadły ją wspomnienia. Spróbowała się uśmiechnąć.

- Zobaczę, czy jest. - Wyszła do kuchni.

Pierwsze dni bez Kempa były najtrudniejsze. Violet nie potrafiła zapomnieć, z jaką niecierpliwością czekała na każde poranne spotkanie. Brakowało jej dźwięku jego głosu, uśmiechu w podziękę za ukończenie jakiegoś trudnego zadania, charakterystycznego zapachu jego wody kolońskiej. Teraz pracowała dla jego wroga. Nie było najmniejszej szansy, że Kemp zawita choćby w pobliże rancza Duke'a Wrighta.

Na szczęście, w miarę upływu czasu, Violet wciągnęła się w rutynę pracy na ranczu. Arkusze kalkulacyjne okazały się łatwiejsze, niż sądziła. Dowiedziała się wielu nowych i ciekawych rzeczy o hodowli, między innymi o sztucznej inseminacji i selekcji bydła na niską

wagę przy urodzeniu i szybki przyrost masy ciała. Była zafascynowana odkryciem, że jakość mięsa można kontrolować genetycznie. Zdumiewały ją zawilości rodowodowe.

Stado Duke'a zapoczątkowało hodowlę ekologiczną w Teksasie. Na farmie znajdowała się pełna dokumentacja, zarówno fotograficzna, jak i statystyczna. Oglądając zdjęcia, Violet zauważyła, że pierwsze buhaje, w porównaniu do obecnych, były krótsze, masywniejsze i miały dłuższą sierść. Zdjęcia dokumentowały bardzo wyraźny postęp hodowlany.

Violet wykonywała rutynową pracę biurową, może mało ekscytującą, ale dobrze płatną. Poza tym lubiła swoich współpracowników. Duke zatrudniał kowbojów w pełnym i niepełnym wymiarze godzin, a także studenta weterynarii. Trzy osoby stale prowadziły sprzedaż wędlin w internecie.

Duke otworzył właśnie w Jacobsville nowy magazyn sprzedaży swoich ekologicznych wyrobów. Znajdowało się tam również imponujące biuro, sąsiadujące z olbrzymich rozmiarów budynkiem gospodarczym, mieszczącym dumę gospodarza, czyli stado rozplodowe, buhaje reproduktory, laboratorium oraz specjalne pomieszczenie z kontrolowaną atmosferą, gdzie przechowywano spermę i zamrożone zarodki. Embriony, pochodzące ze spermy najwartościowszych samców, po części już nieżyjących, przechowywano w ciekłym azocie. Wszczepiano je matkom zastępczym, przeważnie rasy Holstein lub jej krzyżówek. Jałówki i roczne buhajki czystej rasy w większości przeznaczano do sprzedaży.

Violet знаła z widzenia pracowników laboratorium, na czele z młodą panią biolog, Delene Crane, ale znajomość nie pogłębiała się ze względu na brak czasu. Wiosna, kiedy rejestrowano i znakowano nowo urodzone cielęta, była na ranchu okresem wyjątkowo gorącym.

Violet wiedziała, że bydło nie tylko piętnowano rozpalonym żelazem, ale także zakładano komputerowe czipy i plastikowe kolczyki na uszy. Z czipów można było odczytać kompletne dane każdej sztuki. Te informacje poprzez komputery przenośne przesyłano do Violet, która wprowadzała je do odpowiednich arkuszy kalkulacyjnych.

- To niesamowite - powiedziała Violet do Duke'a, obserwując na ekranie komputera aktualizujące się dane.

Uśmiechnął się ze znużeniem. Był zakurzony i uwalany krwią, bo przez cały dzień pomagał przy wycieleniach. Czerwona koszula i włosy pod szerokim rondem kapelusza były mokre od potu. Zza pasa wystawała para dopasowanych irchowych rękawic.

- Zorganizowanie tego wszystkiego kosztowało mnie sporo pracy i pieniędzy - powiedział, nie odrywając oczu od ekranu. Jego głęboki głos brzmiał bardzo sympatycznie.

- Przez dobrych kilka lat nie mogłem się odkuć. Dopiero teraz, kiedy prowadzę hodowlę ekologiczną, farma zaczyna wykazywać dochód. Mam nadzieję, że trzoda pozwoli mi utrzymać się na plusie.

- Gdzie pan trzyma świnie? - zapytała Violet. Do tej pory widziała tylko bydło i konie. Duke utrzymywał niewielkie stado Appaloosa.

- Na tyle daleko, żeby nie było czuć - odparł z uśmiechem. - Około mili stąd w dół drogi. To chów w pełni ekologiczny. Mają pastwiska ze strumieniem i doskonale zrównoważoną, naturalną, zdrową dietę. Bez pestycydów, hormonów i antybiotyków.

Naciągnął kapelusz na oczy.

- Muszę wracać do pracy - powiedział. - Ty idź o piątej do domu i nie przejmuj się telefonami. Wiem, że opiekujesz się mamą. Nie potrzebujesz zostawać dłużej. Jeżeli znajdziesz chwilę, zadzwoń do Calhouna Ballengera i powiedz, że wesprę finansowo jego kampanię.

- Z przyjemnością! - ucieszyła się Violet. - Też na niego zagłosuję.

- Słusznie. - Cicho zamknął za sobą drzwi.

Violet skończyła pracę zgodnie z planem. Po drodze do domu miała wstąpić na pocztę.

Traf chciał, że spotkała tam Kempa. Na jej widok przystanął, a z bladoniebieskich, zmrużonych oczu wyczytała wyraźne oskarżenie. W pełni zdawała sobie sprawę, że na jej wargach od dawna nie ma już nawet śladu szminki, włosy są komicznie potargane, a w rajstopach poleciało oczko. Na domiar złego miała na sobie białe, zbyt obcisłe dżinsy i czerwoną, za dużą bluzę, w którym to stroju wyglądała po błazeńsku. Zgrzytnęła zębami.

- Dzień dobry panu - pozdrowiła go grzecznie i spróbowała ominąć.

Zagroził jej drogę.

- Co ci zrobił ten Wright? - zapytał. - Wyglądasz na wykończoną.

Dostrzegła w jego spojrzeniu nieudawaną troskę i zmarszczyła brwi.

- Mam dużo pracy - odparła wymijająco. Skinął ze zrozumieniem.

- Przypuszczam, że to dość nerwowy biznes.

- Trzeba zgromadzić komplet informacji o każdym nowo narodzonym cielaku.

- Otworzył sklep z ekologicznymi wędlinami tu, w mieście - zauważył. - Jest szynka, kiełbasa, boczek.

- Wiem. Prowadzi też sprzedaż przez internet. - Zawahała się. Serce waliło jej mocno, a kolana osłabły. Bardzo za nim tęskniła. - Jak się miewają Libby i Mabel?

- Brakuje im ciebie. - Zabrzmiało to jak wyrzut.

Przestąpiła z nogi na nogę. Skoro tak, to dlaczego okazywał jej tak jawną dezaprobatę? Na ulicy było coraz więcej ludzi.

- Bardzo panu dziękuję za referencje. Wzruszył ramionami.

- Nie sądziłem, że Wright cię zatrudni - przyznał szczerze. - Wszyscy wiedzą, że odkąd się rozwiódł, nie znosi kobiet na ranczo.

- A Delene Crane? Pracuje u niego.

- Znają się od niepamiętnych czasów. Studiowali razem. Nie widzi w niej kobiety, tylko biologa.

Ciekawe, pomyślała Violet. Delene była całkiem ładna. Miała rude włosy i zielone oczy, a na mlecznokremowej buzi garść uroczych piegów. Potrafiła jednym spojrzeniem zmrozić próbujących flirtować kowbojów. Może rzeczywiście Duke traktował ją raczej jak partnerkę w interesach?

- Jak się czuje mama? - zapytał Kemp nagle. Violet się skrzywiła.

- Rwie się do pracy, chociaż powinna więcej odpoczywać.

Skinął głową.

- Wiem, że jest pod dobrą opieką. To wspaniała osoba. Uśmiechnęła się szeroko.

- Tak. To prawda. Zerknął na niebo.

- Chmurzy się. Załatw szybko swoje sprawy, bo inaczej zmokniesz.

- Chyba tak.

Popatrzyła na niego z bólem w oczach. Kochała go. Było jej jeszcze trudniej teraz, kiedy o tym wiedział i współczuł jej. Zarumieniła się lekko.

- Tak. Pójdę już.

Niespodziewanie wyciągnął rękę i poprawił długie pasmo ciemnych włosów, które wysnuło się z warkocza. Wsunął je za ucho, patrząc na nią ze skupieniem. Prawie słyszał bicie jej serca i nagle poczuł się winny. Mógł ją potraktować lepiej. I tak było jej ciężko. Nie chciał jej zachęcać ani dawać fałszywej nadziei. Ale wyglądała tak mizernie.

- Uważaj na siebie - powiedział miękko. Przełknęła z trudem.

- Dziękuję. Pan też.

Odsunął się, żeby zrobić jej przejście. Kiedy mijala go wolno, poczuł delikatny zapach róż, którego tak bardzo brakowało mu ostatnio w biurze. W ciągu minionego roku przyzwyczał się do obecności Violet. Budziła w nim ciepłe, nieznane mu do tej pory uczucia. Jej obecność przywoływała wspomnienia ognia na kominku i ciepłego światła lamp rozpraszających ciemności. Jej nieobecność boleśnie uświadomiła mu własną samotność.

Violet podeszła do okienka, nieświadoma jego przeciągłego, przepełnionego bólem spojrzenia. Zanim skończyła, on już wyszedł i wsiadł do mercedesa.

Obserwowała, jak odjeżdża. Zaczęło padać, ale nie przejmowała się tym. Nieoczekiwane spotkanie poprawiło jej humor.

W całym mieście plotkowano o zniknięciu Janet Collins, macochy Libby i Curta.

W ostatnich dniach mama Violet była lekko osłabiona. Violet zaczęła znów chodzić na gimnastykę po pracy, pół godziny, trzy razy w tygodniu. Kupiła telefon komórkowy i miała go cały czas przy sobie, żeby mama mogła się z nią skontaktować w każdej chwili.

Podcięła włosy i zasięgnęła w miejscowym butiku porady co do fasonów pasujących do jej pełniejszej figury. Doradzono jej nisko cięte bluzki, optycznie zmniejszające duży biust, a także dłuższe marynarki, maskujące szerokie biodra, i proste w kroju spódnice, sprawiające, że wydawała się wyższa. Wypróbowała nowe uczesania, aż znalazła takie, które wyszczuplało jej okrągłą twarz. Dobrała też delikatny, naturalny makijaż. Violet zmieniła się, dorosła, dojrzała i wyszczuplała. Celem nadrzędnym wszystkich tych starań było, choć Violet za żadne skarby nie przyznałaby się do tego, osaczenie Blake'a Kempa. Chciała, żeby za nią zatęsknił i jej zapragnął. Było to marzenie ściętej głowy, ale nie potrafiła się od niego uwolnić.

Tymczasem Blake Kemp spędzał zdecydowanie zbyt wiele czasu w domu, przemyślując, jak by tu ściągnąć Violet z powrotem. Wyciągnął się na skórzanej kanapie w kolorze burgunda w towarzystwie dwóch kotek syjamskich, Mee i Yow. Były dla niego jak rodzina. Razem spędzali wieczory przed telewizorem, a kiedy pracował przy komputerze, baraszkowały na wielkim dębowym biurku. Nocą wślizgiwały się pod kołdrę, układały po obu jego stronach i usypiały go mruczanką.

Mee i Yow były rasowe. Blake zlitował się nad nimi i przyniósł je do domu z bankrutującego sklepu ze zwierzakami, gdzie przez kilka tygodni siedziały w klatkach. Po czterech latach razem wciąż jeszcze potrafiły go zadziwić.

Pomyślał o Violet i jej mamie. Przypomnił sobie, że starsza pani była uczulona na sierść. Violet przepadała za zwierzakami i nawet trzymała na biurku małe figurki kotów. Nigdy nie była u niego w domu, ale z pewnością polubiłaby kotki. Wyobraził sobie, jak Duke Wright pokazuje jej cielecia.

Żachnął się na myśl o innym mężczyźnie w życiu Violet. Wright był na niego wściekły z powodu rozwodu i walki o dziecko. Winił za to Kempa, który przecież tylko wykonywał swoją pracę. Jeżeli kariera pani Wright w Nowym Jorku rozwijała się rzeczywiście tak pomyślnie, nie było nadziei, by kobieta kiedykolwiek wróciła do domu. Kochała synka

tak samo jak Duke i chciała mu oszczędzić przepychanek między rodzicami. Kemp był innego zdania. Uważał, że skoro chłopiec ma oboje rodziców, powinien mieć kontakt z obojgiem.

Potrząsnął głową. Bardzo szkoda, że ludzie decydują się na dzieci, zanim przemyślą konsekwencje tego kroku. Dziecko nie naprawi nieudanego związku. Kemp powtarzał to przy okazji każdej sprawy rozwodowej. W razie konfliktu to właśnie dzieci cierpią najbardziej.

Rebeka Wright nie potwierdzała, a Kemp nie drażył, ale plotka głosiła, że Duke schował jej tabletki antykoncepcyjne, w nadziei że dziecko wyleczy żonę z ambicji zawodowych. Nie udało się zupełnie. Wright był typem mężczyzny bardzo zaborczego, który oczekiwał od żony dokładnego wypełniania własnych żądań. Takim samym typem dominującego autokraty był jej ojciec. Zdesperowana żona uciekła od niego na piechotę, w lodowatym deszczu. Ciężkie zapalenie płuc i śmierć oszczędziły jej dalszej szarpaniny. Duke miał podobne podejście do małżeństwa i uważał, że to zupełnie normalne. Zrozumienie, że małżeństwo jest sztuką kompromisu, było jeszcze przed nim.

Blake rozejrzał się po swoim mieszkaniu, gdzie skórce barwy burgunda towarzyszyło drewno dębowe i wiśniowe. Dywan i zasłony miały barwy ziemi. Po wrzawie panującej w biurze z przyjemnością oddychał spokojną i przyjazną atmosferą.

Mee przeciągnęła się i wbiła pazurki w jego ramię. Drgnął i usunął rękę. Pod dotykiem jego dłoni kotka przyłgnęła do niego i zaczęła mruczeć.

Blake roześmiał się cicho. Zdecydowanie nie potrzebował żony. Doskonale gotował, prał i sprzątał. Przyszywał guziki i ścielił łóżka. Podobnie jak większość byłych oficerów służb specjalnych, był niezależny i całkowicie samowystarczalny. Kampanię w Iraku zakończył w randze kapitana. Poszedł na studia prawnicze i zaczął praktykę w Jacobsville. Zaledwie kilka osób wiedziało, że służył w jednej dywizji z Cageem Hartem. Rzadko o tym rozmawiali, ale dzięki wspólnej przeszłości istniała między nimi szczególna więź.

Sięgnął po pilota i zmienił program. Obejrzał prognozę pogody, a potem włączył kanał „Historia”, przy którym spędzał większość wolnych wieczorów. Może gdyby spotkał kobietę, zainteresowaną historią wojskowości...

Wspomnienie tej, którą utracił, wciąż go bolało. Podkreślił głos, oparł się wygodnie i zagłębił w zawłościach zwycięskiej kampanii Aleksandra Wielkiego przeciwko Dariuszowi, królowi Persji, w 331 roku przed naszą erą.

W piątek Violet wróciła do domu dość późno. Była na gimnastyce, a potem wstała jeszcze po mleko. Kiedy zajechała przed skromny, wynajęty domek, zastała mamę siedzącą nieruchomo na schodkach werandy.

Podbiegła do niej, ogarnięta paniką.

- Mamo!

Starsza pani drgnęła, w pierwszej chwili przerażona. Ale zaraz roześmiała się głośno.

- Wszystko w porządku, kochanie - zapewniła.

Błada i roztrzęsiona, Violet uklękła obok mamy i się rozplakała.

- Córeńko... - Pani Hardy odwróciła się i przygarnęła Violet mocno, szepcząc czułe słowa. - Przepraszam, bardzo cię przepraszam. Chciałam wyrwać trochę chwastów i wysadzić te sadzonki, które wyhodowałam w skrzynce. Zmęczyłam się, ale już wszystko w porządku.

Violet nie mogła się uspokoić. Mama była jej całym światem i nie wyobrażała sobie życia bez niej.

Pani Hardy przytuliła ją mocno.

- Violet - powiedziała ze smutkiem - któregoś dnia będziesz musiała pogodzić się z moim odejściem. Wiesz o tym.

- Nie jestem jeszcze gotowa - głos Violet się załamał. Pani Hardy westchnęła i pocałowała ciemną głowę córki.

- Wiem, kochanie. Ja też nie.

Później, kiedy jadły zupę i świeży kukurydziany chleb, pani Hardy z troską przyjrzała się córce.

- Violet, czy na pewno jesteś zadowolona z pracy u Duke'a Wrighta? - zapytała.

- Tak, oczywiście - padła beznamiętna odpowiedź.

- Myślę, że pan Kemp chętnie przyjąłby cię z powrotem. Violet zastygła z łyżką w połowie drogi do ust.

- Czemu tak uważasz, mamo?

- Mabel wpadła tu w przerwie na lunch. Wspomniała, że pan Kemp jest tak humorzasty, że z trudem z nim wytrzymują. Uważają, że tęskni za tobą.

Violet zabiło serce.

- Nie wydawało mi się, kiedy spotkałam go na poczcie w zeszłym tygodniu. Zachowywał się jakoś tak...

Starsza pani uśmiechnęła się nad łyżką zupy.

- Często mężczyźni nie wiedzą, że czegoś chcą, dopóki tego nie stracą. No, a wracając do poprzedniego pytania, to lubisz tę nową pracę?

Violet skinęła twierdząco.

- To ciekawe wyzwanie. No i nie muszę przebywać z przygnębionymi, znerwicowanymi ludźmi. Dopóki nie zmieniłam pracy, nie wiedziałam, jak depresyjna jest praca w kancelarii prawnej. Człowiek bez przerwy styka się z nieszczęściami.

- Krowy to co innego.

- Zdecydowanie. I muszę się dużo nauczyć. Wyniki zależą od bardzo wielu czynników. A zawsze myślałam, że po prostu zostawia się zwierzęta na wspólnym pastwisku i pozwala naturze działać.

- A nie jest tak? - zaciekała się matka. Violet się uśmiechnęła.

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

- Tak, bardzo. - Następne pół godziny upłynęło Violet na wyjaśnianiu zawłości genetyczno - hodowlanych.

- Mój Boże! - pani Hardy była pod wrażeniem. - To rzeczywiście trudne!

- Wcale nie - wyjaśnienia przerwał Violet dźwięk telefonu. Zmarszczyła brwi. - Pewno jakiś telemarketing. Dobrze byłoby mieć telefon z identyfikacją numeru dzwoniącego.

- Pewnego dnia frontowym wejściem wkroczy tu miliarder ze szklanym pantofelkiem i pierścieniem zaręczynowym - pani Hardy uśmiechnęła się figlarnie.

Violet roześmiała się, wstała i podniosła słuchawkę.

- Rezydencja rodziny Hardy - odezwała się lekkim, przyjaznym tonem.

- Violet?

To był Kemp! Violet zabrakło tchu.

- Tak, proszę pana - wymamrotała.

- Muszę porozmawiać z tobą i twoją mamą. Mógłbym podjechać?

Violet pogubiła się w natłoku myśli. W domu panował okropny bałagan. Ona sama, w dżinsach i starym podkoszulku, z brudnymi włosami, wyglądała fatalnie. Salon pilnie potrzebował odkurzenia.

- Kto to, kochanie? - zawołała pani Hardy.

- Pan Kemp, mamó. Chce z nami porozmawiać.

- Mamy jeszcze ciasto. Zaproś go koniecznie. Violet zacisnęła szczęki.

- Dobrze - odpowiedziała Kempowi.

- Będę za kwadrans. - Rozłączył się, zanim Violet zdążyła spytać, o co chodzi.

Violet odwróciła się do mamy.

- Myślisz, że może mu chodzić o mój ewentualny powrót?

- Kto wie? Umyj włosy, kochanie. Akurat zdążysz.

- A co z odkurzeniem salonu?

- To może poczekać. Zajmij się sobą.

Violet popędziła do łazienki. Kiedy Kemp zadzwonił do drzwi, miała na sobie luźną, niebieską bluzkę z dzianiny i czyste, białe dżinsy. Umyte włosy rozpuściła na ramionach, bo nie zdążyła zapleść warkocza.

Otworzyła drzwi.

Kemp zlustrował ją chłodnym, bladoniebieskim spojrzeniem, ale nie zrobił żadnej uwagi. Był nachmurzony.

- Muszę wam o czymś powiedzieć, ale nie chciałbym zdenerwować mamy.

Violet poczuła dreszcz nadziei.

- Co to takiego? Gwałtownie zaczerpnął tchu.

- Violet, chcę się domagać ekshumacji twojego ojca. Uważam, że zamordowała go Janet Collins.

ROZDZIAŁ TRZECI

Violet zamarła. Słyszała o podejrzeniach wobec Janet Collins. Curt wspomniał o planowanej ekshumacji zwłok ojca jego i Libby. Podejrzewano, że zamordowała go ich macocha, która wcześniej otruła już przynajmniej jednego starszego mężczyznę. Zbyt wiele mrocznych kwestii miało nagle ujrzeć światło dzienne.

W tej chwili Violet zdołała tylko wyszeptać: „O Boże”.

Kemp zamknął za sobą drzwi i popatrzył Violet w oczy.

- Nie domagałbym się tego - powiedział miękko - ale najprawdopodobniej twój ojciec został zamordowany. Nie chcemy, żeby zbrodniarce uszło to na sucho, prawda?

- Prawda - zgodziła się. - Ale jak to powiedzieć mamie? Zaczerpnął tchu.

- Potrzebuję zgody was obu. Wymienili zatroskane spojrzenia.

Kemp nagle spojrział na nią uważnie. Owalną twarz okalały ciemne loki. Czysta skóra jaśniała. Była bez makijażu, z wyjątkiem delikatnej, różowej szminki. Patrzył na nią z prawdziwą przyjemnością. Miała piękne piersi i smukłą talię. Była świetnie ubrana. Dżinsy podkreślały apetycznie zaokrąglone biodra.

- Świetnie wyglądasz. Gdybym nie był zatwardziałym kawalerem... - głęboko zajrzał jej w oczy.

Serce zabiło jej szybko, a kolana zmiękły. A więc zauważył zmianę.

- Niestety, jestem nim - dodał, jakby chcąc o tym przekonać nie tylko ją, ale i samego siebie. - Ale nie pora na to. Mogę wejść?

- Oczywiście - zaprosiła go do środka, do głębi poruszona tym, co właśnie usłyszała.

- Miałem przyjść po ciebie do biura, ale zrobiło się za późno. Chciałem cię do tego jakoś przygotować. Jak się czuje mama?

Violet przygryzła wargę.

- Niestety, nie najlepiej - odpowiedziała zmartwiona. - Przecenia swoje siły. Ta afera z tatą bardzo podkopała jej zdrowie.

- Może wezwać lekarza?

- Nie. Powiedzmy jej po prostu.

- No to chodźmy.

Weszli razem do pokoju. Mama powitała ich uśmiechem.

- Pan Kemp! Miło mi pana widzieć. Uśmiechnął się i podał jej rękę.

- Mnie również. Niestety, obawiam się, że mam dość przygnębiające wiadomości.

Odłożyła robótkę i usiadła prosto.

- Jestem silniejsza, niż się wam wydaje. Po prostu mi powiedzcie. - Pani Hardy wyglądała teraz dużo młodziej. - No, słucham.

Uśmiech pana Kempa przygasł. Violet siadła obok mamy.

- Widzę, że to coś paskudnego. Chodzi o Janet Collins, prawda?

Violet gwałtownie wciągnęła powietrze. Kemp uniósł brwi.

- Słyszałam coś o kłopotach Libby i Curta. I o związku Janet ze śmiercią pensjonariusza domu opieki. Podobno zabrała mu wszystkie pieniądze. A potem ukradła ćwierć miliona dolarów Arturowi. Niestety, nie udowodniono, że to ona.

- Ktoś widział Janet Collins z Arturem w motelu ostatniego dnia jego życia, a niedługo potem karetka zabrała go do szpitala. Lekarz nie miał o niczym pojęcia, więc, na podstawie objawów, zdiagnozował zawał. Sekcji nie było.

- Właśnie - powiedziała pani Hardy. - I uważa pan, że to ona go zabiła?

Blake był pełen uznania dla jej przenikliwości.

- Tak - odpowiedział szczerze.

- Szczerze mówiąc, podejrzewałam to. Artur nigdy nie miał kłopotów z sercem, a niedawno przeszedł wszystkie badania. Wyniki były doskonałe. Więc ta śmierć na zawał zaledwie w miesiąc później musiała się wydawać dziwna. Niestety, w takiej sytuacji trudno myśleć logicznie.

- Zdaje się, że to nie pierwszy starszy pan, który uległ urokowi tej kobiety.

- Mój mąż nie grzeszył wiernością - odezwała się pani Hardy, rzucając Violet przeproszające spojrzenie. - Był przystojnym, energicznym mężczyzną, a ja tylko bardzo zwyczajną kobietą. Moja rodzina była zamożna - ciągnęła pani Hardy - a Artur bardzo ambitny. Chciał mieć koniecznie własne biuro rachunkowe, więc pomogłam mu finansowo. Pracował ciężko, ale nigdy nawet nie wspomniał o zwrocie pożyczki. Myślę, że to raniło jego dumę. Te jego... przygody miały mu zapewne potwierdzić własną atrakcyjność. Przykro mi, Violet. - Poklepała córkę po ramieniu. - Pamiętaj jednak, że tata cię kochał i próbował być dobrym ojcem, chociaż był nie najlepszym mężem.

Violet zacisnęła zęby. Mogła sobie tylko wyobrażać, jak czułaby się na miejscu swojej matki.

- Na początku - mówiła dalej pani Hardy - nie potrafiłam go zostawić. Violet potrzebowała obojga rodziców i spokojnego dzieciństwa. Nie miałam czasu dbać o siebie. W końcu Artur został ze mną i za nic go dziś nie winię.

Było widać, że nie mówi całej prawdy. Violet przytuliła ją mocno.

- Ja go winię - wymamrotała.

- I ja także - odezwał się Kemp z mocą. - Przyzwoity człowiek najpierw rozwiódłby się, a dopiero potem wiązał z inną kobietą.

- Purytanin - oskarżyła go żartobliwie pani Hardy.

- Nie jestem osamotniony. - Kemp wycelował palec w Violet.

Pani Hardy roześmiała się i spłotła dłonie na kolanach.

- Czyli wiemy, że Artur miał romans z Janet Collins, która, być może, ponosi odpowiedzialność za jego śmierć. Ale nie możemy tego dowiedzieć bez ekshumacji i autopsji. To chciał nam pan przekazać, prawda?

- Jest pani zdumiewającą kobietą, pani Hardy - odpowiedział Kemp z niekłamanym podziwem w bladoniebieskich oczach.

- Jestem spostrzegawcza. Proszę zapytać Violet. - Jej uśmiech przygasł. - Kiedy chce pan to zrobić?

- Najszybciej jak się da. Skoro pani się zgadza, natychmiast przygotuję dokumenty do podpisu.

- Proszę się nie martwić. Poradzimy sobie z tym.

- Na pewno - dodała Violet. - Cokolwiek zrobił tata, nie miała prawa pozbawiać go życia.

- Doskonale. - Kemp wstał z kanapy i wymienił z panią Hardy pożegnalny uścisk dłoni. - Będziemy w kontakcie. Bardzo dzielnie to pani przyjęła.

- Czyżby udało mi się pana zaskoczyć? - Starsza pani zachichotała.

- Tylko przyjemnie - odparł z uśmiechem. - Do zobaczenia. - Spojrzał na Violet. - Odprowadzisz mnie?

Wstała i poszła za nim do holu z oczami rozszerzonymi zdumieniem.

Zatrzymał się z dłonią na klamce i patrzył na nią przez dłuższą chwilę.

- Wkrótce zawiadomię cię o wszystkim. Jak oceniasz stan mamy?

- Dobrze - odpowiedziała pewnie. Obrzuciła go głodnym, powłóczyстым spojrzeniem. - Jak tam w pracy?

Skrzywił się wyraźnie.

- Sam parzę kawę - wyznał. - Mabel i Libby robią za słabą. A Mabel wrywa sobie włosy na każdą wzmiankę o nadgodzinach. Potrzebuję nowej sekretarki.

Violet miała spuszczonego wzrok i nie mogła zauważyć pełnego nadziei, wyczekującego wyrazu jego twarzy. Uznała, że ma do niej żal za pozostawienie go w trudnej sytuacji, ale nie ma zamiaru namawiać, by wróciła.

Skrzyżowała ramiona.

- Na pewno znajdzie pan kogoś odpowiedniego - odpowiedziała powściągliwie.

Oficjalny ton i brak zainteresowania zirytowały go. Szarpnął za klamkę.

- Odezwę się - rzucił i wyszedł szybko.

Violet zamknęła drzwi, zabraniając sobie stanowczo wyglądania za nim. Przez moment miała nadzieję, że zaproponuje jej powrót do pracy. Widocznie jednak miało być inaczej.

Kemp wsiadł do samochodu zirytowany i rozżalony. Violet nie zareagowała, kiedy praktycznie złożył jej ofertę powrotu do pracy. Duke Wright był przystojny i lubił ładne dziewczęta. W dodatku był rozwiedziony, a Violet atrakcyjna. Miał nadzieję, że Duke nie zamierza zawrócić jej w głowie. Postanowił tego dopilnować. Dla dobra Violet, oczywiście. Bo przecież sam nie był nią zainteresowany.

Powrócił myślami do kobiety, którą kochał przed ośmiu laty. Shannon Culbertson miała osiemnaście lat, kiedy zaczęli się spotykać. Dla obojga była to miłość od pierwszego wejrzenia. Kemp, młodszy partner w miejscowej firmie prawniczej, pracował z wujem Shannon. Poznali się w jego biurze i polubili. Wkrótce postanowili, że się pobiorą. Kilka dni później zaproszono ich na party do domu Julie Merrill. Blake nie miał czasu i Shannon pojechała sama. Obie dziewczyny nie przepadały za sobą, ale Shannon wierzyła, że Julie chce zakończyć nieporozumienia między nimi. Ktoś, najprawdopodobniej Julie, dosypał do drinka Shannon środka, który, w korelacji z nierozpoznaną chorobą serca, doprowadził do śmierci Shannon.

Wspomnienie całej tej sytuacji wciąż było bardzo bolesne. Blake rozpaczał przez kilka miesięcy, oskarżał Julie i próbował doprowadzić do jej aresztowania. Ponieważ jednak była córką bogatego senatora, sprawa nigdy nie trafiła na wokandę.

Do chwili obecnej żywił urazę do Merrillów i tęsknił za Shannon. Odkąd jednak zaczęła u niego pracować Violet, rzadziej wspominał dawną tragedię. Rankami nie mógł się doczekać widoku uśmiechniętej twarzy Violet. Uciekał od swoich uczuć, bo bał się zaangażować po raz drugi. Jego życie znaczyły kolejne tragedie. Młodsza siostra, Dolores, utopiła się, kiedy był na ostatnim roku studiów. Wkrótce potem matka zmarła na raka. Byli tylko we dwójkę, bo ojciec zaczął pracować na Bliskim Wschodzie, kiedy Blake był jeszcze dzieckiem, zakochał we Francuzce i rozwiódł z matką.

Te trudne przeżycia wykształciły w nim przekonanie, że miłość jest niebezpiecznie bolesna. Zauroczenie Violet z pewnością szybko minie, pomyślał. Jest taka młoda i podatna na wpływy. Znajdzie kogoś innego. Może Duke'a Wrighta...

Zgrzytnął zębami. Wyobrażenie Violet w ramionach innego mężczyzny wcale mu się nie podobało. Ani trochę.

Na odgłos zbliżających się kroków, Violet podniosła głowę znad klawiatury i zobaczyła Curta Collinsa, brata Libby.

- Curt właśnie do nas dołączył, Violet - usłyszała głos Duke'a. - Ukradłem go Jordanowi Powellowi. Będzie pomagał przy kójowaniu bydła. Udzielaj mu wszystkich potrzebnych informacji bez pytania mnie - dodał z uśmiechem.

- Dobrze.

Duke skinął na chłopaka.

- Chodź, wyjaśnię ci resztę spraw.

- Do zobaczenia później, Violet - rzucił Curt. Pozdrowił go z uśmiechem i patrzyła, jak wychodzą.

Nagle zmarszczyła czoło. Libby szalała na punkcie Jordana Powella, a Curt pracował dla niego od lat. Co tu się działo?

Curt zajął do niej, kiedy zbierała swoje rzeczy.

- Pewno główkujesz, skąd się tu wziąłem.

- Rzeczywiście, trochę mnie to zdziwiło.

- Rozmawiałaś ostatnio z Kempem?

Serce jej drgnęło na sam dźwięk jego nazwiska.

- Tydzień temu, mniej więcej.

- Coś się wydarzyło pomiędzy Libby i Julie Merrill. Violet miała skonsternowaną minę.

- Nawet nie wiedziałam, że one się znają.

- Nie znają się, ale obie chcą Jordana.

- Rozumiem.

- W każdym razie Julie zaatakowała Libby, a Jordan zamiast się za nią ująć, robił jakiś nieprzyjemne dla Libby uwagi. - Wzruszył ramionami. - Nie zamierzam pracować dla faceta, który tak potraktował moją siostrę.

- Święta racja! Biedna Libby!

- Dałaby sobie radę, ale, niestety, Julie ma dość niemiłych przyjaciół. Przyszła do biura Kempa, kiedy Libby tam była.

- Jak to? Uśmiechnął się lekko.

- Nic o tym nie wiesz, prawda? Kemp i Julie się nie znoszą. Osiem lat temu Julie zaprosiła na party narzeczoną Kempa, Shannon Culbertson. Rywalizowały o pracę w sekretariacie szkolnym. Ktoś dodał coś do drinka Shannon. Zmarła, a pracę dostała Julie.

- Otruto ją? - Violet była zafascynowana możliwością wglądu w prywatne życie swojego szefa. A więc była jakaś kobieta. Zasmuciła ją ta myśl. Czy to dlatego pozował na zatwardziałego kawalera? Najpewniej żadna kobieta z krwi i kości nie mogła dorównać tej, która była wspomnieniem.

- Nie została otruta. Miała ukrytą wadę serca. W każdym razie zmarła i Kemp nigdy się z tym nie pogodził. Bardzo się starał postawić Julie w stan oskarżenia, ale jej ojciec miał ogromne pieniądze i wpływy. Sprawę uznano za tragiczny wypadek i zamknięto. Kemp powiesiłby Julie, gdyby tylko znalazł możliwość oskarżenia jej. - Pochylił się nad nią. - Między nami mówiąc, to całkiem możliwe. Senatora Merrilla zatrzymano niedawno za jazdę po alkoholu. Teraz obaj z jego siostrzeńcem, burmistrzem, próbują doprowadzić do zwolnienia odpowiedzialnych za to funkcjonariuszy i komendanta Casha Griera.

- Już to widzę!

- Właśnie. Tak samo uważa większość ludzi. Grier jest zatwardziałym wrogiem handlarzy narkotyków. A wszystko wskazuje na to, że Julie macza palce w dystrybucji białego proszku.

Violet gwizdnęła.

- O rany!

- Zachowaj to dla siebie - przypomniał. - W każdym razie, zostałem bez pracy i Duke mnie przyjął.

- Witaj na pokładzie, rozbitku.

- No właśnie, ty też się pokłóciłaś z Kempem. - Uśmiechnął się cierpko. - Wiem od Libby - dodał na widok jej zaskoczonej miny. - Ale potem słyszałem o tym od przynajmniej trzech osób. W takim małym miasteczku trudno utrzymać sekret. Jesteśmy jak wielka rodzina. Znamy każdy swój krok.

Uśmiechnęła się z przymusem.

- Chyba tak.

- Co mówi twoja mama o planowanej ekshumacji? Uśmiech Violet przygaśł.

- Udaje, że się nie przejmuje, ale wiem, że to nieprawda. Podchodzi do takich spraw raczej staroświecko.

- My czujemy się podobnie, ale też musieliśmy się zgodzić na ekshumację naszego taty. Nie pozwolimy Janet zniknąć bezkarnie.

- My też, ale to bardzo trudne. Wiesz już coś? Zaprzeczył ruchem głowy.

- Podobno to musi potrwać. Stanowe laboratorium kryminalistyczne jest obłożone pracą, więc nieprędko będą wyniki. Przez to czekanie jest jeszcze gorzej.

- Jakoś to zniesiemy. Musimy. Uśmiechnął się na tę determinację.

- Możesz się założyć.

Blake Kemp był wściekły. Zajęty pracą, zapomniał o ekshumacjach i dopiero pytanie Libby przypomniało mu o nich. Znacznie bardziej jednak zaniepokoił go fakt, że Curt Collins, brat Libby, zaprosił Violet na sobotnie spotkanie na ranchu Calhouna Ballengera.

Obawiał się, że to Duke zawróci Violet w głowie, tymczasem ona wybierała się na randkę z wolnym i sympatycznym młodym człowiekiem.

Nie rozumiał swojego oporu wobec tej sytuacji. W końcu przecież Violet nic dla niego nie znaczyła. Była tylko jego sekretarką. Do tego była. Nie miał żadnych praw do jej prywatnego życia.

A jednak interesował się nim. Nie chciał, żeby spotykała się z Curtem. Calhouna Ballengera znał od lat i mógł bez trudu uzyskać zaproszenie. Chciał się tylko upewnić, że Violet nie zrobi niczego głupiego, czyli nie wpadnie w ramiona Curta przy pierwszej nadarzającej się okazji. Powinien ją chronić. Podniósł słuchawkę i wybrał numer Calhouna. Nie chciał nawet próbować roztrząsać motywów swojego postępowania.

Spotkanie było hałaśliwe. Goście zebrali się w ogromnym salonie, a niektórych twarzy Kemp nie widział od lat.

- Ciekawe, prawda? - odezwał się komendant policji, Cash Grier, widząc, gdzie spogląda Kemp. - Ballenger z nędzarza został milionerem, i to bez żadnych nieuczciwych kombinacji.

- To prawda - odpowiedział Kemp. - Calhoun i ten jego brat Justin byli najbiedniejszymi dzieciakami w okolicy. Dorobili się całkowicie uczciwie. Dobrze się poženili i mają samych synów, ani jednej dziewczynki w całej rodzinie.

Na wzmiankę o dzieciach, Grier zamilkł. Stracił kiedyś dziecko i wciąż jeszcze się z tym nie uporał. Kemp rozumiał jego dystans.

- Przepraszam - mruknął. Grier zaczerpnął tchu.

- Nie potrafiłem zdecydować, czy chcę mieć dziecko - powiedział spokojnie, unikając spojrzenia Kempa. - Ale niech szlag trafi dowiadywanie się o tym w taki sposób.

- Czas wszystko leczy - odparł Kemp filozoficznie. - Przychodzą złe lata, a potem dobre.

Ciemne oczy Griera zabłysły.

- Należą mi się przynajmniej dwa.

Kemp uśmiechnął się smutno.

- Podobnie jak nam wszystkim.

Coś za plecami Kempa przyciągnęło uwagę Giera.

- Twoja była sekretarka chyba nie narzeka.

Kemp drgnął. Odwrócił głowę i zobaczył Violet. Wyglądała inaczej, niż zapamiętał. Miała zgrabną, krótką, czarną spódniczkę i niebieski top. Ciemne włosy rozpuściła na ramiona. Była śliczna.

Zauważyła Kempa i serce jej zabiło. Curt obserwował ich z rozbawieniem.

- Muszę z kimś pogadać - powiedział do Violet. - Zostawię cię na chwilę, dobrze?

- Jasne! - Z trudem hamowała entuzjazm. - Poradzę sobie.

Zachichotał, mrugnął do niej i umknął.

Kemp nosił rozpiętą pod szyją koszulę, sportową kurtkę i granatowe, luźne spodnie. Niewątpliwie miał klasę. Violet nie mogła oderwać od niego wzroku.

On miał podobne odczucia. Ostatnio często o niej myślał. Miał wrażenie, że przez cały czas towarzyszy mu w biurze. Od wizyty w ich domu był ciągle niespokojny.

- Dobrze ci się pracuje dla Duke'a? - zapytał sztywno. Wzruszyła ramionami.

- To tylko praca.

- Ładna fryzura - ujął pasmo jej włosów w palce. - Dobrze ci w niej. Chyba jeszcze schudłaś?

- Raczej nie - odpowiedziała, otumaniona jego bliskością. - Nauczyłam się tylko, jak się ubierać, żeby podkreślić to, co warto.

Spojrzał jej w oczy.

- O to chodzi w życiu, Violet. Uczymy się, jak wykorzystać to, czym obdarował nas los. Nie potrzebujesz już chudnąć. Wyglądasz wspaniale.

Zarumieniła się i uśmiechnęła promiennie.

Przysunął się jeszcze o krok. Patrzył na nią z prawdziwą przyjemnością.

- Lubisz pstrągi?

Pytanie ją zaskoczyło. Zawahała się.

- Pstrągi? Tak, chyba tak.

- Zapraszam cię jutro na lunch. Na pstrąga z sałatką. Zabierzesz też dla mamy.

Zaskoczenie Violet sięgnęło zenitu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Kemp był przekonany, że Violet skwapliwie skorzysta z okazji. Jej milczenie zaniepokoiło go i sprowokowało uszczypliwy komentarz..

- O co chodzi? - zadrwił. - Boisz się zostać ze mną sama? Wpatrywała się w niego.

- Ja... właściwie... ja... nie wiem... nie powiedziałam... - Odkasznęła. - Przepadam za pstrągami. Mama też.

Odwrócił głowę, ukrywając złośliwy błysk w oczach. A jednak się nie mylił. Wciąż jej na nim zależało.

- Ja też - odpowiedział. - Smażę je z masłem i ziołami z własnego ogrodu.

- Brzmi smakowicie.

Wciąż trzymał w palcach pasmo jej włosów.

- Mam dwie kotki, Mee i Yow. Na początku mogą być trochę nieufne, ale szybko cię zaakceptują.

Violet wydawało się, że unosi się w przestworzach. Była w euforii.

- Przepadam za kotami.

- Moje są rzeczywiście wyjątkowe. To syjamki. Uśmiechnęła się.

- Bardzo ich jestem ciekawa.

Puścił jej włosy i czubkami palców dotknął miękkiego policzka.

- Przyjedź na pierwszą. Pasuje? Skinęła w milczeniu.

- Transz do mnie?

- O tak! - odpowiedziała entuzjastycznie.

Kemp pomyślał o tym, co właśnie zrobił. Wiedział, że nie powinien był jej zachęcać, skoro nie miał poważnych planów. Nie chciał żadnych zobowiązań. Jeszcze nie. Ale Violet była taka śliczna i powabna. A on już za długo żył bez kobiety i czuł się bardzo samotny. Chyba nic się nie stanie, jeżeli od czasu do czasu zaprosi ją na pogawędkę. Na pewno nie.

- W takim razie, będę czekał.

Spojrzała na niego z uśmiechem w wielkich niebieskich oczach.

- Już się cieszę na to spotkanie - zapewniła gorąco.

- Ja też - odpowiedział, nie odrywając od niej wzroku. Zarumieniła się pod jego uważnym spojrzeniem.

- Kemp! Cieszę się, że cię widzę. - Wysoki, przystojny Calhoun Ballenger podszedł przywitać się z Kempem i Violet. - Słuchaj Kemp, jest tu ktoś, kogo chciałbym ci przedstawić. Violet, pozwolisz?

- Oczywiście.

- Do jutra, o pierwszej - rzucił jeszcze Kemp, zanim odszedł z Calhounem.

- Do jutra - odpowiedziała.

Curt musiał pytać aż dwukrotnie, czy jest gotowa do wyjścia. Nie rozmawiała więcej z Kempem, a wkrótce odwołano go w sprawie służbowej. Zanim wyszedł, spojrzął na Violet rozplamionym wzrokiem. W godzinę później wciąż jeszcze czuła mrowienie w całym ciele.

- Co takiego? - Odwróciła się gwałtownie i zobaczyła Curta.

Zarumieniła się zakłopotana.

- Przepraszam - zaczęła się usprawiedliwiać.

- Nic się nie stało - zachichotał - widzę, że twój eks - szef nareszcie zauważył, co stracił.

Zarumieniła się mocniej.

- To nie tak, jak myślisz.

- Jestem mężczyzną, Violet - przypomniał jej, kiedy pożegnali gospodarzy i szli do samochodu. - Potrafię rozpoznać zadurzonego faceta. U Kempa widzę wszystkie objawy.

- Tak uważasz? - spytała z nadzieją.

- Tak. Tylko go nie pospieszaj - poradził. - To typ samotnika.

- Wiem.

Curt spoważniał.

- Chciałem tylko powiedzieć, że jest dużo bardziej wrażliwy, niż facet, który się zabawia, gdzie popadnie. Dlatego bądź ostrożna.

- Będę. Dzięki za radę, Curt. Wzruszył ramionami.

- Taki już mój los. Zawsze jestem czyimś starszym bratem. Uśmiechnęła się szeroko.

- Któregoś dnia i ciebie porwie wspaniała dziewczyna. Odpowiedział uśmiechem.

- Mam nadzieję, że dopiero za kilka lat. Na razie nie jestem wcale bardziej na to gotowy, niż twój przyjaciel Kemp. On przynajmniej ma dobry zawód.

- Libby wspomniała, że chciałbyś otworzyć magazyn pasz.

Skinął głową.

- To marzenie mojego życia.

- Na pewno ci się uda. Trzymam kciuki.

- Dziękuję. Niezły tłumek był tu dzisiaj - dodał, wsiadając do starego pikapa.

- Niezły. I niemałe pieniądze. Myślę, że Calhoun może pokonać senatora Merrilla jako kandydat z ramienia demokratów.

- Wcale bym się nie zdziwił.

Violet opowiedziała mamie o zaproszeniu do Kempa i pani Hardy uśmiechnęła się szeroko.

- A nie mówiłam, że on interesuje się tobą bardziej niż szef sekretarką?

- Mamo, to tylko zaproszenie na pstrąga.

- Mógłby go zjeść sam - odpowiedziała mama rozsądnie. - A z tego, co wiem, pan Kemp nie angażuje się w politykę. A jednak przyszedł na to spotkanie.

- Przyjaźni się z panem Ballengerem.

- Moim zdaniem, dowiedział się, że idziesz z Curtem Collinsem.

Violet aż sapnęła.

- Myślisz?

- Czasami mężczyzna nie docenia czegoś, dopóki nie zainteresuje się tym inny mężczyzna. - W oczach pani Hardy zamigotały przekorne iskierki. - Zresztą, zobaczymy. Prawda, kochanie?

Violet poróżowiła i zaproponowała oglądanie telewizji.

Nie mogła spać. Przez całą noc widziała wpatzone w siebie oczy Blake'a Kempa, słyszała jego głos, czuła dotyk palców na policzku. Następnego ranka przymierzyła wszystkie ciuchy, zanim wreszcie wybrała długi, niebieski, dżersejowy bezrękawnik z białą bluzką i wyszywany dżinsowy zakieciak. Włosy zostawiła rozpuszczone.

- Ślicznie wyglądasz - powiedziała jej mama.

- Na pewno dobrze się czujesz?

- Zamierzam poleniuchować. W końcu dziś niedziela - odpowiedziała starsza pani z uśmiechem.

- No, dobrze. Ale gdybyś mnie potrzebowała...

- Zadzwoń, nic się nie martw. Jedź i baw się dobrze.

Violet ucałowała ją na pożegnanie. Zatrzymała się jeszcze na ganku i popatrzyła krytycznie na swoje dość znoszone mokasyny. Pocieszyła się jednak, że Kempa powinna raczej interesować reszta jej osoby i pomaszerowała do samochodu.

Kemp czekał na frontowym ganku swojego wiktoriańskiego drewnianego domu z wieżyczkami. Na lśniąco białym ganku stały fotele na biegunach, a na otaczających drzewach

przymocowano karmniki dla ptaków. Na kwietniku wschodziły małe roślinki, a krzewy różane wypuszczały pączki.

Violet zamknęła samochód, schowała kluczyki i weszła na schodki.

- Widzę, że lubisz ptaki! - zawołała.

Roześmiał się. Podobnie jak ona, był ubrany swobodnie, w spodnie khaki i koszulkę polo, o ton ciemniejszą niż jego oczy za metalowymi oprawkami okularów.

- Lubię ptaki, ale Mee i Yow też, więc zanim napełnię karmniki, zamykam je w domu - odpowiedział z uśmiechem.

- U nas też są karmniki. Najbardziej lubię sikorki i strzyżyki.

- A ja kardynały i sójki.

Roześmiała się radośnie. Uśmiech rozpromienił jej owalną twarz, dodając jej niespodziewanego uroku.

- Masz ogrodnika czy sam się zajmujesz ogrodem? - zapytała, urzeczona bogactwem krzewów ozdobnych wokół domu.

- Sam. Lubię się odprężyć na świeżym powietrzu.

- Praca w ogródku pomaga na stres - przyznała. - W naszym małym ogródku hoduję warzywa, a potem mrozę na zimę. - Zamilkła nagle, speszona. Violet trudno byłoby związać koniec z końcem bez warzyw z własnego ogródka. Kemp z całą pewnością nie musiał się troszczyć o pieniądze.

- Ja nie hoduję warzyw - wyznał. - Tylko kocimiętkę i zioła. Lubię gotować.

- My też.

- Świetnie. Mam nadzieję, że jesteś głodna. Uśmiechnęła się figlarnie.

- Specjalnie nie jadłam śniadania. Odpowiedział uśmiechem.

- Chodź. Wszystko gotowe.

Otworzył frontowe drzwi i zaprosił ją do środka. Korytarz był utrzymany w tonacji jasnoniebieskiej, na podłodze leżał dywan w podobnym kolorze.

- Świetny kolor. Kojarzy mi się z oceanem. Roześmiał się głośno.

- To barwa oczu Yow. Przepada za tym dywanem. Mee woli moje łóżko.

Weszli do jadalni i Violet wstrzymała oddech. Stół z wiśniowego drewna, nakryty lnianym obrusem, był zastawiony kryształami i piękną porcelaną. Kuchnia obok mogła być marzeniem każdego kucharza. Płytki na podłodze, nowoczesne wyposażenie, wygodny zlewozmywak i ogromny blat. Nad zlewem duże okno, wychodzące na pastwiska i lasy za domem.

- Praca tutaj to sama przyjemność - zauważyła.

- Rzeczywiście. Lubię przestrzeń. Ciasne kuchnie są nie do wytrzymania.

- To prawda. Mogłabym napisać o nich książkę. Za każdym razem, kiedy się odwracam, potrącam lodówkę albo Kuchenkę.

- Czego się napijesz? - Otworzył lodówkę. - Koktajl, mrożona herbata, kawa?

- Bardzo chętnie kawę, jeżeli można. Sięgnął po dwie filiżanki.

- Cukier i śmietanka na stole.

Wszystko było już gotowe. Półmiski z rybami i warzywami, świeże bułeczki, nawet ciasto.

- Wspaniałości! - Violet nie kryła entuzjazmu. Usiedli. Violet nałożyła sobie rybę i duszone ziemniaki.

Wszystko pachniało wspaniale.

- A gdzie kotki?

- Są trochę nieufne wobec nieznajomych, ale zobaczysz, że pojawią się, kiedy pokroję ciasto. Przepadają za nim.

Rozmawiali o zbliżających się wyborach i politycznych plotkach. Violet była pod wrażeniem kulinarnych umiejętności Kempa. Był naprawdę znakomitym kucharzem.

- Gdzie się nauczyłeś tak gotować?

- Byłem w siłach specjalnych i nie miałem innego wyjścia.

- W oddziale Caga Harta, prawda?

Skinął głową.

- Z Mattem Caldwellem i kilku innymi kolegami. Violet nie wiedziała, jak daleko może posunąć swoją ciekawość. Słyszała, że Kemp niechętnie wspomina czasy służby wojskowej. Na razie jednak zabrał się do krojenia ciasta i, jak spod ziemi, pojawiły się kotezki.

- Widzisz? - zapytał. Ich miauczenie przypominało kwilenie dziecka.

- Mają identyczne głosy - zauważyła.

- Tak. Syjamki są specyficzne nie tylko pod tym względem. Potrafią się tak wywinąć, żeby sobie sięgnąć tuż za głowę i bez skrpułów używają pazurów. Unikaj gwałtownych ruchów, a wszystko będzie dobrze.

- Dostaną ciasta? Znowu się roześmiał.

- Po kawałku. Nie chcę, żeby przytyły. Violet się zarumieniła.

Kemp spojrzał na nią przepaszająco.

- Nie bierz tego do siebie. Uważam, że wyglądasz jak ideał kobiety.

- Powiedziałaś... - zaczęła.

- Miałem wtedy zły dzień i odegrałem się na tobie. Jest mi bardziej przykro, niż przypuszczasz. Przeze mnie odeszłaś, a nigdy tego nie chciałem.

Przeprosiny były szczere. Violet spojrzała mu w oczy.

- Naprawdę?

Odprężył się, kiedy zobaczył na jej twarzy mieszaninę zadowolenia i fascynacji. Już od samego patrzenia na nią ciarki chodziły mu po plecach. Miał ochotę wyciągnąć z niej oddech. Ten pomysł zdumiał nawet jego samego. Stał z nożem zawieszonym nad ciastem i wpatrywał się w dziewczynę.

Pod jego badawczym spojrzeniem rumieniec rozlał się szerzej, a serce tłukło się jej w piersi jak oszalałe. Rozchyliła wargi, próbując oddychać normalnie.

- Bardzo mi się podoba twój strój - powiedział napiętym głosem. W końcu zdołał oderwać od niej wzrok i skupić się na cieście. - Masz teraz świetny styl. Doskonale ci pasuje. Luźne bluzy to nie dla twojej figury.

Ta uwaga nie sprawiła jej przykrości. Kemp patrzył na nią, jakby chciał ją pocałować. Kiedy zsunął kawałek ciasta na talerzyk i podał jej, popatrzyła mu w oczy, nie kryjąc pożądania.

Chociaż dawno nie był z kobietą, Kemp nie zapomniał, co oznacza takie spojrzenie. W pozornym zamyśleniu położył dłoń na oparciu jej krzesła i pochylił się ku niej.

Zawahał się, ale tylko przez moment. Drugą ręką delikatnie uniósł jej kuszący podbródek.

- Chcę cię pocałować tak samo mocno, jak ty tego chcesz - wyszeptał.

- Na... naprawdę? - wykrztusiła. Uśmiechnął się.

- Naprawdę.

Pocałunek wywarł na niej piorunujące wrażenie. Spotykała się z kilkoma chłopcami, ale właściwie żaden nie pociągał jej fizycznie. To było zupełnie co innego. Marzyła, żeby trwało wiecznie.

Podniósł głowę i spojrzał w jej urzeczone, pełne wyczekiwania oczy. Oddychała, jak po wyczerpującym biegu. Wprost widział, jak mocno bije jej puls. Przypuszczał, że ma przynajmniej trochę doświadczenia, być może jednak się mylił.

Dotknął kciukiem jej pełnych warg.

- Od czegoś musimy zacząć - znów ją pocałował. Violet zadrżała i oparła mu dłonie na ramionach. Był bardzo muskularny. W garniturze nie było tego widać, ale teraz wyraźnie czuła jego siłę.

Spotkali się wzrokiem. W jego oczach było napięcie, ciemność, głód.

Z wahaniem dotknęła jego policzka.

- Nie przestawaj - poprosiła miękkim, drżącym szeptem.

Zacisnął szczęki. Z bijącym mocno sercem pochylił się do niej i wyszeptał jej imię.

Tym razem pocałunek nie był delikatny ani krótki. Violet zaplotła mężczyźnie dłonie na karku i wtuliła się w niego.

Nagle krzyknęła, ale nie był to sygnał pożądania, tylko bólu. Gwałtownym ruchem sięgnęła do kostki. Yow cofała się, sycząc.

- Yow! - wykrzyknął Kemp. Pochylił się nad kostką Violet. Krwawiła.

- O mój Boże! Przepraszam!

- Musiałam nadepnąć jej na ogon. Biedactwo - wykrztusiła Violet. Całowanie się z Kempem było bardzo ekscytujące, ale równie ekscytujące było, kiedy klęczał u jej stóp.

- Całowałaś mnie - poprawił. - Są zazdrosne, kiedy okazuję uwagę komu innemu.

- To się zdarzyło już wcześniej? - zapytała żałośnie.

- Tak. No nie, nie w ten sposób. Mee ugryzła Cy Parksa któregoś dnia, kiedy piliśmy razem kawę w kuchni.

- Rozumiem - zaczęła.

Rzucił jej szelmowski uśmiezek.

- Nie całowałem się z nim.

Violet roześmiała się głośno.

Wstał, odsuwając krzesło i wziął ją na rękę.

- Teraz to moje kostki są w niebezpieczeństwie. Zaraz ci to zdezynfekuję - powiedział, niosąc ją korytarzem w kierunku sypialni.

- Jestem za ciężka - zaprotestowała.

- Wcale nie. - Popatrzył na nią. Była cudownie blisko. Miał ochotę znów ją pocałować, ale to nie był odpowiedni moment.

Posadził ją przy umywalce w przestronnej łazience i otworzył apteczkę. Sprawnie oczyścił i zabandażował ranę.

Yow zlustrowała łazienkę niebieskimi oczami, niemal zbyt dużymi jak na jej trójkątną główkę.

- Możesz zapomnieć o tuńczyku dziś wieczór - poinformował ją twardo Kemp.

Kocica położyła uszy i syknęła na Violet.

- Jutro też - dodał konsekwentnie.

Yow odwróciła się i sztywno wymaszerowała z łazienki. Mee zamiauczała pojednawczo pod drzwiami, a potem wsunęła się do środka, lustrując zebranych uważnie, ale bez złości.

- Ładna dziewczynka - Violet pozwoliła kotce obwąchać czubki swoich palców. Mee potarła je nosem i mrucząc, zaczęła się ocierać o nogi Violet.

- Dostaniesz tuńczyka - obiecał jej Blake. Pomruk się nasilił.

Violet pogłaskała kotkę, ale nie mogła oderwać wzroku od głowy mężczyzny, pochylonego nad jej stopą. Właśnie kończył zakładanie bandaża.

- Powinno być dobrze - odezwał się cicho.

- Już jest. - Uśmiechnęła się do niego. - Dziękuję.

- Naprawdę, bardzo mi przykro - powtórzył, zbierając drobiazgi z apteczki. - Yow jest strasznie rozpuszczona.

- Przepadam za kotami - Violet wciąż głaskała Mee. - Niestety, mama jest uczulona.

- Nie wiem, co bym zrobił bez moich. Chociaż czasem miałbym ochotę to sprawdzić - dodał, rzucając gniewne spojrzenie syczącej Yow, która znów pojawiła się w zasięgu wzroku.

- Mieszkasz sam - odezwała się Violet - więc to normalne, że nie tolerują obcych.

Pochylił się i delikatnie postawił ją na nogi.

- Ty nie jesteś obca. - Popatrzył jej w oczy. - Nigdy nie byłaś.

Wypełniła ją euforia. Jeszcze przed kilkoma tygodniami kłócili się zaciekle. A teraz zapanowała między nimi serdeczna zażyłość. Szokujące... ale cudowne.

- Czytam w twoich oczach jak w książce - wymruczał, pochylając się nad nią.

Z niepokojem spojrzała na swoje kostki. Kemp roześmiał się i znów wziął ją na rękę.

- Tak bezpieczniej? - zapytał.

- Zdecydowanie - objęła go za szyję.

Westchnął głęboko i pocałował ją. Delikatnie skubnął zębami jej dolną wargę, a kiedy rozchyliła usta, natychmiast przygarnął ją mocniej, aż jej pełny biust przylgnął do jego muskularnej piersi. Oddała mu pocałunek z dużo większym entuzjazmem niż biegłością, ale wydawał się nie zwracać na to uwagi. Pod twardym uciskiem jego warg zatonęła w marzeniach. To było słodsze, niż sobie kiedykolwiek wyobrażała. Przyjemność przenikała całe ciało.

Nagle Blake uniósł głowę i odwrócił się, nasłuchując.

- Yow!

Postawił Violet na ziemi i runął do jadalni. Yow ucztowała na szczątkach talerzyka z ciastem należącego do Violet.

- Yow! - ryknął.

Kotka odskoczyła gwałtownie i syknęła na Violet, a potem, dla równowagi, także na Blake'a i galopem wypadła z pokoju.

Mee zaczęła się ocierać o nogi Blake'a, zerkając na resztki ciasta na podłodze.

Blake pozbiierał skorupy i wrzucił je do kosza, kiedy Mee porwała kawałek ciasta i trzymając je w pyszczku, wpadła do kuchni.

Kemp mógł tylko rzucić mało pochlebną uwagę o kotach jako takich.

Violet chichotała, szczęśliwsza niż kiedykolwiek. Z radością obserwowała Blake'a Kempa w zaciszu domowym. To, co widziała, podobało się jej. Widać było, że przepada za kotkami, bez względu na stres wywołany zachowaniem Yow.

- Są bardzo różne, prawda? - zapytała, kiedy odebrał ciasto Mee i wrzucił je do śmieci.

- Czasem dostają bzika - wyznał jej. - Przypuszczam jednak, że potrawka z nich smakowałaby fatalnie, chociaż czasem mnie kusi, żeby ją przyrządzić.

- Nie zrobisz tego - rzuciła ze śmiechem. Wzruszył ramionami.

- Na trzeźwo chyba rzeczywiście nie - przyznał.

Uśmiechnęła się do niego radośnie, szczęśliwa, że tworzy się między nimi zupełnie nowa nić porozumienia i sympatii.

Wyglądała tak ślicznie, że Blake nie mógł od niej oderwać wzroku. Jak mógł wcześniej nie zauważyć jej świeżej urody?

Jego spojrzenie zahipnotyzowało Violet. Stali, wpatrując się w siebie nawzajem, a czas wokół nich przestał płynąć.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Violet, zażenowana, splotła dłonie na kolanach.

- Podoba mi się u ciebie - powiedziała, próbując przełamać milczenie.

Odpowiedział uśmiechem.

- Miło mi.

- Kotki też są świetne - dodała. - Bez względu na wszystko.

Zerknął w kierunku wejścia, gdzie znowu pokazała się Yow. Mee kręciła się wokół kostek Violet.

- Powinniśmy popracować nad gościnnością Yow. Chyba brak jej odpowiedniego towarzystwa. Może postarać się o psa? - Rzucił jej przebiegłe spojrzenie. - Wielkiego, kosmatego stworza o paskudnym charakterze, jak sądzisz? - dodał.

Roześmiała się, zachwycona. Zdumiewające, jak beztrąsko czuła się w jego towarzystwie, chociaż przez cały czas, kiedy u niego pracowała, onieśmiał ją okropnie. Dziś wydawał się zupełnie innym człowiekiem.

- Mamy jeszcze ciasto - zauważył. - Może lepiej zjedzmy je od razu, zanim Yow znów coś narozrabia.

- Jakie to ciasto? - zapytała, sadowiąc się przy stole.

- Ucierane. Jedyne, jakie potrafię sam zrobić. - Nałożył jej kawałek. - Kawy?

- Proszę.

Dolał kawy i usiedli do jedzenia, ale Violet zauważyła, że Blake zerka na drzwi, wypatrując Yow.

Nie pozwolił pomóc sobie przy zmywaniu i uparł się, że zrobi to później. Wyszli na werandę i usiedli w bujakach.

- Przepadam za tym - wymruczała Violet. - Też kiedyś mieliśmy bujaki. Najpiękniej było wiosną i latem. Mieliśmy duży ogród z drzewami hikorowymi i mnóstwem kwiatów, podobny do twojego.

Wsunął jej palce we włosy.

- To wszystko jest chyba bardzo trudne dla was obu.

- Radzimy sobie - odpowiedziała miękko. - Przykro mi z powodu taty. Wiadomo coś o autopsji?

- Może w przyszłym tygodniu. Zawiadomię cię, a potem razem przekażemy wszystko mamie.

- To miło z twojej strony.

Pochylił się i dotknął wargami jej czoła.

- Jestem miłym facetem - zamruczał i zaśmiał się cicho. - Nawet nie potrafię kopnąć kota, kiedy na to zasłużył.

Uśmiechnęła się i przysunęła do niego. Czuła się wspaniale, czując jego oddech na twarzy i dotyk jego palców we włosach.

Blake ze swej strony ze zdumieniem odkrywał Violet na nowo. Nie analizował swoich uczuć do niej. I nie zamierzał. Jeszcze nie. Wiedział tylko, że rozbudziła w nim coś, czego nie czuł od czasów Shannon Culbertson.

Shannon. Znów opadły go wspomnienia. Kochał ją. Oddał jej serce całkowicie i bezwarunkowo, a kiedy zmarła, jego życie w ciągu jednej nocy rozpadło się w gruzy. Pamiętał tę szaloną, ślepą pasję. Niebezpieczne uczucie. Bardzo niebezpieczne.

Violet nie mogła znać jego myśli, ale wyczuła, że się oddalił. Zauważyła, że zamyślony wpatruje się w przestrzeń. Czyżby żałował tego, co zaczęło powstawać między nimi?

Poczuł jej uważne spojrzenie. Odwrócił głowę i popatrzył w jej oczy spojrzeniem wymowniejszym niż pocałunek. Wręcz namacalnie czuła jego intensywność.

- Czy coś się stało? - odważyła się zapytać. Delikatnie dotknął palcami jej brody.

- To dzieje się zbyt szybko, Violet. Nie wiem, czy jestem na to gotowy.

- Na zjedzenie razem pstrąga? - Jej oczy rozszerzyło zdumienie.

- Nie. Na... no wiesz. - Pochylił się i pocałował ją lekko. - Lubię cię całować.

Uśmiechnęła się lekko.

- Ja też lubię cię całować.

- Dokąd nas to zaprowadzi? Zamrugła.

- Słucham?

- Nie chcę się żenić - powiedział szczerze.

Violet, zmieszana i niepewna, miała zupełny mętlik w głowie.

Blake spojrział w jej szeroko otwarte oczy. Wyglądała tak nieszczęśliwie, że zrobiło mu się przykro.

- Zapomnij o tym - wymamrotał. - Sam nie wiem, co mówię.

- Wiem o Shannon. Przykro mi z powodu tej historii. To musiało być dla ciebie straszne.

Wspomnienie zabolalo, ale nie aż tak bardzo, jak się spodziewał. Violet miała dobre serce i może łatwiej byłoby mu porozmawiać o Shannon właśnie z nią. Tęsknił za tym.

- Była śliczna - powiedział. - Młoda i radosna. Kochałem ją tak bardzo, że nie czułem się na siłach żyć bez niej.

- Ale udało ci się. Jesteś silniejszy, niż przypuszczasz.

- Masz na mnie specyficzny wpływ.

- To znaczy?

Bezradnie wzruszył ramionami i znów uciekł wzrokiem za okno.

- Od lat z nikim o niej nie rozmawiałem. Westchnęła i oparła głowę o jego ramię.

- Nie można pogrzebać wspomnień - powiedziała w zamyśleniu. - Przeszłość rzutuje na teraźniejszość.

Wpatrywała się w niego wielkimi błękitnymi oczami. Był wyjątkowo przystojny. Fascynował ją sposób, w jaki na nią patrzył, tak jakby naprawdę mu się podobała. Uśmiechnęła się nieśmiało.

- Uprzedzam, że tymi spojrzeniami ściągasz na siebie niebezpieczeństwo.

- Naprawdę? - spytała z radosną nadzieją.

Blake opuścił spojrzenie na jej pełne, zmysłowe wargi i poczuł głód. Mgliście pomyślał o konieczności zachowania ostrożności, ale zaraz o tym zapomniał i przyciągnął Violet bliżej. Obsypał jej usta delikatnymi pocałunkami, aż rozluźniona, oparła się o jego pierś. Wsunął długie palce w jej grube, jedwabiste włosy i dotknął karku, gdy tymczasem wargi niezmordowanie pieściły jej usta.

Pod jego śmiałym dotykiem zeszytniała, ale on nalegał, a kiedy wciąż się wahała, wolną dłonią ucisnął jej pierś. Westchnęła, zadrżała i rozchyliła wargi, z czego on natychmiast skwapliwie skorzystał, pogłębiając pocałunek.

Nie odrywając warg od jej ust, pochylił się i podniósł ją.

Kierował się do sypialni, ale zdołał dotrzeć jedynie do sofy w salonie, zbyt małej, by pomieścić ich oboje. W rezultacie wylądowali na dywanie, pomiędzy sofą a stolikiem do kawy. Spróbował unieść głowę, ale Violet przyciągnęła go z powrotem. Nigdy jeszcze nie doznała tak cudownych przeżyć i nie zamierzała pozwolić mu przestać.

Blake czuł się podobnie. Dawno nie miał tak chętniej, gorliwej partnerki. Nawet Shannon, chociaż go kochała, była otwarta, ale nie tak ochocza. Violet była zupełnie inna. Smakowała miodem. Kochał miękkość jej warg i gorącą reakcję jej ciała na jego najlżejszy dotyk. Kochał ciche westchnienia, sprowokowane przez jego coraz śmielsze pieszczoty.

Oboje ogarnęła taka sama pasja. Blake nie potrafił już myśleć o konsekwencjach. Lata abstynencji sprawiły, że znikła wola, a pozostała tylko paląca potrzeba.

Violet nie wyobrażała sobie tak wszechogarniających doznań. Nie mogła im nie ulec. Kochała go. On jej pragnął. Oto miała stać się prawdziwą kobietą. Nie pragnęła niczego innego, jak tylko zatracić się w jego ramionach.

Nigdy nie przyszło jej na myśl, że pierwszy raz może nie być przyjemny ani że on może nie wie, że to jej pierwszy raz. Większość kobiet w jej wieku miała inicjację za sobą.

Dla Blake'a było to najbardziej erotyczne doświadczenie w życiu i, pomimo sporego doświadczenia, zupełna nowość. Podobnie jak Violet, nie był wolny od zahamowań. Do tej pory zawsze uprawiał seks w ciemności. Po raz pierwszy robił to w dzień i różowa nagość Violet zachwyciła go bezgranicznie.

- Jeszcze nigdy nie kochałem się przy świetle dnia - wyznał jej potem. - I nigdy nie patrzyłem na kobietę.

- Ja w ogóle nigdy... - zdołała wykrztusić.

- Wiem, ale nie mogłem się powstrzymać. Pogładziła jego ciemne, falujące włosy. Nigdy jeszcze nie czuła takiej bliskości z drugim człowiekiem. W końcu wiedziała, co to znaczy być kobietą. Nawet nie śniła o tym, że to właśnie Blake będzie jej nauczycielem. Popatrzył w jej szeroko otwarte niebieskie oczy.

- Nie pomyślałem o zabezpieczeniu - wyznał.

Nie znalazła odpowiedzi. Jeszcze nie do końca wróciła do rzeczywistości.

Pocałował ją i pragnienie powróciło.

- Boli? - zapytał.

- Nie... och - jęknęła, kiedy jej dotknął. Zagryzł wargi.

- Wybacz mi. Wyczuła jego pożądanie.

- W porządku - szepnęła - możesz.

Jej szept wzruszył go do głębi. Pozwoliłaby mu, bez względu na ból.

Pocałował ją z niezwykłą czułością.

- Nie - powiedział z uśmiechem. - Nie wcześniej, aż będziesz mogła czuć przyjemność dorównującą mojej.

Teraz ona poczuła wzruszenie.

Pocałował ją jeszcze raz i wstał. Violet naciągnęła bezrękawnik na nagą pierś i spojrzała na niego zakłopotana.

- Zaparzę kawy - powiedział spokojnie, świadomy jej zażenowania - a potem porozmawiamy.

Ubrała się szybko pod czujnymi spojrzeniami kotek, które chyba nigdy wcześniej nie były świadkami takich gorszących zachowań. To jeszcze pogłębiło jej skrepowanie.

Kiedy Blake wrócił z kawą, Violet, zażenowana i zawstydzona, siedziała na sofie.

Usiadł obok i podał jej filiżankę. Zauważył, że z trudem powstrzymuje łzy. Sięgnął po chusteczkę i osuszył jej oczy z czułością wymowniejszą niż słowa.

- Wybacz mi. Od lat nie byłem z kobietą - powiedział szczerze. - Kiedy zacząłem cię całować, straciłem panowanie nad sobą.

- Nie ma sprawy - wykrztusiła, upijając łyk kawy. - Nie za mocno walczyłam o moją cnotę. - Bardzo starała się nie wyjawić przed nim swojego przygnębienia, ale łzy zwyciężyły.

Zabrał jej z rąk filiżankę, przyciągnął ją bliżej, posadził sobie na kolanach i kołysał powoli. Czuł się nasycony, rozluźniony i pełen energii, jednym słowem o niebo lepiej, niż w ciągu ostatnich lat.

- Przepraszam - wykrztusiła Violet - zachowuję się jak dziecko.

Scałował łzy wiszące na jej rzęsach.

- Pierwszy raz bywa bolesny - pocieszył ją.

- Twój też? - zapytała, zaciekawiona. Roześmiał się rozbawiony.

- Miałem wtedy siedemnaście lat. Spotykałem się ze starszą ode mnie dziewczyną. Próbowaliśmy to zrobić na tylnym siedzeniu samochodu moich rodziców w kinie dla zmotoryzowanych, jednego z kilku ostatnich w Teksasie. Było już bardzo gorąco, kiedy mój suwak się zaciął. - Roześmiał się znowu. - Nie mogłem go ruszyć, a z zasuniętym nie mogłem zdjąć spodni. Gdybym go zepsuł, musiałbym się ukrywać przed mamą. - Potrząsnął głową. - Dziewczyna była już doświadczona i naprawdę wściekła. Nazwała mnie żalonym niezdarym i powiedziała, że nie rozumie, jak dziewczyna może się ze mną umówić. Odwiozłem ją do domu i nigdy więcej do niej nie zadzwoniłem. Nie wiedziała, że to miał być mój pierwszy raz i tylko dzięki temu ocalałem resztki dumy.

- Nie mogę sobie ciebie wyobrazić jako niezdary. Pocałował ją w czubek nosa.

- Wszyscy od czegoś zaczynamy. Ale ty jesteś moją pierwszą dziewczyną.

- Naprawdę?

Odgarnął na bok jej potargane włosy.

- Obawiam się, że nie umiałem oszczędzić ci bólu.

- Nie bolało, naprawdę - szepnęła, odwracając wzrok i oblewając się rumieńcem.

Przygarnął ją mocniej i kołysał w ramionach.

- Zdążyłem już zapomnieć, jak to jest - wyszeptał w jej włosy. - I dzięki tobie znów wiem.

- Ja też to wiem dzięki tobie - odpowiedziała sennie, wtulając się w jego szeroką pierś.

Pocałował ją w głowę.

- Przykro mi, że sprawiłem ci ból. Ale to było nieuniknione.

- Wiem.

Trzymał ją w ramionach i dopiero blask automatycznie włączanych lamp uzmysłowił mu późną porę.

- O Boże! - Violet nagle przypomniała sobie o mamie i obowiązkach. - Muszę wracać. Mama się będzie martwić. - Na wspomnienie popołudnia poczuła wstyd i skrepowanie.

Blake wyczytał to z wyrazu jej twarzy i nie bardzo wiedział, jak zareagować.

- Jeżeli coś się stanie, poradzimy sobie - powiedział miękko. - Obiecuj mi, że nie będziesz się zamartwiać.

Poradzimy sobie. Czy to oznacza, że zapłaci za aborcję? Violet poczuła ucisk w żołądku. Co ona sobie właściwie wyobrażała? Uprawiała seks ze swoim byłym szefem, a to nie był mężczyzna, który zamierza się żenić. Jeżeli zajdzie w ciążę, on raczej zasugeruje rozwiązanie praktyczne. Ale ona nie mogłaby się na to zgodzić. To niemożliwe.

- Violet, czytam w twoich myślach - odezwał się nagle. - Nie próbujmy rozwiązać problemu, zanim się nie pojawi.

Przełknęła.

- Masz rację. - Wstała niepewnie. Kemp też się podniósł.

- Może za tobą pojedę. Na wszelki wypadek.

- Jaki wypadek?

- Nieczęsto prowadzisz w nocy. Na drogach jest pełno pijanych kierowców.

- Nic mi nie będzie - zapewniła go.

- I ze względu na to, co się właśnie zdarzyło. Podniosła swoje rzeczy i odwróciła się do niego.

- Co takiego?

Wsunął ręce do kieszeni spodni.

- Jesteś purytanką, Violet. Zachowałaś dziewictwo do tej pory nie bez przyczyny.

Poróżowiła z zakłopotania.

- Nie chodzę na randki... Gestem oddalił jej tłumaczenie.

- Jesteś zakochana we mnie. Wiem o tym od dawna. Inaczej nie oddałabyś się mężczyźnie bez ślubu.

Spojrzała na niego. Nienawidziła tego, że czyta w niej jak w książce.

Przysunął się bliżej i ujął ją delikatnie za ramiona.

- Będziesz pracować dla mnie, dopóki w taki czy inny sposób, sytuacja się nie wyjaśni.

- Nie powinnam była... Zamknął jej usta pocałunkiem.

- Jesteśmy tylko ludźmi. - Popatrzył jej w oczy. - Przeżyłem z tobą wyjątkowe chwile. Najpiękniejsze w moim życiu. To wspomnienie mogłoby mi wystarczyć do końca życia. Byłaś cudowna.

- Nic nie wiedziałam - zaczęła. Pochylił się i pocałował ją.

- Nie wstydz się, bo przeżyliśmy coś naprawdę pięknego. Mamy wiele wspólnego, a przypuszczam, że z czasem znajdziemy jeszcze więcej.

Violet patrzyła na niego z niedowierzaniem i fascynacją.

- Dopóki się nie pojawiłaś, nie narzekałem na samotność. Ale teraz nie potrafiłbym już wrócić do tego, co było.

Podniosła na niego rozszerzone zdumieniem oczy.

- Naprawdę?

Podniósł jej miękką dłoń do ust i pocałował.

- Za kilka dni moglibyśmy się wybrać po obrączki - zaproponował z wahaniem, a na wysokie kości policzkowe wypełził mu zdradliwy rumieniec.

- Obrączki?

Obrysował kciukiem jej palec serdeczny.

- Obrączki.

Nie potrafiła wykrztusić słowa. Jego niebieskie oczy pociemniały.

- Dzisiejszy dzień to początek, nie koniec. Rozchyliła wargi, rozpromieniona miłością. Blake nigdy jeszcze nie był z kobietą tak szaleńczo w nim zakochaną. Teraz poczuł się doceniany i rozpieszczany.

Przyciągnął ją bliżej, aż jej miękki biust oparł się o jego pierś. Nawet Shannon nie rozpalala go w ten sposób.

Uniósł ją w ramionach i pocałował gorąco. Kiedy Violet w końcu stanęła na ziemi, drżała.

Odprowadził ją do drzwi i podał torebkę.

- Jedź do domu.

- Wyrzucasz mnie - zażartowała. Zachichotał.

- Próbuję cię uratować. - Uśmiechnął się szelmowsko. - Sobie zalecam zimny prysznic.

Dotknęła jego piersi, oszołomiona i zachwycona nowymi doznaniem.

- Wiem, że już ci to mówiłam, ale kocham cię. Czubkami palców dotknął jej warg. Czuł się winny, bo na razie nie mógł jej odpowiedzieć tym samym. Uśmiechnął się ciepło.

- Jedź ostrożnie i zadzwoń jak dojedziesz.

Nie wypowiedział tego, ale była przekonana, że też żywi dla niej uczucie. Rozpromieniła się cała.

- Obiecuję. Dobranoc.

- Dobranoc, aniołku - odpowiedział miękko. Patrzył, jak odchodzi, z uczuciem pogardy dla samego siebie. Wykorzystał jej uczucie, nie zapanował nad sobą i naraził ją na ryzyko. Teraz musiał czekać na wiadomość, czy zaszła w ciążę, a jeżeli tak, ożenić się z nią, żeby ocalić jej reputację. Pomimo żywych wspomnień popołudnia, nie była to dla niego spokojna noc.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Violet wślizgnęła się do domu, unikając spotkania z mamą. Włosy i ubranie miała w nieładzie. Mama natychmiast zorientowałaby się, w czym rzecz. Pobiegła prosto do swojego pokoju, nie pokazując się nikomu.

Kiedy ogarnęła się i zeszła do kuchni, próbując nie wracać myślami do popołudnia, przypomniała sobie, że obiecała mamie pstrąga. Jęknęła w myślach. Zamiast pstrąga przygotowała talerz zupy z krakersami.

- Przepraszam za tego pstrąga - zaczęła, ale pani Hardy się uśmiechnęła.

- Nie szkodzi kochanie, zupa jest doskonała. No więc, co porabiałaś z tym seksownym mężczyzną?

Violet zarumieniła się i uśmiechnęła.

- Ten mężczyzna wspomniał coś o obrączkach. Pani Hardy gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Kochanie!

Violet się roześmiała.

- Uwierzyłybyś w to? Jeszcze tydzień temu walczyliśmy na pięści.

- Nie znał cię wtedy, a ty byłaś zbyt nieśmiała, by być przy nim sobą.

- Chyba tak - zgodziła się Violet.

Pani Hardy uśmiechnęła się tylko. Spodziewała się, że kupno obrączek oznacza bliski ślub.

- Chciałabym dożyć dnia, kiedy będziesz zameżna i bezpieczna - powiedziała w zamyśleniu.

- Będziesz żyła dużo dłużej. Nie poradziłabym sobie bez ciebie.

- Masz przed sobą całe życie, a ja moje już prawie przeżyłam.

- Nie mów tak. Masz jeszcze mnóstwo do zrobienia.

- Co na przykład?

- Wnuczki! - Violet zarumieniła się, bo przecież mogło być do tego bliżej, niż się spodziewała mama.

Starsza pani siedziała nieruchomo.

- Wnuki. Dlaczego? Nie sądziłam... - spojrzała na Violet. - A więc on chce dzieci?

- Jasne! - odpowiedziała radośnie.

- W takim razie zmienił zdanie - mruknęła pani Hardy pod nosem.

Violet poczuła ssanie w żołądku.

- Jak to?

- Wspomniał kiedyś w rozmowie, że nigdy nie będzie miał dziecka.

Violet zemdlilo.

- Naprawdę?

Pani Hardy nie zauważyła, że Violet nagle straciła humor i energię.

- Mężczyźni często tak myślą, dopóki tego dziecka nie ma. Wydawał się taki pewny swojego zdania.

- Ciekawe dlaczego - wymamrotała Violet, skrepowana.

- Nie wygadaj się tylko, że ci powiedziałam.

- Co takiego?

Pani Hardy się skrzywiła.

- Pan Kemp jest dziś bardzo prawym człowiekiem, ale kiedyś był młody i nieodpowiedzialny. Słyszałam coś o tej dziewczynie Culbertsonów od znajomej pielęgniarki. Zapytałam go o to i powiedział mi prawdę. Była w ciąży, kiedy zmarła. Nie wiedział o tym. Koroner zataił prawdę, żeby oszczędzić wstydu jej rodzicom, ale Kemp był zdruzgotany. Stracił nie tylko narzeczoną, ale i nienarodzone dziecko. Powiedział mi, że wciąż to do niego wraca w koszmarach sennych.

Violet usiadła, załamana. To było gorsze, niż mogła przypuszczać. Blake nie chciał dzieci. Sprowokowała go i kochali się bez zabezpieczenia. Był cudowny, ale nie powiedział, że ją kocha. Wspomniał też o „poradzeniu sobie” z ewentualną ciążą. Czyżby rzeczywiście, po tym, co się stało z jego narzeczoną, nie chciał więcej dzieci?

I co teraz będzie?

- Kochanie, co się stało? - zapytała pani Hardy. Violet zmusiła się do uśmiechu.

- Nic. Nie powinnam być zazdrosna o zmarłą, prawda? - dodała, sugerując fałszywie, że myślała o Shannon.

Pani Hardy się rozluźniła.

- Oczywiście, kochanie. To nie ma sensu.

Violet zmieniła temat rozmowy, ale w nocy spała niewiele. Była chora ze zmartwienia. Jak mogła być tak głupia i ślepa. Za godzinę namiętności miała zapłacić wysoką cenę. Wtedy myślała, że warto. Teraz nie była już taka pewna.

W poniedziałek Violet szła do pracy z mieszanymi uczuciami. Jednocześnie pragnęła i obawiała się spotkania z Blake'em. Duke Wright uśmiechnął się do niej. Sprawiał wrażenie,

jakby coś wiedział o jej spotkaniu z Kempem, ale nic o tym nie wspomniał. Zrobił to natomiast Curt.

- Podobno w weekend byłaś u Kempa. Gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Skąd wiesz?

- Jacobsville to małe miasteczko - odpowiedział. - Podjazd Kempa widać z drogi.

Zauważyłem twój samochód.

Skrzywiła się zaskoczona.

- Nie pomyślałam o tym.

- Nie rób z tego tragedii. Oboje jesteście dorośli i wolni. Nikt nie może mieć do was pretensji o wspólne spędzenie popołudnia. To prawda, co mówią o jego kotkach?

- O kotkach?

- Podobno są takie zazdrosne, że żaden gość Kempa nie może się do niego zbliżyć.

- Nie było tak źle - zwierzyła się z uśmiechem. - Jedna mnie trochę zadrapała. Ale to nic groźnego.

- Podobno im bardziej Kemp kogoś lubi, tym gorzej zachowują się kotki. Więc może postaraj się o zbroję.

- Syjamki bywają chimeryczne. - Zastanawiała się, ile osób mogło zauważyć jej wóz przed domem Kempa.

- Kiedy Libby miała czternaście lat, mieliśmy psa, który nienawidził jej chłopaka. Przez cały czas siedział przed nim i szczekał. Potem, któregoś dnia, chłopak przyniósł mu wołową kość i kiedy przyszedł następnym razem, pies czekał przy drzwiach i wylizał go od stóp do głów.

Violet uśmiechnęła się figlarnie.

- Ciekawe, co lubią te małe zołzy? Zachichotał i wrócił do pracy.

Violet miała nadzieję, że Blake odezwie się do niej w ciągu dnia. Kiedy nie zadzwonił, jej wiara w siebie spadła na łeb, na szyję i Violet zalały wątpliwości. Machinalnie wypełniała swoje obowiązki, odbierała telefony, pisała listy. Normalny dzień pracy, tylko pod powiekami czaiły się łzy.

Już prawie brała do ręki telefon, żeby do niego zadzwonić. Ale nie zdobyła się na to. Nie może się za nim uganiać. Na pewno potrzebował czasu, żeby poukładać sobie to, co się między nimi wydarzyło.

Pod koniec dnia czuła się fatalnie. Zastanawiała się, czy Blake czasem nie dzwonił, kiedy na krótko wyjechała do miasta, odebrać z poczty przesyłkę dla Duke'a Wrighta. Kiedy zbierała się do domu, przyniósł jej jeszcze jeden list do wysłania.

- Czy... kiedy byłam w mieście... nikt nie zostawił wiadomości? - wykrztusiła.

Kpiąco uniósł brew.

- Chodzi o twojego byłego szefa? Zarumieniła się mocno.

- No...

- To ciężki przypadek. Sporo ryzykujesz, Violet.

- Przepraszam?

- Wszyscy wiemy, że u niego byłaś - rzucił lekko. - Nowiny szybko się tu rozchodzą. Słyszeliśmy też o jego kapryśnych kotkach.

- Rzeczywiście, nie są przyjazne - potwierdziła, nie wspominając o zadrapaniach.

- Któregoś dnia Kemp zaprosił na kolację kolegę prawnika uczulonego na koty i skończyło się na pogotowiu.

Curt Collins wetknął głowę przez drzwi, bezczelnie podsłuchując.

- Oczywiście, Kemp przyprawia do domu tylko takich gości, którzy mogą spodobać się kotkom.

- Jesteście niemożliwi! - Violet parsknęła śmiechem. - Idę. Do zobaczenia jutro.

Pożegnali ją i obserwowali, jak idzie do wyjścia.

Kemp był zdeklarowanym samotnikiem. Nigdy nie zapraszał kobiet do domu. Skoro ugościł Violet, coś się musiało za tym kryć. O ich spotkaniu wiedziało już chyba całe miasto. Zastanawiała się, czy plotki dotarły do Blake'a i czy to dlatego do niej nie zadzwonił. Być może wstydził się utraty panowania nad sobą. Ona czuła się podobnie. Jej jedynym usprawiedliwieniem było uczucie do niego. Niestety, nieodwzajemnione. Pożądanie to nie to samo, co miłość.

Violet spędziła bezsenność noc, wyrzucając sobie błąd w ocenie sytuacji w domu Kempa i zamartwiając się brakiem wiadomości od niego. Nie zapomniała słów mamy o jego stosunku do dzieci i mogła tylko łudzić się nadzieją, że nic się nie stanie. Nie zachodzi się przecież w ciążę tak od razu!

Kiedy następnego dnia pojawiła się w pracy, Duke Wright parzył kawę. Uśmiechnął się do niej.

- Będę dzisiaj cały dzień poza miastem. Zajmiesz się biurem, dopóki nie wrócę?

- Dopilnuję wszystkiego - obiecała.

- Gdyby Kemp zadzwonił, możesz iść na długi lunch - dodał z uśmiechem. - Ale nie mów mu, że to powiedziałem.

- On nie jest taki zły.

- Oceniasz go z innej perspektywy - odparł spokojnie.

Zdawała sobie z tego sprawę. Wymęczony koszmarem rozvodu, Duke winił Kempa za bezsensowne żądania byłej żony.

Wzruszył ramionami.

- Przepraszam. Mam złe wspomnienia. Do zobaczenia, Violet.

- Do zobaczenia, szefie.

Patrzyła, jak wychodzi, pełna złych przeczuć. Nie mogła się pozbyć wrażenia, że coś się zdarzy.

Blake Kemp wmaszerował do swojego biura i gestem dłoni wywołał Libby Collins na korytarz. Tam pokazał jej wynik sekcji jej ojca przeprowadzonej przez stanowe laboratorium kryminalistyczne. Negatywny.

Libby wyraźnie ulżyło.

- Niestety, w przypadku ojca Violet wynik jest pozytywny - powiedział spokojnie. - Nie mów nic jej ani Curtowi, zanim dojadę na rancho Wrighta. Sam zawiadomię Violet i jej mamę. To dla nich obu ciężkie przeżycie. Jeżeli Janet Collins zostanie oskarżona o morderstwo pierwszego stopnia, zarówno Violet, jak i jej mama będą musiały zeznawać, a to oznacza koszmar niechcianych wspomnień. Nie wiem, jak pani Hardy to zniesie.

- Możemy coś dla nich zrobić? Wzruszył ramionami.

- Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to ugoda. Zobaczymy, co z tego wyjdzie. Teraz najważniejsze, żeby Violet nie dowiedziała się o tym z wiadomości o szóstej. Reporterzy już węszą dokoła tej sprawy.

- Biedna Violet - powiedziała Libby ze smutkiem. - Proszę jej powiedzieć, że może na mnie liczyć.

- Powiem. Zresztą, ona wie o tym. Na razie zostajesz na gospodarstwie.

- Tak jest, szefie.

Przez całą drogę na rancho Wrighta Kemp myślał o Violet. Jeszcze nie uporał się z tym, co między nimi zaszło i perspektywa spotkania krępowała go. Czuł, że wykorzystał tę nieśmiałą introwertyczkę o zerowym doświadczeniu z mężczyznami. Teraz musiał zrobić, co w jego mocy, dla Violet i jej matki. Niełatwo im będzie żyć ze świadomością, że pan Hardy został zamordowany.

Violet kończyła właśnie uzupełniać najnowsze dane, kiedy usłyszała kroki, kierujące się do biura.

Podniosła wzrok i jej serce wywinęło gwałtownego fikołka. Blake Kemp wyglądał niezwykle elegancko w jasnoszarym garniturze z kamizelką i każdym włoskiem na swoim miejscu. Niebieskie oczy połyskiwały spokojną życzliwością.

- Czy coś się stało? - zapytała, zaniepokojona.

- Niestety tak. Musimy pomówić z twoją mamą. Będziesz mogła wyjść wcześniej?

- Szefa nie ma. - Wstała. - Co się dzieje?

- Są wyniki sekcji twojego ojca. Został zamordowany. Morderstwo. Krew odpłynęła Violet z twarzy.

- To ta kobieta - syknęła przez zaciśnięte zęby - przeklęta, chciwa i zła, zabiła mojego tatę.

Szybkim krokiem obszedł biurko, wziął ją w objęcia i przytulił mocniej, kiedy zaczęła drżeć.

- Spokojnie - wymruczał jej do ucha. - Zapłaci za to. Przysięgam.

W pierwszej chwili Violet zareagowała wściekłością. Zaraz jednak górę wziął żal za ojcem i strach o mamę. Kochała tatę, pomimo jego niedoskonałości. A mama? Jak zareaguje na tę straszną wiadomość?

- Mama - wykrztusiła, obejmując Blake'a w talii. - To ją zabije.

- Nie. Jest silniejsza, niż się wydaje. Powiemy jej razem.

- Tak. Dziękuję ci - dodała poniewczasie. Odetchnął głęboko. Tęsknił za Violet przez ostatnie dni i kiedy wziął ją w ramiona, poczuł się, jakby wrócił do domu po długiej podróży.

W mocnych objęciach Blake'a Violet czuła się bezpieczna od strachów i trosk. Poza mamą nikt do tej pory nie obdarował jej prawdziwym uczuciem.

Pogładził ją po włosach, ciesząc się ich miękkością.

Nagle usłyszeli kroki. Do pokoju wszedł Curt, zatrzymał się jak rażony piorunem i, zakłopotany, zaczął się wycofywać.

Blake zobaczył go i puścił Violet.

- Są złe wiadomości - zwrócił się do młodego mężczyzny. - I tak wkrótce wszyscy będą o tym mówić, więc równie dobrze możesz się dowiedzieć teraz. Ojciec Violet został otruty.

- Przez moją macochę? - zapytał Curt żałośnie.

- Bardzo prawdopodobne. Curt skrzywił się.

- Violet, tak mi przykro.

Otarła spuchnięte oczy grzbietem dłoni.

- To nie twoja wina - odpowiedziała smutno. - Ty i Libby też dużo przez nią wycierpieliście. Wszyscy jesteśmy ofiarami.

- Co mogę zrobić? - zapytał Curt. Violet pokręciła głową.

- Nic. Ale dziękuję ci. Musimy powiedzieć mamie. Mam nadzieję, że jakoś to znieśie.

Violet zebrała swoje rzeczy, a Blake uśmiechnął się słabo.

- Zobaczysz, że mama zaraz zacznie obmyślać zemstę.

- Mam nadzieję.

Blake zwrócił się do Curta.

- Zabiorę Violet do domu. Wyjaśnij panu Wrightowi, co się stało, dobrze?

- Jestem gotowa - zwróciła się Violet do Blake'a.

- Idziemy. - Odsunął się, przepuszczając ją w drzwiach.

Pani Hardy powitała ich wyczekującym spojrzeniem. Blake i Violet mieli miny ponure.

Zanim zdążyli się odezwać, zrobiła to pani Hardy.

- Są wyniki sekcji, zgadłam? Ta zdzira otruła mojego męża, prawda? Powinna zostać poćwiartowana!

Blake uśmiechnął się do Violet.

- A nie mówiłem?

Kiwnęła głową. Usiadła koło mamy i przytuliła ją.

- Znajdziemy ją i zamkniemy na całe lata - obiecała. - To kwestia czasu i dowodów.

- Dowody to podstawa - podkreślił Blake. - Na szczęście, zebrano je bardzo drobiazgowo. Wystarczy, żeby wykonać profil DNA. Jeżeli Janet była w tamtym pokoju, udowodnimy to. Są świadkowie, że stamtąd wychodziła wkrótce po znalezieniu zwłok pani męża.

- Wszystko dobrze, tylko nie wiemy, gdzie ona jest.

- O, to najmniejsza - odpowiedział Blake beztrąsko. Tropi ją mój prywatny detektyw.

To tylko kwestia czasu.

- Nic o tym nie mówiłeś - zauważyła Violet. - Tylko odnalezienie Janet pozwoli Libby i Curtowi zachować ranczo. Zostawiła ich bez grosza i teraz z ledwością płacą rachunki.

- Jak to możliwe - zapytała pani Hardy - żeby pieniądze tak zupełnie przesłoniły komuś świat?

- Tak bywa - odpowiedział Blake. - Widziałem skazanych na dożywocie, którzy zabili dla dwudziestu dolarów. Złodziej z reguły nie wie, ile potencjalna ofiara ma pieniędzy. Czasem ofiara broni się i ginie, a złodziej zostaje z drobną sumką i wyrokiem dożywocia.

Pani Hardy otarła oczy. Złość ustąpiła miejsca żalowi.

- Zastanawiałam się nad raportem koronera o ataku serca. Mąż robił wszystkie badania i nic nie wskazywało na problemy kardiologiczne.

- Zdaniem biegłego trucizna spowodowała zatrzymanie akcji serca. Nie było żadnych podejrzeń, więc nie żądano sekcji. Jestem pełen uznania dla śledczych z San Antonio, którzy zebrali dowody. Kiedy złapiemy Janet, wystarczy, żeby ją powiesić.

- Dziękuję, Blake, że przyszedł pan z Violet - zwróciła się do Kempa pani Hardy. - Bardzo mi to pomogło.

- Miło mi, szkoda tylko, że sprawy przybrały taki obrót - odpowiedział.

Pani Hardy spojrzała na Kempa.

- Zostanie pan na obiedzie?

Violet się zarumieniała. Widziała, że mama stara się ich zbliżyć, ale wolałaby, żeby tego nie robiła. Nie wiedziała ani jak się zachować w stosunku do Blake'a, ani czego on od niej oczekuje.

Blake zauważył jej wahanie.

- Dziękuję - odpowiedział - ale mam jeszcze sporo pracy. Moja tymczasowa sekretarka wychodzi za mąż. Może wróciłabyś do pracy? Pomyśl o tym - dodał spokojnym tonem.

Propozycja zaskoczyła Violet.

- Dobrze - odparła - pomyślę.

- Bądźmy w kontakcie - rzucił jeszcze, pożegnał się i wyszedł.

- Widzisz, kochanie - zawołała pani Hardy. - Brakuje mu ciebie. Wrócisz, prawda?

- Muszę się przebrać i zabrać za kolację - Violet zmieniła temat, przerywając spekulacje starszej pani. - Zjadłabyś naleśniki?

- Naleśniki? Na kolację? - wykrzyknęła starsza pani.

- Czemu nie?

Pani Hardy się uśmiechnęła.

- W takim razie, zgoda. Naleśniki i kawa.

- Dla ciebie bez kofeiny - obiecała mamie, a potem poszła się przebrać.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Blake spędził pracowity weekend, próbując nie myśleć o Violet. W poniedziałek rano zadzwonił detektyw z dobrą wiadomością dla Libby i Curta. W San Antonio odnaleziono bezcenną kolekcję monet należącą do ich ojca, a także książeczki bankowe i kopię nowego testamentu. Blake miał odebrać monety i dokumenty następnego dnia. Miał mu towarzyszyć szef policji, Cash Grier, zdolny przerazić nawet największego zbira.

Przed wyjazdem Blake poprosił Libby, żeby zaniósła Violet i jej mamie pizzę i pozdrowienia, a także by mimochodem wspomniała, że w biurze bardzo brakuje Violet. Libby parsknęła śmiechem, ale się zgodziła.

Libby przyjęła z uznaniem nowy wizerunek Violet, ale zauważyła też jej niezwykle napięcie. Znały się od wielu lat i praktycznie rzecz biorąc, wiedziały o sobie wszystko.

- Pan Kemp prosił o przekazanie, że bardzo za tobą tęsknimy.

Violet się roześmiała.

- A może po prostu macie dużo pracy, bo Jessie odeszła bez uprzedzenia?

- Skąd wiesz? - oczy Libby rozszerzyły się zdumieniem. Violet zachichotała.

- Pani Landers z redakcji dziennika to plotkara, jakiej świat nie widział. Od razu mi doniosła, że biedny pan Kemp pilnie potrzebuje sekretarki.

- No cóż - Libby roześmiała się głośno - to szczerą prawdą. - Wyciągnęła pudło. - Przywiozłam wam pizzę.

- Zostań i zjedz z nami. Miałyśmy niewesoły dzień.

- Słyszałam. Bardzo mi przykro.

- Wszystkim nam jest trudno. - Violet wzruszyła ramionami. - Chodź do kuchni. Mamo - zawołała - Libby przyniosła pizzę! Zaraz do ciebie przyjdziemy.

- Witaj Libby - zawołała pani Hardy. - To miło z twojej strony!

- Wiesz, nasz tata musiał coś podejrzewać, bo sporządził nowy testament i zostawił go razem z kolekcją monet u maklera w San Antonio. Odzyskaliśmy je. Pan Kemp uważa, że zdołamy spłacić hipotekę i odzyskać inwentarz.

- Wspaniale!

- Tak. Tylko że Julie Merrill zamieniła ostatnio moje życie w piekło. Wpiła się w Jordana i nie puszcza. On uważa, że jestem zazdrosna i próbuję ich rozdzielić. Ale chodzi o coś więcej - dodała z determinacją. - Ona jest po prostu niebezpieczna.

Przełożyły pizzę na talerze.

- Myślałam, że Jordanowi zależy na mnie - powiedziała Libby żałośnie. - Ale tylko na niego kiwnęła i zaraz poleciał. A kiedy mnie obrażała, słówkiem się nie odezwał.

- Naprawdę mi przykro - odpowiedziała Violet. - Nie sądziłam, że Jordan jest taki ślepy.

- Jest piękna, cwana i bogata - mruknęła Libby.

- A ty to co? Maszkara? - zbesztła ją Violet. - Pochodzisz ze starej rodziny i urody też ci nie brakuje. Jesteś warta przynajmniej dwie Julie Merrill. Libby trochę się odprężyła.

- Dzięki, Violet - powiedziała z uśmiechem. - Naprawdę mi ciebie brakuje - dodała. - Zupełnie nie mam z kim pogadać, no bo nie mogę przecież opowiadać o Jordanie bratu.

- Pewnego dnia Julie i Janet dostaną za swoje. - Violet zawahała się, pamiętając, co mówiła wcześniej Libby. - Pan Kemp chyba nie pojedzie sam po te rzeczy? To mogłoby być niebezpieczne...

- Cash Grier z nim jedzie - przerwała jej Libby. Violet się roześmiała.

- To możemy być spokojne. Z nim nikt się nie odważy zdrzeć.

- To pewne - zgodziła się Libby. - Ale wiesz przecież, że pan Kemp jest oficerem służb specjalnych. To też nie byle co.

- Wiem. - Violet znów się uśmiechnęła. - Pamiętasz tych dwóch facetów, których wyrzucił z biura?

Roześmiały się obie.

Pizza pachniała i smakowała doskonale. Późnym wieczorem Violet odprowadziła Libby do wyjścia.

- Wrócisz do nas? - spytała Libby.

- Tak - odparła Violet. - Ale boję się powiedzieć panu Wrightowi. Był dla mnie bardzo miły.

- Duke jest w porządku. Zobaczysz. Może nie lubić pana Kempa, ale lubi ciebie i założę się, że nie będzie robił żadnych trudności.

- Mam nadzieję. - Violet skrzyżowała ramiona na piersi. Wieczór był chłodny. - Czy pan Kemp naprawdę chce, żebym wróciła?

Libby się uśmiechnęła.

- Naprawdę. Chyba pobił rekord złego humoru. Jessie odeszła, bo w żaden sposób nie była w stanie go zadowolić. Podejrzewamy, że zrobił to specjalnie.

Violet uśmiechnęła się w rozmarzeniu.

- Stęskniłam się za nim - wyznała. Libby uścisnęła przyjaciółkę.

- Wiemy, co do niego czujesz. Myślę, że masz szansę. Wróć, bo warto. Dobrze wiem, co to nieodwzajemnione uczucie.

- Zobacysz, że i tobie się poukłada z Jordanem - pocieszyła ją Violet.

Libby westchnęła.

- Chciałabym. Pójdę już. Curt jest dzisiaj z kolegami, więc nie muszę szykować kolacji.

- Masz świetnego brata.

- Prawda? - Libby się uśmiechnęła. - Nie miałabym nic przeciwko, żebyś została moją bratową, ale uczucia chadzają własnymi drogami.

- Wszystko się ułoży, zobacysz. Dzięki za pizzę i towarzystwo. Wieczorem zadzwonię do Duke'a Wrighta.

- Będziemy na ciebie czekać - obiecała Libby.

Violet zadzwoniła do Duke'a Wrighta, który rzeczywiście nie robił jej żadnych trudności. Pożegnał ją z żalem, ale przyznał, że zauważył jej fascynację Kempem. Violet podziękowała mu serdecznie. Od następnego dnia zasiądzie przy swoim dawnym biurku! Ciekawe, jaką minę zrobi na jej widok Blake?

Blake Kemp i Cash Grier wracali z San Antonio. Uratowana część majątku Collinsów z pewnością wystarczy, żeby uchronić Libby i Curta przed bankructwem, umożliwić im spłacenie zaległej pożyczki i odłożenie sporej sumy na konto. Sama kolekcja monet była warta majątek, a Kemp zdołał jeszcze odzyskać dwie lokaty bankowe i nowy testament. Pan Collins wyraźnie nie ufał swojej żonie i chciał mieć pewność, że po jego śmierci dzieci nie zostaną bez grosza.

- Co za niewiarygodna zachłanność - mruknął Kemp, który krótko opowiedział Grierowi, jak Janet weszła w posiadanie tych dóbr.

- Tak - odpowiedział Grier. - Nigdy nie mogłem tego zrozumieć. Każdy próbuje zapewnić sobie byt, no, ale przecież nie cudzym kosztem.

Następnego rana Kemp oddał zachwyconej Libby rzeczy Riddle Collinsa. Kiedy w kilka minut później wszedł do biura, zobaczył Violet siedzącą przy swoim dawnym biurku. Wyraz jego twarzy wystarczył, by uradować stęsknione serce Violet. Zarumieniła się i uśmiechnęła promiennie.

- Powiedziałeś, że mogę wrócić. Odwzajemnił uśmiech.

- Możesz. Mam nadzieję, że tym razem zostaniesz na dłużej? Skinęła.

- A zaparzysz kawy? - Normalnej?

- Pół na pół - odpowiedział, odwracając wzrok. - Nadmiar kofeiny jest niewskazany - dodał i opuścił pomieszczenie, zostawiając Violet pogrążoną w zdumieniu.

- A nie mówiłam? Stęsknił się za tobą - szepnęła Libby, mrugając szelmowsko.

W miarę upływu godzin Kemp szukał pretekstów, żeby zajrzeć do Violet. Wypił dwa dzbanki kawy, bo to było jedyne sensowne wytłumaczenie odwiedzin. Violet miała na sobie elegancką niebieską sukienkę, ładnie podkreślającą jej apetycznie zaokrągloną figurę. Efektowny dekolt, gęste, ciemne włosy i delikatny makijaż dopełniały obrazu, obok którego żaden mężczyzna nie przeszedłby obojętnie.

Libby i Mabel natychmiast zauważyły niezwykle apetyt szefa na kawę i jego wyjątkowo dobry nastrój. Nie chciały jednak wprawiać w zakłopotanie Violet, która i tak rumieniła się nieustannie, kiedy tylko szef znalazł się w pobliżu.

W sposób nieunikniony Violet została nieco dłużej po pracy, niż Libby i Mabel.

Uprzątnęła biurko i powoli zebrała swoje rzeczy. Blake wszedł do pokoju i stanął z rękami w kieszeniach, otwarcie się jej przyglądając zza swoich modnych okularów.

- Spieszysz się do domu? - zapytał. - Możesz zadzwonić do mamy, że będziesz trochę później?

- Tak... jasne - zająknęła się wyraźnie. Sposób, w jaki na nią patrzył, przyprawiał ją o dreszcz. Wybrała numer i uprzedziła mamę o spóźnieniu, próbując nie zwracać uwagi na jej wyraźne rozbawienie.

Blake wyciągnął do niej rękę. Odłożyła rzeczy i pozwoliła się poprowadzić do jego pokoju.

Zamknął drzwi i niecierpliwie pochwycił ją w objęcia. Westchnął z zachwytem, kiedy spotkały się ich wargi.

- Tęskniłem - wymruczał, nie przerywając pocałunku.

- Ja też - odszepnęła.

- Pojedźmy do mnie - zaproponował nagle. Wiedziała doskonale, że nie chodzi o zaproszenie na kolację. Chciała tego, ale...

Wyczuł jej wahanie i spojrzał pytająco w oczy. - No jak?

Nie patrzyła mu w oczy, bo bała się, że nie zdoła odmówić.

- Co ty mi proponujesz, Blake? - zapytała spokojnie. Zmarszczył gniewnie brwi.

- Myślałem, że ostatnio miło spędziliśmy czas. Spojrzała na niego w osłupieniu.

- Więc chcesz ode mnie tylko seksu?

Blake się speszył. Zazwyczaj rozumował chłodno i logicznie, ale teraz poczuł się jak nastolatek na pierwszej randce.

- Nie zamierzam się żenić - odpowiedział oschle. - Wiedziałaś o tym.

Przełknęła z trudem.

- Rzeczywiście. Już o tym wspomniałeś. Ale mnie nie odpowiada bycie twoją kochanką.

Zacisnął szczęki.

- Nie prosiłem cię o to.

- W takim razie, jak to nazwiesz? - spytała Violet smutno. - Chcesz ze mną sypiać bez zobowiązań, o to ci chodzi, prawda?

Wsunął dłonie do kieszeni i westchnął ciężko.

- Moja mama jest staroświecka - mówiła dalej Violet. - Nauczyła mnie, że seks powinien iść w parze z miłością i małżeństwem. Gdybym związała się z mężczyzną, a zwłaszcza z tobą, tylko dla przyjemności, złamałbym jej serce. - Popatrzyła na niego smutno. - Jacobsville to mała miejscowość. Wszyscy wiedzą o wszystkim.

- Nie obchodzi mnie zdanie innych - odpowiedział j szorstko, czując, że traci grunt pod nogami.

- Ale mnie obchodzi - odparła. Cofnęła się, czując bijący od niego chłód. Nie tego się spodziewała. Miała nadzieję, że ją pokocha. Wtedy, u niego, byli sobie tacy bliscy, teraz wydawał się zupełnie obcy.

Blake był jednocześnie wściekły i zakłopotany. Violet wywołała w jego życiu więcej zamieszania niż śmierć na - rzeczonyj przed wielu laty. Cenił sobie swoją wolność, ale nie chciał stracić Violet.

- Violet - zaczął. - Byłem kiedyś zaręczony z cudowną dziewczyną. Kiedy zmarła, nie chciałem dalej żyć. Nie chcę... nie mogę przechodzić przez to jeszcze raz.

- To akurat ci nie grozi. Przecież mnie nie kochasz - stwierdziła ze smutkiem. - Pożadasz mnie tylko. - Odwróciła się i ruszyła do drzwi.

Zanim zdołała je otworzyć, przytrzymał jej dłoń.

- Zaczekaj.

- Nie powinnam była wracać tu do pracy. Lepiej będzie, jeżeli zostanę u pana Wrighta, a ty znajdziesz inną sekretarkę. - Jej niebieskie oczy napęłniły się łzami. Nigdy jeszcze nie czuła się tak fatalnie. - Pozwól mi wyjść!

Zabrał rękę. Sekundę później Violet znalazła się przy drzwiach i wybiegła z biura. Kemp został sam, z obezwładniającym uczuciem pustki i chłodu. Chciała czegoś, czego on nie mógł jej dać. Dlaczego kobiety tak bardzo różnią się od mężczyzn? Dlaczego nie potrafią po prostu cieszyć się chwilą?

W domu przygotował kolację dla siebie i kotek, które wydawały się wyczuwać jego rozterki.

- Nie jestem w nastroju - ostrzegł je. Mee otarła się o jego nogi, a Yow obdarzyła oskarżającym spojrzeniem niebieskich oczu. - Świetnie - mruknął. - Dla odmiany zacząłem rozmawiać z kotami.

Zjadł skromną kolację i spróbował zainteresować się programem telewizyjnym, ale nie mógł się pozbyć obrazu Violet. Postanowił jednak, że nie ulegnie. Jeżeli Violet sądzi, że zdoła go zaciągnąć przed ołtarz, myli się bardzo.

Mimo to, nie mógł zapomnieć tamtych intymnych chwil.

A potem przypomniał sobie to, o czym bardzo chciał zapomnieć. Uprawiali seks bez zabezpieczenia. A jeżeli Violet jest w ciąży?

Ta ewentualność przeraziła go śmiertelnie. Co wtedy? Violet na pewno nie zgodzi się na aborcję. Będzie nalegała, by urodzić dziecko, co dla niego byłoby horrorem. Nie był w stanie wymazać z pamięci faktu, że Shannon, kiedy zmarła, była z nim w ciąży. Każda myśl o dziecku przypominała mu, jak się czuł, kiedy jego dziecko umarło razem z kobietą, którą kochał. Przez wiele lat miał koszmary senne. Violet nie zrozumiałaby. On chciał się uwolnić od dręczącego pożądanego, ona pragnęła szczęśliwego małżeństwa.

Jeżeli jednak Violet była w ciąży, nie mógł jej porzucić. To byłoby niegodne mężczyzny, a poza tym wpłynęłoby fatalnie na jego opinię w tak małym miasteczku, jak Jacobsville. Plotki zniszczyłyby reputację Violet, a wstyd mógłby zabić jej matkę.

Zaklął pod nosem. Gdyby tylko nie zaprosił Violet do domu, to wszystko by się nie zdarzyło. Dlaczego nie pozwolił jej wyjść? Dlaczego zapędził się w ten ślepy zaułek? Mógł za to winić tylko samego siebie. Nie miał pojęcia, jak wybrnie z tej sytuacji, ale nie zamierzał pozwolić Violet odejść z biura. Przynajmniej dopóki nie będzie wiedział, na czym stoi. Podniósł słuchawkę i wybrał jej numer.

Violet udało się ukryć zły nastrój przed mamą. Postanowiła od razu zadzwonić do Duke'a Wrighta. Na dźwięk dzwonka telefonu podskoczyła i bez zastanowienia podniosła słuchawkę.

- Słucham?

- Nie odchodź - usłyszał spokojny głos Blake'a. Serce podeszło jej do gardła.

- Słucham? - wykrztusiła.

- Przemyślmy to wszystko jeszcze raz, Violet. Nie róbmy dalekosiężnych planów, dobrze? - ton jego głosu wskazywał, że mówi poważnie.

Violet zalała falą szczęścia.

- Dobrze - odpowiedziała miękko. - Nie róbmy dalekosiężnych planów.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Przez kilka dni Violet i Blake z wahaniem krążyli wokół siebie, oboje wprost uprzedzająco grzeczni. Blake wydawał się odmieniony, nie krzyczał, nie przeklinał, nie wyrzucił nikogo z biura. Wobec Violet był niezwykle delikatny. Nie podnosił głosu i nie wygłaszał ironicznym komentarzy. I nawet nie próbował jej dotknąć. Wydawało się, że na coś czeka. Violet zastanawiała się na co.

Następnego dnia miały się odbyć prawyборы. Nominację z ramienia demokratów uzyskał Calhoun Ballenger, natomiast stanowisko senatora Merrilla zajął poprzedni burmistrz, Eddie Cane. To był wielki dzień dla Jacobsville.

W środę Violet zwymiotowała śniadanie. Blake usłyszał charakterystyczne odgłosy, dobiegające z łazienki, co jego samego omal nie przyprawiło o chorobę. Violet była zdrowa jak koń. Wyjaśnienie mogło być tylko jedno. Cięża.

Blake chodził jak ogłuszony przez resztę dnia. Violet zresztą też. Blake podsłuchiwał Libby i Mabel, szepczące o dolegliwościach Violet i umówionej wizycie u lekarza. Jak tylko pojawił się w drzwiach, zamilkły natychmiast. Nietrudno było zgadnąć winnego ciąży Violet. W końcu od ponad roku była w nim zakochana.

Poranne mdłości przyprawiły Violet o atak paniki. Zadzwoiła do doktor Lou Coltrain i umówiła się na spotkanie, nie bacząc na obecność Libby i Mabel. Obie słyszały tę rozmowę i miały swoje podejrzenia.

Violet wyszła zaraz po pracy, pozostawiając zamknięcie biura koleżankom. Zanim pielęgniarka pobrała jej krew na test ciążowy, Violet poprosiła lekarzkę o dyskrecję.

- Tylko raz - wykrztusiła, kiedy zobaczyła wynik testu.
- Często tak bywa - odparła lekarka ze współczuciem. Violet ukryła twarz w dłoniach.
- Co ja teraz zrobię?

Starsza kobieta poklepała ją uspokajająco po ramieniu.

- Jestem pewna, że kiedy Blake się dowie... Violet rzuciła jej przerażone spojrzenie.
- A co można zrobić innego? - zapytała Lou rozsądnie. - Przecież ci na nim zależy.
- On nie chce dzieci ani trwałego związku. Powiedział mi to.

Lou odprężyła się w swoim fotelu.

- Nie panikuj.
- Moja mama już miała udar! Poza tym, nie tak mnie wychowała!

- Jesteśmy tylko ludźmi - przerwała jej Lou. - Mama się ciebie nie wyrzeknie ani nie wyrzuci cię z domu.

- Wszyscy się dowiedzą. - Violet oddychała płytko. - Mogłabym się przenieść do San Antonio - zaczęła.

- To byłoby dużo gorsze - zapewniła ją Lou. W jej ciemnych oczach zamigotał gniew. - Blake powinien był pomyśleć o zabezpieczeniu. Musiał wiedzieć, że nie jesteś doświadczona.

Violet oblała się purpurą.

- Czy to widać?

- To małe miasteczko. Ludzie obserwują się nawzajem. Violet westchnęła.

- Nie wiem, co robić.

- Idź do domu i dobrze się odżywiaj. Przepiszę ci witaminy i dam skierowanie do specjalisty. To osoba dyskretna.

Violet zagryzła wargi.

- Nie tak planowałam moje życie.

- Życie to to, co się wydarza w miejsce tego, co planujemy. - Lou zmarszczyła brwi. - Nie pamiętam, czyje to słowa, ale bardzo prawdziwe. - Uśmiechnęła się do Violet pogodnie. - Będiesz wspaniałą mamą.

Mamą! Te słowa uświadomiły Violet powagę sytuacji. Dziecko. Miniaturowa kopia jej i Blake'a. Poczula się dziwnie. Dotknęła, dłońmi płaskiego brzucha. Tam, w środku, rosło nowe życie.

- Widzisz? - Roześmiała się Lou. - To wspaniałe uczucie. Kiedy byłam w ciąży, ledwo mogłam w to uwierzyć - dodała. - Byłam podekscytowana, potem przerażona, a w końcu pograżyłam się w marzeniach. To było najszczęśliwsze dziewięć miesięcy w moim życiu. Nie mogłam się doczekać następnego razu, ale chcieliśmy, żeby mały trochę podrośł. Ciężko jest opiekować się dwójką maluchów i pracować jednocześnie.

Violet uśmiechnęła się niepewnie.

- Zawsze chciałam mieć dzieci. Tylko... wołałabym mieć męża.

- Nic prostszego. Powiedz Blake'owi. Violet potrząsnęła głową.

- Nie mogę. Na pewno nie teraz. A może nigdy.

- On ma obowiązek pomóc w utrzymaniu swojego dziecka, Violet - oświadczyła twardo Lou. - Poza tym, w tym małym miasteczku nie zdołasz utrzymać tajemnicy. Wystarczy, że wykupisz tę receptę i już wszyscy będą wiedzieli, co się dzieje. To witaminy dla ciężarnych.

Violet natychmiast znalazła rozwiązanie przynajmniej tego problemu.

- Wykupię je w Victoria - powiedziała uparcie.

- Jak chcesz, strusiu. Chowaj głowę piasek, póki możesz.

- Dam sobie radę - odpowiedziała Violet twardo.

- Nie wątpię - ustąpiła jej Lou. Podała Violet receptę. - Nie dźwigaj i dużo śpij.

- Będę pamiętać - przyrzekła Violet, wyobrażając sobie bezsenne noce, wypełnione troską o zdrowie mamy i swoją przyszłość.

Lou uspokajająco poklepała ją po ramieniu.

- Dziś w to nie wierzysz, ale zapewniam cię, że za pięć, sześć miesięcy wspomnisz dzisiejszy dzień z uśmiechem.

- Dziękuję, doktor Lou.

Lou popatrzyła za nią zmartwiona. Jak też ta Violet sobie poradzi?

Jadąc do domu, Blake widział, jak Violet wychodziła od doktor Lou. Nie mógł dłużej odsuwać od siebie prawdy. Przeklinał sam siebie za to, co zrobił im obojgu. Gdyby tylko nie stracił głowy i zabezpieczył się, gdyby, gdyby. .. Jest ojcem i albo poślubi matkę swojego dziecka, albo skompromituje Violet, panią Hardy i siebie. Perspektywa rezygnacji z umiłowanej wolności była mu nienawistna. Podobnie jak perspektywa posiadania dziecka. Nie chciał zakładać rodziny.

Ale był człowiekiem odpowiedzialnym. Nie mógł dopuścić, żeby Violet popełniła jakieś głupstwo.

Jeżeli Violet zorientuje się, że on wie o wszystkim, odmówi jego propozycji małżeństwa, bo będzie myślała, że robi to z poczucia obowiązku. Musiał więc ukryć prawdziwe uczucia i udać, że ją kocha. Prawdę mówiąc, nie miał wielkiego wyboru.

Na zakończenie pracy wszedł do pokoju dziewcząt.

- Violet, co powiesz na kawę i stek z sałatką w restauracji „U Barbary”? - zapytał beztrząsco. - Zabierzesz sałatkę dla mamy.

Libby i Mabel pożegnały się i zostawiły ich samych. Violet spojrzała na szefa ze zdumieniem.

- Zapraszasz mnie na kolację? Zmusił się do uśmiechu.

- Tak. Masz ochotę?

- Będą plotki. Wzruszył ramionami.

- Więc?

Poczwała się trochę lepiej. Widocznie jednak lubił ją na tyle, by nie przejmować się plotkami. Może była jakaś nadzieja na przyszłość? Uśmiechnęła się pogodnie.

- Bardzo chętnie.
- Świetnie. W takim razie zadzwoń do mamy.
- Już się robi!

O tej porze u Barbary był zawsze tłok. Na widok Blake'a z Violet rozmowy umilkły natychmiast i wszystkie oczy zwróciły się na wchodzących. Zamówili steki i sałatkę, a także danie na wynos dla pani Hardy. Ku konsternacji Blake'a, Violet uparła się zapłacić oddzielnie.

- Niezależne kobiety - wymamrotał, zabierając się do jedzenia.
- Tak mnie wychowała mama - odpowiedziała z prostotą. - Powinniśmy polegać tylko na sobie samych, a nie uzależniać się od innych.
- Nie sądzę, żeby przyjęcie zaproszenia na stek było równoznaczne z uzależnieniem.

Violet się roześmiała.

- W każdym razie, dziękuję - odpowiedziała.

Blake skończył sałatkę i zabrał się za stek. Nie używał przypraw i zauważył, że Violet też nie.

- Jaką muzykę lubisz? - zapytał. Zawahała się.
- Country. I klasykę. I trochę hard rocka. Teraz Blake się roześmiał.
- To zupełnie tak jak ja.
- A lubisz czytać? Skinął.
- Historię starożytną i biografie. Uśmiechnęła się nieśmiało.
- A ja literaturę kobiecą, książki ogrodnicze i kucharskie.

Poszukał wzrokiem jej oczu.

- Twoja mama wspomniała, że interesuje cię astronomia.
- Owszem - potwierdziła. - Chciałabym mieć teleskop. Pochylił się ku niej.
- Mam dwunastocalowego Schmidt - Cssegraina.

To był kosztowny, złożony teleskop. Violet marzyła o czymś takim. Wciągnęła powietrze.

- Naprawdę?

Znów się roześmiał.

- Spędzam sporo czasu na obserwacjach. Za miastem nie przeszkadzają światła.
- Założę się, że widzisz kratery na księżycu - westchnęła.
- Nawet mogę do nich zajrzeć - poprawił ją. Gwizdnęła cicho.
- Chciałabym przez niego popatrzeć.
- Załatwione. Pod warunkiem, że zniesiesz towarzystwo dwóch wojowniczych kotek syjamskich.

- Lubię Mee i Yow - odpowiedziała. Blake spuścił wzrok na własny talerz.

- Dużo myślałem o naszej sytuacji - powiedział. - Kiedy odeszłaś, wszystko się popsuło. Nie potrafię odnaleźć dawnej pogody ducha.

Odłożyła widelec i siedziała, patrząc na niego. Serce biło jej jak szalone. Czyżby... ?
Podniósł wzrok.

- Naprawdę nie miałem zamiaru się zenić, ale dobrze mi z tobą. I chciałbym być z tobą nie tylko w pracy.

- Nie rozumiem - zająknęła się.

Sięgnął po jej dłoń, splótł ich palce, spojrzał w jej niebieskie oczy i poczuł się jak tonący.

- Pomyślałem, że moglibyśmy się zaręczyć - desperacko próbował znaleźć właściwe słowa, co mu zupełnie nie wyszło.

- Ty i ja? - wykrzyknęła Violet zaskoczona.

- Ty i ja - odpowiedział. - Mamy ze sobą wiele wspólnego, a z czasem będzie jeszcze więcej. - Ściszył głos. - A fizycznie pasujemy do siebie wprost idealnie.

Zarumieniła się lekko.

- Ale mówiłeś, że nie chcesz się zenić ani mieć dzieci...

- Mężczyźni mówią wiele głupstw, zanim się zdecydują na zmianę wygodnej rutyny - odpowiedział. - Jestem typem samotnika i niełatwo mi podjąć taką decyzję.

- Przecież mnie nie kochasz - wyrzuciła z siebie.

Nie mógł udawać. Wyglądałoby to na kłamstwo. Violet była spostrzegawcza. Znów splótł palce ich dłoni.

- Przyjaźń i szacunek to najlepsza droga do miłości - odpowiedział dyplomatycznie. - Nie mogę dać ci gwarancji wiecznego szczęścia. Ale obiecuję, że będę cię lubił i szanował. Reszta się ułoży. Wiem to. Daj mi szansę. Powiedz tak.

Violet się zawahała. Jego słowa nie brzmiały szczerze. Nie udawał dozgonnej miłości, ale i niewiele obiecywał. Lubić mógł ją pies albo kot. Od Blake'a oczekiwała dużo więcej. Co to za małżeństwo, jeżeli on nie odwzajemnia jej uczucia?

Podoba mu się, to na pewno, ale wiadomo, że zauroczenie fizyczne nie trwa wiecznie, zwłaszcza, jeżeli brak mu trwalszych podstaw.

- Chciałabyś obietnicy uczucia, które potrwa wiecznie - powiedział. - Ale wierz mi, jestem zmęczony samotnością. Chcę spróbować, jeżeli się zgodzisz. Jeżeli się nie uda, każde pójdzie swoją drogą. - W myślach wyprzedzał wydarzenia. Gdyby się okazało, że Violet nie

jest w ciąży, nie byłoby powodu, by tkwili w związku. Bał się jednak wypowiedzieć to głośno.

Wyręczyła go.

- Uważasz, że zawsze możemy się rozwieść, tak? Wzruszył ramionami.

- Czasem w związku się nie układa. Nie mówię, że z nami tak będzie, Violet. To tylko wyjście awaryjne. - Popatrzył na nią ciepło. - Daj spokój. Zgódź się. Kupię ci pierścionek, jaki zechcesz i zażadam od ciebie zobowiązania, że będziesz pracowała tylko dla mnie.

- A to dlaczego?

- Dla mojego spokoju ducha - odpowiedział drwiąco. - Podobno zależy ci na moim szczęściu...

Obawy Violet rozwiały się i po chwili śmiali się razem.

- To okropne!

- Tylko poczekaj! Z wiekiem robię się coraz gorszy! - obiecał jej.

- Co za przerażająca perspektywa!

- Ale obiecuję, że nie będę w ciebie rzucał słownikami - dodał.

- Jeszcze nigdy nie rzuciłeś - przypomniała mu. - A jak tam było z Jessie? - spytała po krótkim wahaniu.

- Był bardzo cienki - zapewnił ją. - Skrócona wersja w miękkiej oprawie.

Violet się roześmiała.

- Nic dziwnego, że wymówiła.

- Och, nie chodziło o słownik - rzucił lekko - tylko o kawę, którą wylałem na świeżo przepisane akta.

Patrzyła na niego, oczekując wyjaśnień.

- W każdej linijce były dwa błędy. Chciałem mieć pewność, że je przepisze.

- Nie mogłeś zwyczajnie poprosić?

- Uważam, że mój sposób był lepszy.

- Zmusiłeś ją do wymówienia.

- Dzięki temu mogłaś wrócić. Nie odeszłaby, gdybym ją zwyczajnie poprosił, żeby przepisała akta.

Violet naprawdę lubiła Blake'a. Czuła się przy nim dobrze i swobodnie. Może powinna za niego wyjść? Może z czasem ją pokocha? Nakryła jego dłoń swoją.

- Chyba powinnam za ciebie wyjść, chociażby po to, żeby uchronić przed tobą inne kobiety - powiedziała żartobliwie.

Blake sam nie rozumiał swoich uczuć. Dlaczego, pomimo poprzednich zastrzeżeń, poczuł się nagle jak najszczęśliwszy facet na świecie? Przecież nie kochał jej, a tylko pożądał. Przywołał wspomnienie ich pierwszego spotkania.

- Co się dzieje? - spytała na widok jego miny.

- Pomyślałem o moim dywanie.

Przez chwilę patrzyła zdezorientowana, ale zaraz zrozumiała i się zarumieniła. Roześmiał się szelmowsko.

- W tych sprawach na pewno pasujemy do siebie, prawda Violet?

- No wiesz! - obejrzała się, niepewna, czy nikt ich nie słyszy.

Uśmiechnął się do niej. Szczerze. Jeszcze nigdy nie czuł się tak dobrze w towarzystwie kobiety. No, poza Shannon. Wspomnienie natychmiast zmiotło mu uśmiech z twarzy.

Violet zauważyła to od razu.

- Co się stało?

Nie mógł powiedzieć jej prawdy.

- Pomyślałem o twojej mamie - skłamał.

- Och, kochany! - Zagryzła wargi. - Nie mogę jej zostawić, wiesz o tym.

- A gdyby ktoś do niej przychodził na kilka godzin, a my odwiedzilibyśmy ją często?
- zapytał, starając się znaleźć kompromis.

- Nie wiem...

- Przecież nie pobierzemy się w ciągu dwóch dni - powiedział uspokajająco. - Mamy mnóstwo czasu, żeby o tym pomyśleć.

- Tak - zastanowiła się, co właściwie Blake miał na myśli, mówiąc o mnóstwie czasu. Wyglądało na to, że do małżeństwa jeszcze daleka droga.

Młoda pracownica Barbary postawiła przed nimi zamówioną wcześniej sałatkę dla mamy.

- Kiedy powiemy mamie? - zapytała Violet. Zawahał się. Na razie nie miał ochoty nic nikomu mówić.

- Może poczekajmy jeszcze - zaproponowała.

- Naprawdę chcesz? - zapytał zaskoczony.

- Tak - odpowiedziała zdecydowanie. - Sama potrzebuję czasu, żeby się z tym oswoić.
- Nie dodała, że nie jest pewna, czy ma traktować jego propozycję poważnie, i nie chce, żeby mama przeżyła rozczarowanie, gdyby się wycofał. Może działał pod wpływem impulsu i już tego żałował?

- Dobrze - zgodził się łatwo.

Podeszli do samochodu. Blake nie chciał prowokować współobywateli do plotek, więc pożegnał się zdawkowo.

- Do zobaczenia jutro.

- Tak. - Nie dodała nic więcej, bo już odchodził, nie oglądając się za siebie.

Violet obserwowała, jak odjeżdża, pełna złych przeczuć. Nie zachowywał się jak zakochany narzeczony ani jak człowiek, który chce małżeństwa. Pojechała do domu, zdecydowana nie wspominać mamie ani słowem o swoich niby zaręczynach.

Przez resztę tygodnia Violet z powodzeniem ukrywała poranne mdłości przed mamą, współpracownicami i Blake'em.

Blake nie tylko nie wspominał o zaręczynach, ale i zupełnie nie zmienił swojego zachowania wobec niej. Violet nie potrafiła ukryć przygnębienia, co nie uszło uwagi Blake'a.

W piątek zatrzymał ją po wyjściu koleżanek. Zaprowadził do siebie i pozamykał wszystkie drzwi.

Czasem trzeba się poświęcić, powiedział sobie, biorąc Violet w ramiona i całując ją z wymuszonym entuzjazmem.

Jednak w chwili gdy poczuł jej wargi na swoich, przestał się poświęcać. Przyciągnął ją bliżej i pocałował mocniej, i jeszcze mocniej. A potem przestało się dla nich liczyć cokolwiek, poza tu i teraz...

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Violet z trudem łapała oddech. Blake podparł się na łokciach i, ciężko dysząc, spojrzął jej w oczy. Nigdy jeszcze nie czuł tak gwałtownego i wszechogarniającego pożądania, nawet przy Shannon. Chciał być jej czułym obrońcą, ale nigdy nie pragnął jej zniewolić. Z Violet było zupełnie inaczej. Czuł bolesny i nieopanowany głód jej ciała.

Jego uczucie dla Violet nie było pozbawione czułości. Miała ciało miękkie i uległe i z ogromną przyjemnością wdychał jej zapach. Nie spuszczać z niej wzroku, delikatnie obrysował palcami linię jej brwi. Pomyślał o dziecku, rosnącym powoli w płaskim na razie brzuchu Violet i ogarnęła go bolesna tęsknota. Nosila jego dziecko. Jego dziecko...

Pochylił się i delikatnie musnął ustami jej oczy. Wsunął palce w gęste włosy i przyciągnął jej głowę do swoich warg.

Violet, nieświadoma jego rozterek, czuła tylko, że coś się zmieniło.

Blake podniósł głowę i uśmiechnął się do niej.

- To tyle, jeżeli chodzi o wstrzemięźliwość przed ślubem - wymruczał pokornie.

Violet zarumieniała się, a on wybuchnął śmiechem.

- Daj spokój, to jeden z najważniejszych aspektów naszego małżeństwa. Widziałem już pary, które zgadzały się we wszystkim poza łóżkiem i w końcu się rozchodziły.

- Nam to chyba nie grozi - zgodziła się nieśmiało. Pocałował ją czule.

- Jesteś cudowna - powiedział poważnie. - Ale mama będzie się niepokoić. Zadzwoń do niej, zanim wyjdziemy.

Violet zadzwoniła, wymyślając pretekst na poczekaniu. Mama nie była niespokojna, raczej wręcz rozbawiona. Violet odłożyła słuchawkę, rzucając Blake'owi kąpiące spojrzenie.

- Nie kupiła tego? - odgadł od razu.

- Ona też była młoda.

Wziął ją w ramiona i przytrzymał przez chwilę. Znowu pomyślał o dziecku i pożałował, że był taki gwałtowny.

- Nie chciałem być niedelikatny - powiedział. - Ale kiedy zaczynam cię całować, coś we mnie wstępuje. Chyba nie sprawiłem ci bólu?

- Wcale nie - odpowiedziała i natychmiast pomyślała o dziecku. Czy seks mógł mu zaszkodzić? Z pewnością nie. Lou zabroniła jej dźwigać, o seksie nie wspominała.

Poszła za Blake'em i czekała, aż pogasi światła i zamknie drzwi.

- Jedź prosto do domu - powiedział miękko. Odprowadzę cię do krzyżówki.

- Nie musisz - odparła, zaskoczona jego troską.

- Ale chcę. Chodź.

Odprowadził ją do samochodu i wsiadł do swojego. Dopóki nie skręciła w drogę dojazdową, widziała go w lusterku wstecznym. Poczuli się dopieszczona i początkowo nie zauważyła, że Blake nie wspomniał ani słówkiem o spotkaniu w weekend.

Sobota i niedziela minęły spokojnie. Violet pojechała do Victoria po witaminy od doktor Lou, a poza tym dotrzymywała towarzystwa mamie. Była pewna, że Blake przynajmniej zadzwoni, jednak się myliła.

Analizując piątkowe popołudnie, doszła do wniosku, że ze strony Blake'a brak najmniejszej nawet emocjonalnej więzi. Jego fascynacja nią była czysto fizyczna i nie mogła trwać długo. Zastanawiała się, dlaczego w takim razie chciał się z nią zaręczyć. Przecież nie mógł wiedzieć o ciąży.

Przynajmniej tak myślała do poniedziałkowego rana. Libby i Mabel pracowały nad dokumentami dla sądu, a Violet zaniósła Blake'owi wiadomość od klienta. Rozmawiał na drugiej linii i nie chciała mu przerywać, więc zatrzymała się przy uchylonych drzwiach. To, co usłyszała, sprawiło, że kartka z wiadomością wypadła jej z rąk.

- Co innego mogłem zrobić? - pytał Blake wzburzonym tonem. - Jej matka bardzo przeżywa okoliczności śmierci swojego męża i jest chora na serce. Wiadomość o nieślubnym dziecku Violet mogłaby ją zabić. Poza tym, to mała społeczność i wszyscy nas znają. Violet wyklucza aborcję, więc ślub jest jedynym sensownym rozwiązaniem.

Przerwał na chwilę i mówił dalej, w sposób oczywisty odpowiadając na słowa swojego rozmówcy.

- Wiem - powiedział znużonym tonem. - Ale ona się nie dowie. A po urodzeniu dziecka podejmiemy jakąś decyzję. Ale niezależnie od tego, czy małżeństwo się utrzyma, czy nie, chcę, żeby Violet była zabezpieczona na przyszłość. Tak. Tak. Wiem.

Violet schyliła się, żeby zebrać rozsypane dokumenty. Blake mówił dalej.

Violet nie była w stanie myśleć. Wróciła do siebie i usiadła przy komputerze. Kartkę z informacją od klienta odłożyła na stos dokumentów przy drukarce.

Drzwi frontowe otworzyły się i weszła Libby. Spojrzała na Violet.

- Dobrze się czujesz? - zapytała natychmiast. - Strasznie jesteś blada.

Violet przełknęła z trudem.

- Kręci mi się w głowie. Pewno złapałam jakąś infekcję.

- Co się stało? - Blake ze zmarszczonym czołem wkroczył do pokoju.

- Violet źle się czuje - odpowiedziała Libby. - Może powinnaś pojechać do domu? - zwróciła się do koleżanki.

- Dobry pomysł - zgodził się Blake. - Chcesz, żebym cię odwiózł? - zapytał Violet.

- Mogę prowadzić - odpowiedziała, unikając jego wzroku. - To nic poważnego.

Blake odprowadził ją do samochodu.

- Zadzwoń, jak dojedziesz. - Zawahał się lekko. - Może jednak powinienem z tobą pojechać?

- Nie, nie - odparła zdecydowanie. - Nic mi nie jest. Chciałabym się tylko położyć.

Miał niepewną minę.

- Wyglądasz blado.

Miała dobry powód, żeby tak wyglądać, ale nie mogła mu go wyjawić.

- Do jutra mi przejdzie - powtórzyła.

- Violet... - zaczął niepewnie.

- Do zobaczenia jutro, szefie - uśmiechnęła się z przymusem i wyszła.

Patrzył za nią z rosnącym poczuciem winy. Kochający narzeczony zapakowałby ją do własnego samochodu i zawiózł do domu. Zadbałby, żeby poszła do łóżka i posiedziałyby przy niej, zanim nie zaśnie. Nie rozumiał samego siebie. Starał się przez cały weekend, ale skończyło się niczym. Bezsens całej tej sytuacji wprowadził go w posępny nastrój. Miał za złe, że Violet jest w ciąży, że on sam czuje się jak w pułapce. Dlatego nie zadzwonił do niej, pomimo namiętnego spotkania w biurze. Odpowiedzialność za dziecko ponosili, oczywiście, w równym stopniu oboje, ale on zupełnie sobie z tym nie radził. Zachowywał się jak skończony egoista. Miał wrażenie, że całe jego życie stanęło na głowie. Panicznie bał się małżeństwa, a jeszcze bardziej ojcostwa. Zbyt długo był sam. Z drugiej strony nie chciał, by Violet cierpiała z jego winy. Dziś to on powinien się nią zaopiekować.

Odwrócił się i ruszył w kierunku Violet, ale zobaczył tylko tył jej samochodu znikający w wyjeździe z parkingu. Poczul się jak łajdak. Ja mógł puścić ją samą? Zastanawiał się przez chwilę i właśnie sięgnął po kluczyki, kiedy w drzwiach stanęła Libby, prosząc go pilnie do telefonu. Jeden z jego klientów został aresztowany. Blake zawrócił do biura. O następnym kroku zadecydował sam los.

Violet przepłakała całą drogę do domu. Do tej pory chciała wierzyć, że Blake'owi naprawdę na niej zależy i że ucieszy się z dziecka. Tymczasem on już wiedział, Bóg jeden wie skąd, i wcale się nie cieszył. Chciał się z nią ożenić wyłącznie dla zachowania pozorów, bo tak naprawdę zależało mu tylko na seksie. To był okrutny cios.

Siedziała w samochodzie, dopóki nie opanowała łkań i nie poczuła się na siłach zachowywać normalnie. Sprawdziła wygląd w lusterku, bo nie chciała niepokoić mamy. Co do jednego Blake miał słuszość. Gdyby mama dowiedziała się o ciąży, byłaby zdruzgotana.

Z wymuszonym uśmiechem przywitała mamę, która oglądała właśnie jeden ze swoich seriali i pomachała jej z miną lekko nieobecną.

Wyrok został odroczoney. Na razie nie musiała niczego wyjaśniać. Violet poszła do siebie i przebrała się w luźne džinsy i bluzę. Położyła się na kilka minut, pewna, że dopóki trwa film, nic nie zdoła oderwać starszej pani od ekranu.

Musiała szybko podjąć decyzję. Nie mogła wskoczyć do autobusu i wyjechać z miasta. Była odpowiedzialna za mamę, która kochała Jacobsville i nie mogłaby żyć nigdzie indziej. Poza tym była też sprawa Janet Collins.

Właściwie Violet miała tylko jedno wyjście. Musiała odejść z biura Blake'a. Było jej głupio dzwonić znowu do Duke'a Wrighta, niestety nie było innej możliwości. Nie zdoła ukryć ciąży na długo, ale kilka tygodni powinno jej wystarczyć na podjęcie decyzji.

Podniosła słuchawkę i wykręciła numer.

Po kilku minutach weszła do saloniku. Starsza pani ocierała łzy wzruszenia.

- To było bardzo smutne. Harry kochał Eunice przez całe lata, a kiedy w końcu poprosił ją o rękę, umarł na atak serca.

- To rzeczywiście smutne. - Violet pochyliła się i pocałowała mamę. - Jak się czujesz?

- To chyba ja powinnam cię o to zapytać, córeńko. Jesteś bardzo blada. Wszystko w porządku?

- Chyba złapałam jakąś infekcję i dlatego jestem wcześniej. Szef dał mi wolne - dodała ze słabym uśmiechem. - Przygotuję coś do jedzenia.

- Jeżeli tylko czujesz się wystarczająco dobrze. - Pani Hardy miała zmartwioną minę.

Violet nie zamierzała mówić mamie, że postanowiła wrócić do Duke'a Wrighta, który przyjął jej propozycję z entuzjazmem. Umówili się na poniedziałek, więc teraz czekało ją wyjaśnienie sytuacji Blake'owi. Perspektywa rozmowy z nim przyprawiała ją o dreszcze.

Blake zadzwonił do niej, jak tylko zdołał uspokoić zdenerwowanego klienta. Telefon odebrała pani Hardy, bo Violet, z silnym bólem głowy, leżała już w łóżku. Blake przekazał pozdrowienia i pojechał do domu. Ale nie mógł spać.

Przez całą noc dręczyły go wyrzuty sumienia. Violet była dobra, słodka i kochała go. Mógłby szukać do końca życia i nigdy nie znaleźć kobiety chociaż w połowie tak oddanej jak ona.

Od samego początku czuwała nad nim i troszczyła się o niego, a od tamtej pamiętnej soboty, jego ciało tęskniło za nią boleśnie dniem i nocą. Wiedział, że był jej pierwszym mężczyzną i że nie chciała nikogo innego. Nosiła pod sercem jego dziecko. A on zaproponował jej małżeństwo wyłącznie z poczucia obowiązku, a nie dlatego, że pragnął jej czy dziecka.

Teraz, kiedy jego umysł znów funkcjonował poprawnie, uświadomił sobie, jakim był szczęściarzem. Dlaczego zrozumiał to tak późno?

Wstał przed świtem i przygotował solidne śniadanie. Zamierzał pójść do najbardziej ekskluzywnego sklepu jubilerskiego w mieście i kupić Violet pierścionek z oszałamiającym brylantem. Chciał dać jej szczęście. Chciał kupować jej kwiaty, zabierać ją do teatru i rozpieszczać prezentami. Śmiał się sam z siebie. Nigdy jeszcze nie czuł się taki szczęśliwy.

W poniedziałek rano Violet spokojnie i systematycznie opróżniła biurko. Koleżanki popatrywały na nią nerwowo.

W drzwiach stanął uśmiechnięty Blake.

Violet spojrzała na niego z wyrazem twarzy, którego nie mógł zrozumieć.

- Co robisz? - zapytał, zanim uświadomił sobie, że Violet się pakuje.

- Wracam do Duke'a Wrighta - odpowiedziała spokojnie.

Stał kompletnie zaskoczony, wręcz niezdolny zareagować.

- Odchodzisz? - wykrztusił w końcu. Spojrzała mu w oczy.

- Tak.

Dziewczęta wymieniły spojrzenia i jednocześnie wstały z krzeseł.

- Idziemy do piekarni naprzeciwko - rzuciła Libby, znikając w drzwiach.

- Odchodzę - odezwała się Violet.

- Dlaczego?

- Dlaczego? - wykrzyknęła. - Jak możesz mnie o to pytać? Chcesz się ze mną ożenić tylko dlatego, że jestem w ciąży!

Wstrzymał oddech, co było aż nazbyt wystarczającym potwierdzeniem.

- Nie próbuj zaprzeczać - rzuciła z wyrazem cierpienia w niebieskich oczach. - Słyszałam, jak rozmawiałeś przez telefon.

Rozmawiał przez telefon... O Boże! Zły los kazał jej usłyszeć jego rozmowę z doktor Lou Coltrain. Jak mógł nie zamknąć drzwi?

Violet zauważyła, jak jego twarz przyobleka się w wyraz poczucia winy i jej ostatnia nadzieja uleciała. Miała rację. Chciał tylko dać dziecku nazwisko i uchronić jej mamę przed wielkim wstydem.

- Wiele małżeństw zaczyna z uboższym kapitałem - powiedział po chwili, dobierając starannie słowa.

- Ale nam brakuje tego, co jest najważniejsze, Blake. Miłości.

Chciał krzyknąć, że ją kocha, ale się nie odważył. Zacerpnął tchu.

- Nie mogę cię powstrzymać - powiedział spokojnie. - Skoro tego chcesz... Ale proszę, przemyśl to jeszcze.

Potrząsnęła głową.

- Nie zostanę tutaj, gdzie dostanę tylko twoją litość i plotki wszystkich innych.

- Jeżeli odejdziesz, dopiero będą plotkować! - rzucił z wyraźnym zniecierpliwieniem.

Poczuła w sercu chłodną pustkę.

- Nie mogę zostać.

- No cóż, nie oczekuj, że będę próbował cię zatrzymać - burknął wściekle. - Skoro wolisz ogłosić całemu światu, że jesteś w ciąży i samotna, to bardzo proszę!

- Właśnie dlatego odchodzę! - odpariła. - Wcale ci nie chodzi o mnie, tylko o to, co ludzie powiedzą! Zepsułyś sobie reputację i mógłbyś stracić klientów!

Spojrzał na nią rozplómiętym wzrokiem.

- A co z twoją mamą? - zrewanżował się. - Ciekawe, jak na to wszystko zareaguje?

Violet zagryzła wargi.

- Mama zrozumie.

- Tak ci się zdaje? A co z Duke'em Wrightem?

- Co takiego?

- Co sobie pomyśli, kiedy ciąża stanie się widoczna? A jego pracownicy, była żona?

Pomyślała, że to dziecko Duke'a.

Gwałtownie złapała powietrze.

- Na pewno nie!

- Nie liczyłbym na to.

Patrzyła na niego bez słowa. Sytuacja zaczynała ją przerastać. Nie chciała mu wierzyć, ale, niestety, wiedziała, że ma rację.

Blake też się jej przyglądał. Zauważył nieznaczne poszerzenie talii. Od śmierci Shannon nie myślał o dzieciach. Dlaczego więc nagle zaczął się zastanawiać jakie będzie ich dziecko? Ciemnowłose, jak oni oboje? O niebieskich oczach? Chłopczyk czy dziewczynka?

- Wyglądasz... dziwnie - odezwała się Violet.

- Myślałem o dziecku - odpowiedział w roztargnieniu, wciąż mierząc wzrokiem jej talię. - Nie sądziłem, że zostanę ojcem. Przez większość dorosłego życia byłem sam.

- Ja też - wyznała cichutko.

- Co byś chciała? - Blake pytająco spojrział jej w oczy. Violet zamrugła.

- Nie wiem, nigdy się nie zastanawiałam. Chyba niewiele.

Przysunął się o krok.

- Mam na myśli małenstwo. Zatraciła się w jego oczach.

- Małe dziewczynki są urocze - zaryzykowała. - Lubię robić na drutach i szydełkiem.

Mogłabym ją nauczyć.

Blake wstrzymał oddech. Mała dziewczynka. Pomyślał o córeczce Reya Harta. Cała rodzina przyszła wtedy do jego kancelarii. Mała ciemnowłosa Celina miała prawie sześć miesięcy i zauroczyła Blake'a zupełnie. Zauważył, że mała bez reszty zawojowała ojca, ku rozbawieniu jego żony, Meredith. To samo dotyczyło bliźniaków Judda i Christabel Dunn. Wszystkich w mieście rozbawiała do łez łatwość, z jaką smyki owijały sobie twardego Judda wokół palca.

- Masz rację, małe dziewczynki są urocze - zgodził się miękko.

- Ale mógłby być i chłopczyk - mówiła dalej Violet. - Lubię baseball i futbol. Wciąż pamiętam zasady gry.

Uśmiechnął się lekko.

- Ja też.

Posmutniała, wracając do rzeczywistości.

- Tak naprawdę, to ty wcale nie chcesz dziecka, Blake - powiedziała. - Postępujesz fair, proponując mi małżeństwo, ale nic z tego nie wyjdzie.

- Skąd wiesz? Dużo par ma znacznie gorszą pozycję na starcie. Powiedziałem przez telefon kilka głupstw, a ty je usłyszałaś. Dla mnie to wszystko jest jeszcze bardzo świeże, a nie za dobrze znoszę zmiany. Potrzebuję czasu, żeby to sobie jakoś poukładać.

Violet westchnęła.

- Ale czujesz się złapany w pułapkę. Wzruszył ramionami.

- No cóż, może trochę - wyznał uczciwie. - Ale to minie. Potrzebuję czasu, Violet.

- Wiem. Ja, prawdę mówiąc, też. - Podeszła do spakowanego pudła. - Duke chce, żebym wróciła. Porozmawiamy za kilka tygodni.

- Za kilka tygodni będzie widać ciążę - ostrzegł ją.

- Jestem pulchna - odpowiedziała bez emocji. - Nic nie będzie widać.

- Nie jesteś pulchna, tylko kobieca - odparł z uśmiechem. - Ślicznie wyglądasz.

Uniosła brwi.

- To nie są puste słowa. - Na widok jej miny pospieszył z wyjaśnieniem. - Naprawdę tak uważam. Wiele rzeczy mi się w tobie podoba. Kotki też cię lubią.

- Czy to mi dodaje punktów? Blake się uśmiechnął.

- One lubią bardzo niewiele osób. A któregoś dnia zaatakowały dostawcę pizzy, każda jedną nogę. Muszę mu płacić ekstra, żeby teraz do mnie przychodził. I zamykać kotki, kiedy wjeżdża na podjazd.

- Uch!

- Może to wina anchovies. - Popatrzył na nią uważnie. - Jeżeli koniecznie chcesz teraz odejść, nie mogę się sprzeciwić. Ale zastanów się nad tym wszystkim. Oboje powinniśmy teraz myśleć o dziecku. Wszystko jedno, chłopczyk czy dziewczynka... Ale pamiętaj, to, że pozwalam ci odejść, nie znaczy, że z ciebie rezygnuję.

Oczy Violet rozszerzyło zdumienie. - Och...

- Może na razie nie mów nic mamie. Nie trzeba jej martwić.

- Wiem. Bez obaw.

- Słyszałem, że żona Duke'a ma go odwiedzić z synem. Chyba dowiedziała się o jego nowej pani biolog.

- Zazdrosna? - zaciekała się Violet.

- Może. Uważam, że powinni się pogodzić. Dziecko potrzebuje obojga rodziców. - Violet domyśliła się, że mówi nie tylko o Wrightach.

- Tak, to prawda.

Podniósł jej pudło. Oczy miał poważne.

- Powinienem był odwieźć cię do domu wczoraj, kiedy zachorowałaś - powiedział niespodziewanie. - Miałem za tobą pojechać, ale telefon odwołał mnie do biura.

- Naprawdę? - te słowa zaskoczyły ją.

- Tak. Otwórz drzwi.

Odprowadził ją do samochodu i patrzył, jak odjeżdża.

Violet wyjaśniła mamie decyzję powrotu do Duke'a Wrighta, mówiąc, że oboje z Blake'em, zamiast pracować, patrzą sobie w oczy. Dlatego do ślubu zamierza pracować dla Duke'a.

Mama rzuciła jej zagadkowe spojrzenie, ale nie skomentowała tego.

Zgodnie z obietnicą, Blake dzwonił do Violet codziennie. Na początku był trochę skrepowany, ale stopniowo zaczął jej opowiadać biurowe plotki i nowinki i Violet bardzo polubiła ich popołudniowe pogawędki.

Wtedy właśnie aresztowano Janet Collins w San Antonio.

Tego popołudnia Blake nie zadzwonił do Violet, tylko pojechał do Duke'a, żeby przekazać wiadomość osobiście.

Violet zachowała nieprzeniknioną twarz.

- I co teraz? - zapytała z dłońmi na klawiaturze komputera.

- Zostanie oskarżona o morderstwo pierwszego stopnia, w przyszły poniedziałek, w San Antonio.

- Czy musimy tam jechać? - zapytała z nadzieją, że odpowiedź będzie odmowna. Nie czuła się na siłach oglądać morderczyni ojca.

- Nie ma takiej potrzeby - odparł Blake. - Chociaż dobrze byłoby, gdyby mama zeznawała w trakcie procesu.

- Dlaczego? - w pytaniu Violet brzmiał namiętny sprzeciw. - Tylko ją to przygnębi, a i tak nigdy nie widziała taty z Janet.

Blake powstrzymał ją gestem dłoni.

- Myślę, że widziała - odparł, obserwując grę uczuć na twarzy Violet. - Nie powiedziała ci, ale spotkała ich w motelu tego dnia, kiedy ojciec zasnął i został zabrany do szpitala.

- To tam policja znalazła dowody, wskazujące na udział Janet w otruciu - przypomniała sobie Violet, wciąż jeszcze zszokowana.

- Tak, i to szczęście dla nas, że tak się stało, bo obecność mamy w motelu tak bardzo zdenerwowała Janet, że popełniła kilka poważnych błędów. Na przykład zostawiła odciski palców na szklance z trucizną. Na razie nie wie o tym nikt poza laboratorium kryminalistycznym, policją i nami. Dowodów, żeby skazać ją za morderstwo, jest aż nadto. Zeznania twojej mamy pomogą wskazać na motyw zabójstwa i powiązać Janet z pokojem w motelu, twoim ojcem, jego kontem w banku i jej brakiem środków do życia. Sąd wysłucha też zeznań dotyczących otrucia pensjonariusza domu spokojnej starości, który zapisał Janet majątek. Jego syn aż się pali, żeby zeznawać.

- Strasznie się przy tym nachodziłeś - Violet dopiero teraz zdała sobie sprawę z ogromu wykonanej przez Blake'a pracy.

- Trochę. - Wsunął dłonie w kieszenie spodni i uśmiechnął się leniwie.

Do pokoju weszli Duke Wright i Harley Fowler, pogrążeni w rozmowie o byku, zakupionym przez szefa Fowlera, Cy Parksa. Na widok Blake'a Duke zacisnął pięści.

- A co ty robisz w moim domu? - zapytał. Blake spojrzał na niego z miną nieprzeniknioną.

- Rozmawiam z matką mojego dziecka - palnął. Równie dobrze, pomyślał, mogę ubić dwa ptaszki jednym strzałem. Tym bardziej, że obaj mężczyźni są chwilowo samotni. Przynajmniej nie będą próbowali kręcić się koło mojej Violet.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Blake był wyraźnie zadowolony z siebie, Violet natomiast próbowała utrzymać na wodzy emocje całkowicie odmienne. Przebiegła wzrokiem od rozbawionego Harleya i wstrząśniętego Duke'a do uśmiechniętego kpiąco Blake'a.

- Jak śmiesz! - Zerwała się na równe nogi, a w jej tonie zabrzmiała zimna furia. Jednak ciąża i bezsenne noce osłabiły ją na tyle, że zachwiała się i omal nie upadła. Blake skoczył, by ją podtrzymać. Przygarnął ją i uspokajająco kołysał w ramionach.

- To pierwszy trymestr. Nie powinnaś wykonywać takich gwałtownych ruchów.

Patrzyła na niego wściekła, ale pozbawiona możliwości wzięcia odwetu.

Duke się opanował. Patrzył na Blake'a, targany sprzecznymi emocjami.

- To twoje dziecko? - wycodził. Blake rzucił mu miazdzące spojrzenie.

- Jak śmiesz! - powtórzył słowa Violet. - Za kogo ty ją uważasz?

Duke chrząknął.

- Przepraszam.

Violet próbowała się nie uśmiechać. Ale wystąpienie Blake'a w jej obronie wzruszyło ją.

Blake rozluźnił się trochę, ale nadal nie wypuszczał Violet z objęć.

- Musisz pilnować, żeby często robiła przerwy - zwrócił się do Duke'a. - Żeby się za bardzo nie męczyła. Będę ją zabierał na pożywne, wysokobiałkowe lunche - zastanowił się. - Żadnych hormonów ani antybiotyków, rzecz jasna. Musimy myśleć o dziecku.

- Blake! - zgromiła go Violet.

- I absolutnie nie wolno jej pracować do późna - dodał wojowniczo.

Duke próbował ukryć rozbawienie.

- Dobrze - zgodził się uprzejmie.

Harley był zaszokowany. Lubił Violet. Ale sposób, w jaki Blake Kemp na nią patrzył, uświadomił mu, że do tej pory nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo. A teraz była w ciąży. Harley westchnął tęsknie. Pomimo reputacji łamacza serc, nie miał szczęścia do kobiet.

Blake przyjrzał się Violet.

- Lepiej się czujesz? - zapytał z uśmiechem.

Miała ochotę wtulić się w jego mocarną pierś i całować go do utraty tchu.

- Dużo lepiej - odpowiedziała, wysuwając się z jego objęć.

Pomógł jej stanąć na nogach.

- Musimy powiedzieć mamie.

- O dziecku? - zapytał Duke.

- O aresztowaniu Janet Collins w San Antonio - poprawił go Blake. - Jest oskarżona o zamordowanie ojca Violet.

Duke i Harley świsnęli przez zęby.

- Tak mi przykro, Violet. Jeżeli chcesz wyjść wcześniej, bardzo proszę. Ktoś to dokończy.

- Dziękuję, ale nie chcę niepokoić mamy zmianą rozkładu dnia. Powiem jej po pracy.

- Pojadę z tobą - zaoferował się Blake. Spotkali się wzrokiem.

- Dziękuję - odpowiedziała, wzruszona.

Skinął głową, zagubiony w jej łagodnym, a jednocześnie głodnym spojrzeniu.

Duke grzmotnął Harleya wielką pięścią.

- Musimy wracać do pracy. - Zwrócił się do Blake'a. - Nie miałem pojęcia o tym wszystkim. Przepraszam za cierpkie słowa.

Blake wzruszył ramionami.

- Nic się nie stało. Duke się zawahał.

- Będę pilnował, żeby robiła przerwy - dodał. - Pamiętam, jak się czuła moja żona przed urodzeniem syna.

- Podobno ma przyjechać - spróbował wysondować Blake.

Duke miał twarz pokerzysty.

- Rozmawiamy o prawie do opieki. Ona często wyjeżdża, a chłopak zostaje w przedszkolu albo z opiekunkami. - W oczach zamigotała mu złość. - Chcę, żeby zamieszkał tutaj.

- Myślisz, że się zgodzi? - zapytała Violet.

- Rozwód był ciężki - odpowiedział - ale teraz rozumiem, że dużo w tym było mojej winy. Może uda nam się lepiej to poukładać. - Spojrzał na Blake'a. - Próbowałeś mi wytłumaczyć, ale dałem ci w łeb.

Blake zachichotał.

- Nic się nie stało. Oddałem ci. Duke zdołał zdobyć się na uśmiech.

- Był kapitanem sił specjalnych, wiedziałaś o tym? - zwrócił się do Violet. - Razem z Cagem Hartem.

- Nie opowiadam o tym - rzucił Blake szorstko.

- No cóż, przepraszam - wycofał się Duke.

Violet spojrzała na Blake'a z ciekawością, a Duke się uśmiechnął.

- Opowie ci któregoś dnia - powiedział. - I pokaże medale, jak będzie w dobrym humorze.

Oczy Blake'a zabłyśły niebezpiecznie.

- Idę - Duke uniósł dłonie w geście przeprosin. - Chodź Harley, załadujemy waszego byczka.

- Tak jest, szefie - odpowiedział Harley, mrugając do Violet.

Blake łypnął na niego groźnie, więc Harley także uniósł dłonie w geście przeprosin, zachichotał i podążył za Duke'em.

Violet odprowadziła ich wzrokiem i spojrzała na Blake'a. Wyraźnie nie tylko nie poczuwał się do winy, ale wręcz wyglądał na zadowolonego z siebie. Trzymał ręce w kieszeniach i uśmiechał się, co zdarzało mu się nieczęsto, a jeżeli już, to głównie w towarzystwie Violet.

- To chyba już wyjdiesz za mnie? - zapytał. Spojrzała na niego oczami jak szparki.

- To nie było fair.

- A czy to jest fair nosić moje dziecko i uśmiechać do innych facetów? Zwłaszcza do Harleya Fowlera - dodał gwoli wyjaśnienia.

Violet zamrugła.

- Harley nie interesuje mnie w ten sposób.

- No cóż, on interesuje się tobą.

- Nie mówisz poważnie.

- Mówię. - Zalała go fala uczucia dla niej. - Wstyd mi, że nie dałem ci wsparcia, którego potrzebowałaś. Obiecuję, że to się zmieni.

- Dobrze się czujesz? - zapytała z troską.

- Może nie tylko Duke powinien się nad sobą zastanowić - odpowiedział. - Odkąd zaczęłaś dla mnie pracować, notorycznie ci dokuczałem, a ty odpłacałaś mi troską i dobrocią. Już dawno podświadomie czułem coś dla ciebie, ale starałem się z tym walczyć.

- To z powodu dziecka - zaczęła.

- Na pewno nie.

Uśmiechnęła się i jej wzrok złagodniał.

- Już dobrze. Odpowiedział uśmiechem.

- Wpadnę po pracy i pojedziemy do domu, przekazać mamie nowiny.

- Mama jest twarda - powiedziała - wydaje się krucha, ale to istna opoka.

- Tak jak ty. Obawiam się, że rozprawa nie będzie dla was łatwa. Przywoła przykre wspomnienia.

- Przeżyliśmy już najgorsze. Śmierć taty, utrata domu i pieniędzy. Ukaranie Janet da nam jakąś satysfakcję. Mam nadzieję, że pójdzie do więzienia.

- Ja też, ale nie sposób przewidzieć wyroku. Musimy dostarczyć prokuratorowi jak najwięcej dowodów. Nie chcę, żeby się z tego wywinęła.

- Ja też nie - zgodziła się Violet. - Dziękuję ci.

- Zobaczymy się o piątej. - Zanim wyszedł, mrugnął do niej.

Violet patrzyła za nim, dopóki nie przypomniała sobie o czekającej pracy.

Pani Hardy wiedziała, że coś się kroi, kiedy usłyszała dwa samochody na podjeździe i zobaczyła Violet i Blake'a z chmurnymi minami.

Wyprostowała się w swoim fotelu i splotła dłonie na kolanach.

- No dobrze. Co się dzieje? Skoro jesteście tu oboje, to musi być coś dużego.

- No... - zaczęła Violet.

- Janet Collins jest w więzieniu w San Antonio - wyręczył ją Blake.

- Alleluja! - zaśpiewała pani Hardy. Blake i Violet wymienili spojrzenia.

- Spodziewaliście się, że zemdleję? Przepraszam. Bardzo się cieszę, że ją złapali, a będę jeszcze bardziej, mogąc zeznawać przeciwko niej.

- To będzie stresujące - Violet przysiadła koło mamy.

- Bardziej stresujące byłoby pozwolić, żeby się z tego wywinęła. - Spojrzała na Blake'a z powagą. - Zmienię temat. Skoro mowa o stresach, to kiedy wy dwoje zamierzacie się pobrać?

Blake zamarł.

- Byłoby dobrze jak najszybciej. Nie chcę, żeby moja córka brała ślub w sukience ciążowej.

- Mamo! - wykrzyknęła Violet, zaszokowana.

- Ona uważa, że jestem głucha. Może i tak, ale słyszałam, jak wymiotuje co rano. - Potoczyła wojowniczym spojrzeniem. - No więc, słucham?

Blake się roześmiał.

- Właśnie powiedziałem Duke'owi o dziecku.

- Będzie skandal.

- Będzie wnuczę - poprawił ją Blake, uśmiechając się czule do Violet. - Kochane i oczekiwane przez oboje rodziców.

- Tak - zgodziła się z nim Violet.

- No więc kiedy? - nalegała pani Hardy.

- Jeżeli się pospieszymy, zdążymy w przyszłym tygodniu - powiedział Blake. - W tych okolicznościach im prędzej tym lepiej. Ale miesiąc miodowy musimy odłożyć.

- To nieważne, ale musicie zalegalizować moje wnuczę.

- Zajmę się wszystkim, a Violet kupi sukienkę.

- Co z pastorem? - zapytała pani Hardy.

- Możemy wziąć ślub cywilny - zaczęła zakłopotana Violet.

- Nie ma mowy - przerwał jej Blake. - Bierzymy ślub kościelny. To nasz wspólna decyzja.

- Będę się wstydzić - wymamrotała Violet.

- Bóg nie wymaga od ludzi doskonałości - odparł Blake. - Na szczęście dla nas.

- Będą plotki - narzekała pani Hardy.

- Ludzie plotkują, a potem się śmieją - powiedział Blake. - Tu się nie utrzyma żaden sekret. Wszyscy są tylko ciekawi, gdzie będzie ślub.

- Na tym polega urok małych miasteczek - dodała Violet. - Tu wszyscy jesteśmy rodziną.

- Właśnie. A teraz - Blake zrobił poważną minę - następna ważna kwestia. Kto ma ochotę na chińszczyznę? - zapytał z uśmiechem.

Kiedy Blake przyniósł zamówione dania, pani Hardy i Violet, obie bardzo głodne, czekały przy stole. Rozmawiały o rozprawie przeciwko Janet Collins i zbliżającym się ślubie. Zanim nadszedł czas pożegnania, pani Hardy zapomniała o wszystkich dręczących ją wątpliwościach.

Violet odprowadziła Blake'a do samochodu, podziwiając czyste i jasne nocne niebo. Gwiazdy migotały. Wokoło unosił się zapach róż pani Hardy.

Starsza pani jasno wyraziła swoje zdanie na temat zamieszkania z młodymi, a przede wszystkim z humorzastymi kotkami Blake'a. Ustalili więc, że będzie miała dochodzącą pomoc. Wybraną przez Blake'a kandydatkę miała zatwierdzić osobiście.

- Mama będzie tu dużo szczęśliwsza - powiedziała mu Violet, kiedy usiedli na ganku.

- Nade wszystko lubi się krzątać przy różach. Będziemy ją często odwiedzać.

- Będziemy przychodzić z kolacją - obiecał. - Ale musimy jej znaleźć kogoś do pomocy. Widzisz, z czasem wszystko się układa.

Skinęła i przysunęła się bliżej. W tym roku wiosenne noce były nietypowo chłodne. Popatrzyła mu w oczy.

- Będziesz kochał nasze maleństwo, chociaż zmusiło cię do małżeństwa?

Przyciągnął ją do siebie i przytulił mocno.

- Gdyby mi na tobie nie zależało, na pewno bym się nie ożenił. Mamy wiele wspólnego. Należymy do tego samego rodzaju ludzi. Mamy podobny stosunek do życia. Oboje kochamy dzieci i zwierzęta. To aż nadto, żeby zacząć coś wspólnie budować. No i dobrze nam razem, lepiej, niż kiedykolwiek marzyłem. Chcę się z tobą ożenić. Dzieciak będzie wspaniały, zobaczysz.

Oczy Violet wypełniły się łzami wzruszenia.

- Dużo o nas myślałeś.

- Tak. Dlatego bardzo mi przykro, że słyszałaś moją rozmowę z doktor Lou Coltrain. Byłem wtedy zupełnie zdezorientowany, ale teraz już się odnalazłem.

- Na pewno?

- Tak. - Obrysował palcem owal jej twarzy. - Nie chcę być dłużej sam. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Violet skinęła głową, ale wciąż miała zmartwioną minę.

- O co chodzi tym razem? - zapytał Blake.

- Boję się.

- Małżeństwa?

- O dziecko. Będzie maleńkie i delikatne, a ja nie mam pojęcia, jak się nim opiekować...

Przyciągnął ją blisko i roześmiał się rozczulony.

- Wszyscy ciężko przeżywają zostanie rodzicami. Ale dzieci są twardsze, niż się wydaje, no i zawsze mamy doktor Lou. Ma doświadczenie i zna dobrego położnika.

- Wiem.

- Więc się nie martw i pamiętaj, że masz mnie.

- Mam nadzieję. Wiesz, że Libby i Jordan Powell też się pobierają?

Uśmiechnął się szeroko.

- Żadna niespodzianka. Kilkakrotnie był w biurze z prośbą o wybaczenie. - Pochylił się, pocałował ją i przytulił. W jego ramionach czuła się ciepło i bezpiecznie, pomimo wieczornego chłodu. Westchnęła, oddając mu pocałunek. Chyba naprawdę byli dla siebie stworzeni.

- Uciekaj do domu - powiedział, przebiegając smukłymi dłońmi po jej ramionach. - Zamarzniesz tutaj.

- To już wiosna - przypomniała mu, drżąc z chłodu.

- Jeśli nie odpowiada ci ta pogoda, poczekaj pięć minut - powtórzył stary miejscowy żart.

Uśmiechnęła się nieśmiało.

- Naprawdę pobieramy się w przyszłym tygodniu czy chciałeś tylko uspokoić mamę?

- Raczej siebie - odpowiedział. - Nie chcę, żeby ktokolwiek pozwalał sobie na złośliwe uwagi na twój temat. Na pewno szybko się rozniesie, że wykupiłaś receptę na witaminy w Victoria.

Wstrzymała oddech.

- Skąd wiesz?

- Lou mi powiedziała - odparł z uśmiechem. - To nic złego, w końcu należę do kręgu zainteresowanych - dodał. Zawahał się i zmarszczył brwi, obrzucając spojrzeniem płaski brzuch Violet. Czuł się dziwnie. Po śmierci Shannon i ich nienarodzonego dziecka przypuszczał, że nigdy więcej nie będzie chciał być ojcem. Ale teraz...

- Coś cię gnębi - Violet przysunęła się do niego. - O co chodzi?

- Wiesz, że nie chciałem mieć dzieci, prawda? Ale chyba nie wiesz dlaczego.

Violet zdążyła już o tym zapomnieć i teraz jej serce zabiło niepokojem.

- Niektórzy mężczyźni nie lubią dzieci - zaczęła. Położył jej palec na ustach.

- Shannon była w ciąży, kiedy zmarła - powiedział otwarcie. - Ze mną.

Nie wyglądała na tak wstrząśniętą, jak przypuszczał. Zmarszczył brwi.

- Małe miasteczko - wyjaśniła łagodnie. - Wszyscy wiedzą wszystko.

- Wiedziałaś?

- Tak. Przykro mi, że tak się stało. Gwałtownie wciągnął powietrze.

- Nigdy się z tym do końca nie pogodziłem. Za każdym razem, gdy widziałem Julie Merrill, wszystko wracało. Odebrała dwa życia z powodu bezsensownej rywalizacji. I nie zrobiło to na niej większego wrażenia.

- Niektórzy ludzie są kompletne pozbawieni uczuć. Ja też nie rozumiem, jak to możliwe. Ale na pewno któregoś dnia zapłacisz za swoją podłość.

- Im prędzej, tym lepiej - odpowiedział. Dotknęła palcami jego policzka.

- Wtedy wiedziałeś o dziecku?

- Nie. Shannon mi nie powiedziała. Wtedy też nie chciałem mieć dzieci, chyba jeszcze bardziej niż teraz. Dlatego czułem się bardziej winny. Przysporzyłem Shannon cierpienia. A potem umarli oboje.

- Julie wiedziała?

- Nigdy nie pytałem. To już bez znaczenia. Ale chciałbym, żeby zapłaciła za krzywdę, jaką wyrządziła.

- Ludzie zawsze płacą za krzywdy, które wyrządzili innym, Blake - zabrzmiało to bardzo dojrzałe. - Czasem mija wiele czasu, ale w końcu zawsze tak jest.

Dotknął jej policzka. Czuł się z nią dobrze i bezpiecznie. Potrafiła wydobyć głęboko skrywaną łagodność nawet z prawdziwego twardziela. Zastanawiał się, czy ona domyśla się jego uczuć do niej. Coś podobnego wiele lat temu czuł do Shannon. Wciąż stała mu przed oczami. Jej uśmiechnięte, niebieskie oczy, teraz zamknięte na zawsze.

To nie była wina Violet, że wciąż wspominał Shannon, i widząc jej niepewne spojrzenie, poczuł się jeszcze gorzej. Pochylił się i pocałował ją czule. Przeżywał rozterki, ale nie chciał, by czuła się winna. Pomyślał o Shannon takiej, jaką widział po raz ostatni. Potrzebował czasu, by rozliczyć się z przeszłością.

- Odpocznij teraz. Zadzwoń jutro - powiedział. Obiecał jej wspólny lunch, ale wiedziała, że rozmowa o Shannon była dla niego bolesna.

- Do zobaczenia - odpowiedziała. - Jedź ostrożnie. Skinął głową w roztargnieniu i wszedł do samochodu.

Odjechał bez oglądania się za siebie.

Violet nie weszła do domu od razu. Właściwie nie miała powodów do zmartwienia. Rzeczywiście, pod względem fizycznym pasowali do siebie idealnie. Poza tym, wydawało się, że Blake chce tego dziecka. Ale przeszłość wciąż mu ciążyła. Potrzebował czasu i zamierzała mu go dać. Kochała go i chciała, żeby odwzajemnił jej uczucie. Musiał się uwolnić od wspomnień o Shannon.

Coś jej mówiło, że sobie z tym poradzi.

Obie z mamą poszły wcześniej spać. Violet śniła o swoim dzieciństwie i obudziła się pełna entuzjazmu. Wszystko jedno, jakiej będzie płci. Najważniejsze, żeby było zdrowe.

Zastanawiała się, jak pogodzi pracę z rodziną i czy Blake chciałby, żeby pracowała. Lubiała swoją pracę, ale marzyła, by być z dzieckiem przez cały czas. Chciała mu czytać, bawić się z nim, po prostu być przy nim. Jej mama po urodzeniu dziecka została w domu i nigdy tego nie żałowała. Violet była do niej pod tym względem podobna. Gdyby jej praca miała pomóc w utrzymaniu domu, musiałyby sobie poradzić. Ale tutaj sytuacja była zupełnie inna i Violet miała ochotę to wykorzystać.

Kiedy weszła do biura Duke'a Wrighta, zauważyła, że szef ma niepewną minę. Spojrzał na nią bez uśmiechu.

- Zrobiłam coś nie tak? - zapytała niespokojnie. Potrząsnął głową.

- Rebeka tu jedzie.

- Słucham?

- Rebeka. Moja prawie była żona. I nasz syn.

- Och. - Violet odłożyła torebkę. - Co trzeba zrobić?

- Właściwie niewiele jest do zrobienia. - Wsunął dłonie do kieszeni dzinsów. - Mam nadzieję, że zgodzi się, żeby Trent zamieszkał u mnie.

- Mam nadzieję - spróbowała go wesprzeć Violet. Wzruszył ramionami.

- Tylko że może zmienić zdanie, kiedy się dowie, że zatrudniłem Delene w laboratorium.

- Zna Delene? - dziwiła się Violet. Duke się skrzywił.

- Spotkały się tylko raz, na zjeździe absolwentów mojej uczelni. Ale Delene krzywo na nią spojrzała. Rebeka wtedy miała ukończoną tylko szkołę średnią. Dopiero później poszła na studia. Delene była zawsze bardzo bystra. Jeżeli Rebeka uzna, że jestem związany z Delene, wróci do Nowego Jorku z szybkością światła. Co mogę zrobić? Nie zwolnię przecież mojego najlepszego biologa.

- Mógłby pan wysłać Delene na szkolenie do Kolorado - zasugerowała Violet.

Duke popatrzył na nią w osłupieniu.

- Kolorado?

- Czy nie tam odbywają się w tym tygodniu warsztaty dla specjalistów od inseminacji, organizowane przez Narodowe Stowarzyszenie Hodowców Bydła?

Duke otworzył usta.

- No tak! Dostaliśmy maila z informacją!

Zerknęła na zegarek.

- Mógłby ją pan odwieźć na samolot w południe, jeżeli to pilne.

Duke wybuchnął tubalnym śmiechem.

- Violet, jesteś wspaniała! Żeby tylko chciała pojechać...

- Niech ją pan zapyta, byle szybko. Nie ma za dużo czasu.

- Idę. Uch, te listy czekają na odpowiedź, ale nie mam teraz ani minuty. Zarejestruj tylko dane dotyczące bydła, okay? - Wybiegł, zanim zdążyła mu odpowiedzieć.

Rozbawiona, usiadła przy komputerze. Zapowiadał się ciekawy dzień.

Dwie godziny później, kiedy Violet pogrążona w arkuszach kalkulacyjnych rejestrowała dzienne przyrosty wagi bydła, otworzyły się drzwi i do pokoju wmaszerowała wysoka blondynka z małym chłopcem.

Na widok Violet przy biurku stanęła jak wryta i zmarszczyła brwi.

- Czy my się znamy? - zapytała z namysłem.

- Pani Wright, prawda? - spytała grzecznie Violet. Przypomniała sobie jednak, że, być może, jest to już ex - pani Wright i się zarumieniła.

- Jestem Rebeka Wright - odparła kobieta krótko. - Jesteś nowa?

- Tak, proszę pani. Pracuję dla pana Wrighta z przerwami od kilku tygodni.

- Z przerwami?

- Pan Kemp zwalnia mnie okresowo, ale chyba niedługo do niego wrócę, bo zaręczyliśmy się niedawno - dodała szybko, w obawie, żeby kobieta nie wyrobiła sobie mylnego wyobrażenia na temat jej obecności w biurze.

- Blake Kemp się żeni? - spytała pani Wright. Dotknęła dłonią czoła. - Widocznie czuję się gorzej, niż myślałam. Albo może to wszystko mi się śni?

- Nie, to prawda - zapewniła ją Violet. - Będziemy mieli dziecko.

- Dziecko? Muszę usiąść. - Pani Wright opadła na krzesło przy biurku i dźwignęła synka na kolana. - Gdzie jest mój m... mój były mąż?

- Chyba odwozi Delene Crane na lotnisko - Violet pożałowała, że nie ugryzła się w język.

- Delene Crane? Co ona tu robi?

- Mmm, jedzie na konferencję do Kolorado. Jest biologiem. - Violet nie odważyła się powiedzieć, że Delene pracuje dla Duke a.

Rebeka trochę się odprężyła.

- Spędza tu dużo czasu? - spytała podejrzliwie.

- Nie, niespecjalnie - odpowiedziała z nadzieją, że to kłamstwo nie przysporzy jej kłopotów.

- To dobrze. Nie chciałabym, żeby stykała się z moim synem. Brak jej właściwego podejścia. Kiedy wróci Duke?

Violet się skrzywiła.

- W każdej chwili - odparła skrepowana.

Rebeka się obejrzała. Duke Wright stał w drzwiach. Kapelusz miał zsunięty na oczy, wzrok twardy jak stal. Bez najmniejszego uśmiechu.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Duke wszedł do pokoju, a wyraz jego twarzy zmienił się na widok małego blondynka na kolanach matki.

- Hej, Trent! - zawołał z uśmiechem.

- Tata! - Malec zeskoczył z matczynych kolan i rzucił się pędem w kierunku wysokiego mężczyzny, czekającego z otwartymi ramionami. Chłopczyk wpadł w nie z rozpędu i ścisnął ojca z całych sił.

- Tata! Tak bardzo za tobą tęskniłem. Czemu nie przyjechałeś do Nowego Jorku?

Wyraźnie udręczony Duke unikał wzroku swojej żony.

- Cieszę się, że ty przyjechałeś do mnie - odpowiedział, uśmiechając się do malca.

Podniósł wzrok i napotkał spojrzenie ciemnych oczu Rebeki.

- Cześć Rebeka.

- Cześć Duke. - Teraz z kolei ona starała się uniknąć jego oskarżycielskiego spojrzenia.

- Jestem pewien, że zamówiłaś hotel, ale byłbym ci wdzięczny, gdyby Trent mógł zostać u mnie. Mam gospodynię, panią Holmes, która uwielbia dzieci i doskonale gotuje.

Rebeka wyglądała na skrepowaną.

- Ja... nie, no cóż, nie było wolnych pokoi w całym Jacobsville. - Popatrzyła na niego.

- Zapraszam cię do siebie - odpowiedział natychmiast. - Nie sądziłem, że zechcesz - dodał gorzko.

- Wytrzymam, jeżeli ty wytrzymasz. Przyniosę walizki z samochodu.

- Wyślę któregoś z chłopców. Jeżeli ci to odpowiada - dodał nieoczekiwanie.

Jej cienkie brwi uniosły się w całkowitym zaskoczeniu.

- Tak. Doskonale. Bardzo ci dziękuję.

Duke postawił Trenta na ziemi i uśmiechnął się do niego ciepło.

- Chcesz iść ze mną? - zapytał. - Zawołamy jednego z moich kowbojów. Lonżuje młodą klacz.

- Co to jest klacz, tato?

- To jest koń dziewczyna. To Appaloosa. Ma paskowane kopyta i łaty na zadzie.

- Myślałam, że sprzedałeś wszystkie Appaloosa! - wykrzyknęła Rebeka.

- Nie wszystkie. - Prześlizgnął się wzrokiem po jej czerwonej jedwabnej bluzce, czarnych spodniach i małych stopach obutych w szpilki. - Chodź z nami. Trochę się tam kurzy - dodał.

Podeszła do niego z lekkim wahaniem.

- Rzeczy nieważne. - Wzięła Trenta za rękę. - Muszę ją zobaczyć.

Spojrzenie Duke'a złagodniało. Uśmiechnął się z dumą.

- Jest piękna.

Rebeka odwzajemniła uśmiech i wyszli razem.

Violet patrzyła za nimi z uczuciem ulgi. Wiedziała, jak przebiegał rozwód, bo pracowała już u Blake'a. Uważała wtedy Duke'a za niezdolnego, niedorzecznego tyrana i nie czuła do niego za grosz sympatii. Nigdy nie pytał innych o zdanie. Rzucał rozkazy, jakby był w wojsku i Violet chętnie utopiłaby go w łyżce wody.

Ostatnio złagodniał. Próbował być grzeczny, nawet jeżeli chodziło mu tylko o syna. Wydawało się, że Delene go lubi. Violet skrzywiła się. Kiedy pani Wright odkryje, kto jest nowym biologiem Duke'a, nie będzie jej do śmiechu. Może dojść do wybuchu o dużej sile rażenia...

Blake wrócił do domu w dobrym nastroju. W nocy, kiedy leżał bezsennie i rozmyślał, Mee i Yow ułożyły się obok niego, mrużąc. Nie mógł się pozbyć wizji Shannon, pięknej i cichej w białej trumnie. Przez całe lata zastanawiał się, czy zdołałby uratować jej życie, idąc z nią na tamto party. Chcieli tego oboje, ale miał sprawę już w poniedziałek i musiał przygotować linię obrony. Kiedy pisał swoją mowę, Shannon wypila drinka z substancją, która wywołała jej śmierć. Blake nie wiedział o niczym aż do następnego ranka, kiedy jej matka zadzwoniła do niego ze szpitala.

Przez następne tygodnie chodził jak błędny. Nie był w stanie myśleć ani pracować. Jego jednostkę rezerwy powołano w 1991 roku do operacji Pustynna Burza. Zgłosił się na ochotnika, nie przejmując się ani przez chwilę możliwością utraty życia. Poszedł prosto na front, w ogień najzaciętszej walki. Za niezwykłą waleczność został odznaczony Purpurowym Sercem i Srebrną Gwiazdą. Wiedziało o tym bardzo niewiele osób. Z nikim, poza Cagem Hartem, nie rozmawiał o swojej służbie wojskowej.

Przez całą noc przewracał się z boku na bok, w końcu poddał się i wstał. Przygotował kawę i kanapkę i przeniósł się z rozmyślaniami do stołu. Shannon i wojna należały do przeszłości. Przy całym uczuciu, jakie żywił dla Shannon, nie było między nimi tak silnej namiętności, jaka połączyła go z Violet, której samo wspomnienie zapierało mu dech w piersiach. On i Shannon kochali się miłością spokojniejszą, nie tak burzliwą.

Pomyślał o dziecku. Był ciekaw, czy będzie podobne do niego, czy do Violet, i czy to będzie chłopczyk, czy dziewczynka. Wyobraził sobie, jak czyta przed snem małej dziewczynce albo pokazuje gwiazdy przez teleskop małemu chłopcu, czy uczy go rozpoznawać skały. Skały były jego pasją, większą nawet niż astronomia. Miał kolekcję kryształów, meteorytów, muszli i różnych minerałów. Dysponował też wykrywaczem metalu i chętnie spędzał wolne chwile na poszukiwaniach fragmentów meteorytów. Znalazł już kilka i dołączył do swojej kolekcji. Violet jeszcze nie wiedziała o tym jego szczególnym zamiłowaniu. Był ciekaw, czy ona też interesuje się minerałami.

Skończył kawę i przeciągnął się. Kotki przyglądały mu się ciekawie, zaskoczone zmianą codziennej rutyny.

- Nie mogłem spać - wyjaśnił im. - Wam się to nie zdarza?

Kotki zamrugały. Mógłby przysiąc, że pilnie słuchają. Podobnie, jak z całą pewnością czasem oglądały telewizję. To najpewniej skutki braku snu, tłumaczył sobie.

- Zamierzam się ożenić z Violet - powiedział im. - A za kilka miesięcy będziemy mieli maleństwo. Lepiej się przyzwyczajcie do tej myśli.

Znów zamrugały. Ale tym razem najpierw popatrzyły na siebie, a potem na Blake'a.

Potrząsnął głową. Znów to robił. Rozmawiał z kotkami. Violet i dziecko dobrze mu zrobią na głowę.

Wstał i podszedł do zlewu. Odkręcał wodę, kiedy jego gołe kostki z dwóch stron zaatakowały ostre ząbki.

Zaklął siarczyście. Kotki, z uszami przylegającymi gładko do głów i ogonami sterzącymi sztywno, jak maszty, pomknęły w przeciwnie strony. Pomasował ugryzienia, rozglądając się za nimi.

- Mówię, że macie się przystosować i nie żartuję - wrzasnął zły.

Nie opowie o tym Violet, zdecydował, opatrując skaleczenia. Nie pozwoliłaby mu ich wypuścić w dniu ślubu!

Kiedy Blake przyjechał zabrać Violet na lunch, ani Duke'a, ani jego żony i syna nie było w zasięgu wzroku.

- Wyjechała? - zapytał cicho. Potrząsnęła głową.

- Na początku byli bardzo grzeczni i sztywni. Teraz chodzą wokół siebie jak zapaśnicy, wypatrujący okazji do dobrego chwytu.

Westchnął, kiedy wzięli się za ręce i szli do samochodu.

- Obawiałem się tego. Ludzie się nie zmieniają. Ukrywają pewne cechy, ale one i tak wyjdą w praniu.

Zatrzymała się i spojrzała na niego.

- Tak? No to jakie okropne cechy przede mną ukrywasz? Blake natychmiast wykorzystał okazję.

- Mam bzika na punkcie skał.

- Skał?

- Minerałów. Meteorytów. Muszli. Kryształów. Weekendy spędzam z wykrywaczem metali na szukaniu meteorytów zawierających żelazo.

Violet się roześmiała.

- Mam w szafie wielkie pudło z końcówkami pocisków powiedziała. - Nazbierałam ich na farmie dziadka. Są duże i małe. Mam też kryształy kwarcu, od ametystu po różowy kwarc!

Blake przygarnął ją mocno. Przyłgnęła do niego.

- Już widzę, jak wędrujemy po górach, z dzieciakiem w nosidełku i wykrywaczem metali! - zachichotała.

- Będziemy go nosić na zmianę - obiecał. - Albo ją.

- Nie wiem dlaczego, ale wydaje mi się, że to chłopak. Czule pocałował ją w czubek nosa.

- Będziemy kochać to, co się urodzi. Może ono też będzie lubiło skały? I astronomię.

Wzięli się za ręce i poszli do samochodu. Przy wsiadaniu Blake uraził się w lewą kostkę i syknął.

- Co się stało - zapytała Violet natychmiast. - Coś cię boli?

Nie odpowiedział, tylko patrzył na nią.

- No powiedz - nalegała.

- Pomyślisz, że zwariowałem.

- No, dalej.

Roześmiał się, trochę zażenowany.

- Powiedziałem kotkom, że się pobieramy i oczekujemy maleństwa. Popatrzyły na siebie, a potem na mnie. Podeszły do mnie z obu stron, jednocześnie wgrzyły mi się w kostki i zwiały w podskokach.

Violet nie odezwała się, rzuciła mu tylko przeciągłe spojrzenie.

Wzruszył ramionami.

- Wiedziałem, że tak pomyślisz.

- Czy one lubią tuńczyka? Potrząsnął głową.

- Przepadają za łososiem.

- Wiem, gdzie dostaniemy świeżego łososia. Spojrzał na nią z nadzieją.

- To może zadziałać.

- Spróbujmy!

- Zaraz po lunchu - obiecał, wsiadając do samochodu.

„U Barbary” spotkali komendanta Griera i posepnego Leo Harta. Obaj podnieśli głowy na widok Kempa, a Grier przywołał go gestem. Blake zostawił Violet w kolejce i podszedł do nich.

- Czyżbym o czymś nie wiedział? - zapytał.

- To coś dużego - odparł George. - Są wiadomości o Julie Merrill. Podobno jest wpłątana w narkotyki i to w towarzystwie czołowych miejscowych polityków.

Kemp gwizdnał.

- Aresztowaliście ją?

- Niestety. Uciekła z miasta.

- Jeżeli chcecie ją wyśledzić, mam kogoś bardzo odpowiedniego.

- Dzięki, ale też mam swoje kontakty. Chcielibyśmy uzyskać od ciebie pewną informację, ale to może być przykre. - Jego uśmiech przygasł.

- Chcesz zapytać o Shannon Culbertson - odgadł Blake. - Julie dodała jej czegoś do drinka i Shannon zmarła. Ale nie zdołałem tego udowodnić. Wierz mi, że próbowałem.

- Jeżeli masz jakieś notatki na ten temat, chętnie je przejrzę, chyba że to poufne.

- Nie po tylu latach. Wstąp rano do biura, przygotuję ci wszystko. Niczego nie chciałbym bardziej, niż zobaczyć Julie Merrill w więziennych ciuchach.

- No to jest nas dwóch - zgodził się George. Zerknął na Violet, wpatrzoną w Blake'a wielkimi, rozkochanymi oczami. Uśmiechnął się z aprobatą. - Masz dobry gust - ocenił.

- Prawda? - Blake, wyraźnie zadowolony z siebie, uśmiechnął się do Violet, która spąsowiła po korzonki ciemnych włosów.

- Słyszałem, że bierze witaminy dla przyszłych mam - Grier mrugnął szelmowsko.

Blake się roześmiał. Grier i Leo Hart także.

- Zapraszam na ślub. W kościele Metodystów. Ogłoszenie będzie w dzienniku. Nie ma czasu na rozsyłanie zaproszeń. Pani Hardy wytoczyła ciężkie działo.

- Zupełnie, jakby to robiło na tobie wrażenie - zachichotał Leo.

Blake się uśmiechnął.

- Nie sądziłem, że się jeszcze ożenię, a tym bardziej zostanę ojcem. Ale jakoś tak samo wyszło. Myślę, że wszystko się ułoży.

- A co z kotkami? - zapytał nagle Leo. Blake zamrugął.

- Tak?

- Słyszeliśmy ciekawe historie o twoich gościach. Podobno większość opuszcza twój dom biegiem.

- A niektórzy krwawią - Grier mrugnął złośliwie.

- Zaledwie kilka zadrapań. Nic takiego.

- Niby tak, ale Violet ma tam zamieszkać.

- Ma pewien pomysł, że świeżym łososiem w roli głównej. - Blake stłumił śmiech. - Jest szansa, że one biorą łapówki.

- Powodzenia. - Grier nie do końca pozbył się wątpliwości.

- Amen - zakończył Leo.

Blake uśmiechnął się i wrócił do Violet. W drodze powrotnej opowiedział jej o ucieczce Julie Merrill i prośbie Griera.

Spojrzała na niego ze współczuciem.

- Wracanie do tego musi być niełatwe. Shannon wiele dla ciebie znaczyła.

Skinął posępnie.

- Tak. - Odwrócił się do niej. - To już przeszłość, Violet. Popełniłem błąd, próbując nią żyć. Shannon była dobrą dziewczyną. Nie chciałyby, żebym zgorzkniał.

Violet się uśmiechnęła.

- Bardzo cierpiałeś. Trudno się pogodzić z utratą bliskiej osoby. Mnie też bardzo brakuje taty.

- Mnie brakuje obojga rodziców - wyznał niespodziewanie. - Tata zmarł, kiedy byłem mały. Przez całą szkołę opiekowałem się mamą. Tydzień po mojej obronie pracy dyplomowej na prawie miała śmiertelny udar. Byłem chory z żalu. Na szczęście była przy mnie Shannon. Ale zaledwie w kilka miesięcy później straciłem także i ją. - Spojrzał na Violet. - Nigdy ci o tym nie mówiłem.

- Doskonale to rozumiem.

Blake zaparkował przed jedynym w mieście targowiskiem z rybami.

- Miejmy nadzieję - powiedział - że moje kotki biorą łapówki...

Kiedy zajechali pod dom, kotki siedziały we frontowym oknie.

- To dziwne - zauważył Blake. - Czekają na mnie tylko w dni zakupów.

- Może wyczuły łososia?

Violet wyciągnęła rybę i razem weszli przez frontowe drzwi.

- Cześć, dziewczyny - Violet pomachała paczką nad ich głowami. - Zjadłybyście coś?

Obie zaczęły miauczeć i stanęły na tylnych łapkach, próbując dosięgnąć paczki.

- Dobry znak - ucieszyła się Violet.

- Zobaczmy. Chodźcie dziewczyny - zawołał Blake, prowadząc Violet do kuchni.

Wyciągnął kocie miski ze zmywarki i postawił je na blacie. Violet odwinęła rybę i rozdzieliła po równo. Kotki o mało nie wyskoczyły ze skóry.

- Proszę bardzo - zestawiała miski na podłogę.

Obrzuciły ją roztargnionym spojrzeniem wielkich niebieskich oczu i rzuciły się na jedzenie. Połykały rybę, wydając ekstatyczne pomruki.

Blake i Violet obserwowali je uważnie. Nie trwało to długo. Kotki błyskawicznie wylizały miski i zaczęły się myć. Na ludzi nie zwracały najmniejszej uwagi.

- Niewdzięczne szelmy. - Blake się roześmiał. Potrząsnął głową i wstawił miski do zlewu.

Violet miała teraz więcej odwagi. Kucnęła niedaleko kotek.

- Śliczne dziewczynki - wymruczała kokieteryjnie. - Obiecuję, że łososia wam nie zabraknie.

Kotki przestały się myć i spojrzały na nią czujnie.

- Poważnie - dodała.

Mee miauknęła, wstała i otarła się o kolana Violet. Yow zawahała się i przysunęła bliżej, na razie niezdecydowana na bliższy kontakt.

Violet spojrzała na Blake'a.

- Dobry początek - stwierdziła optymistycznie. Uśmiechnął się od ucha do ucha.

Poszli razem na ślub Libby Collins i Jordana Powella. Przepiękny stary kościół wypełniał tłum najznamienitszych obywateli Jacobsville. Kiedy brat Libby, Curt, prowadził ją nawą, zerknęła na Violet, siedzącą obok Blake'a i uśmiechnęła się. Odpowiedzieli uśmiechem.

Ceremonia była krótka ale wzruszająca, a przyjęcie odbyło się „U Barbary”. Z drugiego końca sali pomachali do nich Tippy i Cash, a także Ballengerowie. Calhoun, po zwycięstwie nad senatorem Merrillem jako kandydat z ramienia Partii Demokratycznej, był w siódmym niebie. Podobnie jego żona Abby. Mieli już trzech synów, ale wciąż byli w sobie bardzo zakochani. Był też Justin Ballenger, ze swoją Shelby. Oni także mieli trzech synów. Shelby pochodziła w prostej linii od Big Johna Jacobsa, założyciela Jacobsville i hrabstwa Jacobs.

Na początku Violet czuła się nieco skępowana w towarzystwie samej śmietanki miasta, ale szybko się przekonała, że to zupełnie zwyczajni i sympatyczni ludzie. Polubiła ich i już wiedziała, że swoje miejsce wśród nich odnajdzie bez żadnego problemu.

Martwiła ją tylko sprawa Janet Collins. Był materiał dowodowy w postaci DNA, ale dobry adwokat mógł się z nim uporać. Violet nie chciała, żeby Janet wyszła z tego obronną ręką.

Blake zauważył jej roztargnienie.

- Uśmiechnij się - wyszeptał. - Ludzie pomyślą, że to stypa, a nie wesele!

Violet drgnęła i odwzajemniła uśmiech.

- Przepraszam, myślałam o Janet Collins. Objął ją ramieniem.

- Pozwól mi się tym zająć - powiedział miękko. - Obiecuję ci, że nie puścimy jej tego płazem.

Westchnęła.

- Dobrze, szefie. - Stała na palcach, żeby dosięgnąć ustami jego gorących warg. - Będzie, jak sobie zyczysz.

Przyciągnął ją bliżej i pocałował bardzo namiętnie. Oderwali się od siebie, nagle świadomi wymownej ciszy, jaka zapadła naokoło. Wszyscy obecni, zamiast towarzyszyć młodej parze, obserwowali Blake'a i Violet.

- Lepiej jeszcze dziś kup jej pierścioneł - rzucił kpiąco Cash Grier - bo możesz się znaleźć na pierwszej stronie brukowca.

Blake się uśmiechnął.

- Ślub w przyszłym tygodniu. Czuj się zaproszony.

- Przyjdę z całym moim wydziałem - rozpromienił się szef policji.

Blake uniósł brwi.

- Z całym?

Cash pokiwał głową.

- I z niespodzianką - dodał.

Słowa Casha usłyszał Marc Brannon.

- Uważajcie na niego - ostrzegł Blake'a i Violet. - W dniu mojego ślubu czekał na nas u mnie na ranczu z połową personelu organów ścigania całego hrabstwa i musiałem użyć śrutówki, żeby się od nich uwolnić.

Grier popatrzył na niego.

- Wcale nie z połową. Niektórzy nie chcieli przyjść. Wyobraźcie sobie, nie chcieli się narzucać nowożeńcom.

- Wyjeżdżamy z miasta zaraz po ślubie - obiecał Violet Blake.

Grier obrzucił ich wymownym spojrzeniem.

- Hm - mruknął. - Niektórym brakuje poczucia humoru.

- Niektórzy nie wiedzą, co to prywatność - odparował Marc.

Grier uśmiechnął się do żony Marca, Josie.

- Ostrzegałem cię przed nim, prawda? - wskazał na Marca. - Ale nie chciałaś słuchać.

Josie oparła się o ramię męża.

- Och, nie jest taki zły - powiedziała pojednawczo.

- A co na to twoje kotki? - zapytał Marc Blake'a.

- Biorą łapówki - odpowiedziała Violet. - Świeżego łososia.

- Dobry pomysł, Violet. Kobieta zawsze sobie poradzi w trudnej sytuacji.

- Ona to wie najlepiej. Po urodzeniu dziecka zamierza pracować jako prokurator.

- Chcielibyście chłopca czy dziewczynkę? - zainteresował się Blake.

- Syna już mamy. Teraz chciałabym córeczkę. Ale tak naprawdę, to wszystko jedno. -

Josie uśmiechnęła się ciepło do męża. - Już się nie mogę doczekać.

Blake popatrzył na Violet z czułością.

- Ja też - szepnął.

Oblała się szkarłatem i potarła policzkiem jego pierś.

- My też czekamy na małeństwo - zdradził Blake Brannonowi z uśmiechem. - To będzie wspaniały rok.

- Gratulacje.

- Wzajemnie.

Violet przymknęła oczy. Ciekawe, pomyślała, czy można umrzeć ze szczęścia?

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Violet czekała niecierpliwie na dźwięk organów. Jej mama siedziała w pierwszej ławce, a w następnych połowa Jacobsville. Druzbą Blake'a był Cag Hart. Ona nie miała nikogo, kto poprowadziłby ją do ołtarza.

Nerwowo wygładziła prześliczną białą, satynową sukienkę, w nadziei że niewielkie zgrubienie w talii jest jeszcze mało widoczne. Właściwie nie miało to większego znaczenia. Większość gości wiedziała o ciąży. Uśmiechnęła się radośnie. Oboje z Blake'em już kochali swoje maleństwo. Wiedziała, że wszystko się uda.

Dźwięk organów wyrwał ją z zamyślenia. Ścisnęła mocniej bukiet z białych róż i lili, wzięła głęboki oddech i oparła się na prawej stopie. Wtedy duża dłoń delikatnie ujęła ją za łokieć.

Zaskoczona, spojrzała w górę, prosto w zielone skrzące się radością oczy.

- Jestem za młody, jak na twojego tatę - teatralny szept Cy Parks'a rozległ się w całym kościele - ale Blake powiedział, że to nie szkodzi.

Uśmiechnęła się do niego.

- Nic nie szkodzi, panie Parks. Bardzo panu dziękuję.

- W porządku. Odwzajemnisz mi się tym samym któregoś dnia - odpowiedział żartobliwie.

Zachichotała, ale zamilkła, kiedy zagrano marsza weselnego.

- Pełna powaga - zakomenderował Cy Parks.

- Tak jest - zgodziła się grzecznie.

Powoli poszli nawą przed ołtarz, gdzie czekał Blake. Na widok Violet spowitej w koronki i satynę i jej ślicznej twarzyczki otulonej welonem, serce zabiło mu mocno.

Ceremonia była krótka, wzruszająca i niezapomniana. Blake uniósł welon, żeby pocałować pannę młodą i błękitne oczy Violet napęłniły się łzami wzruszenia, kiedy radośnie oddała mu pocałunek.

Przeszli przez kościół w deszczu gratulacji, confetti, ryżu i serpentyn.

- Ryż symbolizuje płodność - zawołała Libby.

- Zadziałało - obwieścił Blake.

Violet pacnęła go bukietem, mrugając do Libby. Wsiedli do czekającej limuzyny i pomknęli do domu, przebrać się przed przyjęciem.

- Całe szczęście, że mamy jeszcze trochę czasu - wymruczał Blake, żarłocznie całując Violet w olbrzymim łożu.

- Optymista - Violet próbowała wydostać się spod jego masywnego ciała.

Jednak zdążyli, a kiedy oboje odzyskali oddech, Blake pocałował ją delikatnie.

- Widzisz, co tydzień abstynencji potrafi zrobić z normalnym facetem? - zapytał.

- To może przed następnym razem też poczekamy tydzień? - zaproponowała Violet i pisnęła, kiedy dostała od niego sójkę w bok.

Zmarszczył nos.

- Możesz być pewna, że wyłamie drzwi! Fatalnie znoszę abstynencję.

Przytuliła się do niego. Wciąż jeszcze drżała z emocji i oddychała z niejakim trudem.

- Jest coraz piękniej - wyznała cichutko.

- Praktyka czyni mistrza - odparł Blake. Otoczyła nogami jego biodra.

- Sprawdźmy, czy rzeczywiście!

Zanim wyszli spod prysznic, przyjęcie weselne zdążyło się już zacząć. Zaledwie się ubrali, rozległo się głośne stukanie do frontowych drzwi.

Popatrzyli na siebie pytająco.

- Spodziewamy się kogoś?

- Chyba nie.

Razem podeszli do drzwi. Na zewnątrz stała większa część sił policyjnych hrabstwa Jacobsville z komendantem Cashem Grierem w galowym mundurze. Cash trzymał w ręku plik kartek i uśmiechał się szelmowsko.

- Drodzy państwo - zaczął. - Wasi przyjaciele z Departamentu Policji w Jacobsville chcieliby złożyć wam gratulacje z okazji ślubu i przypomnieć, że gdybyście kiedykolwiek potrzebowali ich pomocy, są zawsze do waszej dyspozycji. Wystarczy jeden telefon.

- Wezwę gubernatora - przerwał mu Blake. Grier spojrzał na niego.

- Mam sześć stron.

- A ja dziesięć - odezwał się jego zastępca, Judd Dunn.

- A ja załadowaną strzelbę - zareplikował Blake. Judd i Cash popatrzyli na siebie porozumiewawczo.

- Ile lat mógłby dostać za grożenie bronią?

- To nie byłoby przyjemne, zwłaszcza w dniu ślubu - Cash uśmiechnął się do Blake'a zjadliwie.

Oczy Blake'a zwęziły się złośliwie.

- Naruszanie cudzej własności - zaczął - stwarzanie publicznych uciążliwości, zagrożenie terroryzmem.,,

- Nie jestem terrorystą - poinformował go Cash.

- Stwarzasz publiczną uciążliwość - wyjaśnił mu Judd.

- Ja? - zdziwił się Cash.

Sierżant Dana Hall odsunęła starszych kolegów z drogi. Piastowała w objęciach tort. Wręczyła go Violet.

- To wasz weselny tort. Bardzo mi przykro, ale tylko tyle zdołaliśmy uratować.

Violet patrzyła na nią zaskoczona. Sierżant Hall odkaszlnęła.

- Ktoś zaprawił poncz spirytusem. Harden i Evan Tremayne upili się, zanim ktokolwiek zdołał to zauważyć. Jeden z miejscowych hodowców bydła też się napił i powiedział bardzo głośno, co myśli o producentach ekologicznego mięsa. Na to weszli Cy Parks i J.D. Langley.

Teraz Cash odkaszlnął.

- Judd i ja byliśmy zmuszeni zakończyć wasze weselne przyjęcie i zamknąć kilku gości. Ale udało nam się uratować tort. Było też trochę ponczu, ale wychłał go kapitan Palmer - wskazał przystojnego blondyna z kolorowymi pasemkami we włosach.

Blake wybuchnął śmiechem. Coś takiego jest możliwe tylko w Jacobsville, pomyślał.

- I tak wyjeżdżacie na miesiąc miodowy, prawda? - zapytał Judd. - Dostaniecie tam poncz i kanapki.

- Domyślam się, że więzienie masz przepełnione? - spytała Violet.

- No tak - odpowiedział. - A on - wskazał na Blake'a - reprezentuje Cy Parksa i Tremayne'ów. Chcą, żeby ich wyciągnął jeszcze dzisiaj.

- To wyjaśnia sprawę tortu - powiedział Blake Violet. Uśmiechnęła się do niego.

- Możemy wstąpić do miasta, jadąc na lotnisko. W końcu pan Parks prowadził mnie do ołtarza.

- Dobrze. Powiedz im, że już jadę. I dzięki za tort. Policjanci odjechali. Violet włożyła tort do zamrażarki.

- Chcesz dostać swój ślubny prezent teraz? - zapytał znienacka Blake.

Spojrzała na niego zaskoczona. Przyciągnął ją bliżej i pocałował.

- Janet Collins przyznała się do winy. Nie będzie sprawy. Nie będziecie musiały zeznawać.

- Och, Blake! - Pocałowała go namiętnie. - Nie uwierzę, że nie maczałeś w tym palców.

Skinął głową z uśmiechem.

- Pracowałem nad tym przez dwa tygodnie. Dowiedziałem się wczoraj, ale chciałem ci powiedzieć dzisiaj.

- Dziękuję ci z całego serca! - zawołała żarliwie. Perspektywa publicznego roztrząsania tych bolesnych wydarzeń przerażała ją.

- Muszę dbać o moją wspaniałą żonę i mamę naszego maleństwa. - Położył dłonie na jej lekko wypukłym brzuchu. - Byłaś najpiękniejszą panną młodą, jaka kiedykolwiek przeszła tą nawą.

- A ty najprzystojniejszym panem młodym. - Pocałowała go znowu. - To co, spróbujemy pomóc naszym znamienitym gościom weselnym?

- Czemu nie? - zachichotał.

Poszli do samochodu, trzymając się za ręce.

- Czy wiesz, że to pierwszy dzień zupełnie nowego życia? - zapytał.

- Wszystkie następne mogą być tylko wspanialsze! - odpowiedziała miękko.

I rzeczywiście były.